









B. 44. w.w.

ZBIÓR POWIEŚCI

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrane, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom dziewięćdziesiąty piąty i szósty.



117848/51213

KORDECKI.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

I świętości Twoje podeptane są, i splugawione są,
Kapłani Twoi stali na płacz i na poniżenie.

A oto poganie zebrali się na nas aby nas, wygładzili, Ty wiesz co myślą przeciwko nam.

Jakoż się będziemy mogli ostać przed obliczem ich
jeśli Ty Boże nas nie ratujesz.

Macchab. Xię. I. R. 3. w. 51. 53.

Cztery tomy we dwóch

III. i IV.



L W Ó W.

W księgarni Gubrynowicza i Schmidta
przy placu św. Ducha l. 10

1875.

W A R S Z A W A.

W księgarni Michała Glücksberga



Nakładem Pillera i Gubrynowicza i Schmidta.
Drukiem Kornela Pillera.

T O M III.

XXIV.

Pozostało rozrządzić losem Wachlera, a spór był wielki między szlachtą a zakonnikami o niego. Przeor chciał go koniecznie wygnać, dowodząc Szwedom, że jeden zdrajca nic dla nich nie znaczy, że gardzą podobnemi spiskami, i nie obawiają się nawet tego co o stanie twierdzy powiedzieć im może. Zamojski życzył go zatrzymać w więzieniu do końca obleżenia, a Czarniecki uparcie dopraszał się o powieszenie. Martwy ze strachu, gotował się na śmierć zdrajca i ochłonawszy nieco z pierwszego odrętwienia, wpadł w złość miotając się bezsilnym gniewem, rzucając do drzwi i okien, grożąc muirom Szwedami i pomstą Wejharda. Około południa otworzyły się drzwi i Wachler myślał, że go już powiodą na stracenie... upatrywał tylko kata! Ukazał mu się brat Paweł furtjan, a za nim dwóch pacholków...

— Chodź! zawolali na Niemca.

Przelekleł chwycił się za kraty okna i wrzeszczeć począł wzywając ratunku, tak że go oderwać musiano gwałtem i gwałtem pociągniono do bramy. Brouil się jeszcze w dziedzińcu, aż gdy ujrzał, że go do wrót prowadzą, nieco ochłonął. Niepewien jednak jeszcze co z nim zrobią, aż do otwarcia furty, ujrawszy się swobodnym, bo go tylko pogardliwie wypchnięto za mury; wśród świstu kul, odzyskał przytomność i szybko uciekać zaczął ku obozowi szwedzkiemu.

Wejhard właśnie rozmawiał z Nathanem i budowali sobie łatwe zamki na łodzie, że jutro Częstochowę zdradą owładną, i hrabia już w myśli tryumfował nad Millerem, który go dotąd obwiniał o zwodne ludzenie fałszami i karmienie urojoną nadzieją, gdy niespodzianie ukazał się u drzwi namiotu wyłękły, błady, odarty, zdyszany Wachler.

Nathan osłupiał z podziwienia. — Co to się stało? zawołał. — Wachler padł na ziemię znużony.

— Co to za człowiek? — spytał Wejhard.

— A! to nasz puszkarz z Jasnej-Góry!

— Cóż tu robi po dniu?

— Nerozumiem, dopytać się go potrzeba.

Ale długo słowa z niego dobyć nie było można; aż wreszcie bolejąc naprzód nad stratą manatków, klnąc Nathana i podług jego, począł gadać; ale mówił jakby sam do siebie nie zważając na Wejharda, a rozżalając się nad położeniem własnem. Był to rodzaj obłąkania, ostatek strachu i obudzona żalność nad stratami, wyrażające się z całą siłą niepohamowanego egoizmu.

Wejhard porozumiewszy łatwo, że zamiary jego na niczem spełzły, zasępił się, rzucił ramionami z gniewu i wszedł do głębi namiotu, zostawując Nathana ze zbiegiem. Ale wprędce powrócił nazad:

— Wstrzymać go tu — rzekł do swoich ludzi — dać mu przytułek, człowiek ten zdać się nam może.

Stał już koń osiodłany, skoczył nań hrabia, i pospieszył do Millera.

Miller był przy górnikach co mine kopali, potem ruszył objeżdżać Jasną-Górę, po raz może dziesiąty upatrując na murach gdzie by się łatwiej wyłom dał zrobić, i w ten punkt chcąc wszystkie działa swoje skierować. W pierwszej chwili, przybywszy, lekce sobie ważył twierdzę i jej obrońców, gniew też nim miotał gdy tyle czasu tracił na dobyte tego, jak go nazywał, kurnika; dziś już widząc, że z ludem męznym, z żołnierzem wprawnym i z mocnym dosyć zamkiem ma do czynienia, nważniej działać poczynął. Wycieczka

z Częstochowej nauczyła go, że nie z samymi mnichami prowadzi wojnę.

Zobaczywszy Wejharda podjeżdżającego, który mu zawsze krew psuł, odwrócił się z widoczną niechęcią. Hrabia miał dobrą minę, choć w sercu był zły i smutny, postanowił inaczej rzecz malować niż była, i z Wachlera uczynić Millerowi rzecz wielką, a sobie zasługę. Panując doskonale nad wyrazem twarzy, rozjaśnił ją i pozdrowił generała bardzo wesoło.

— A co? poddają się? — rzekł Miller szydząc.

— Poddadzą — odparł Wejhard z uśmiechem tajemniczym.

— Jakoż są i znaki przepowiednie! strzelają!

— Są znaki, i bardzo widoczne.

— Nie moglibyście wytłómaczyć mi jakie?

— Zdaje mi się, że kiedy im najlepsi puszkarze uciekają z twierdzy... to coś znaczy.

— Gdzież? jacy? — odwrócił się Szwed.

— Jednego już mamy.

— Gdzież jest?

— U mnie, zwabiłem go nadzieją dobrej zapłaty i mnisi już na tej baszcie (wskazał palcem) nie mają kogo przy działach postawić. Mniej jedynym umiejętnym człowiekiem i to wiele; a co lepiej, przynosi nam szczegółowe wiadomości o stanie ducha i mnarów: załoga niechętna, buntują się ludzie, mnisi tylko i szlachta, za łeb ich trzymają; co chwila można się spodziewać, że nam bramy otworzą.

Z niedowierzaniem słuchał generał opowiadania i głową kiwał. — A jednak — rzekł od tej baszty opuszczonej, dobrego ognia na nas dają!

— A! oczewiście — odparł Wejhard — muszą się maskować i to już pewnie postavili co mieli najlepszego; ale zawsze odebraliśmy im prawą rękę, jestto endzoziemiec, Polacy z szablą w ręku a w polu zuchy, ale u dział a w kącie zaparci na długo, nie wytrzymają, pośpią się zaraz lub pokłócą.

— No, i gdzież ten Niemiec tak ważny? — spytał wódz.

— U mnie w namiocie.

— Na cożeście go sobie przywłaszczyli? — rzekł posępnie Miller — dawajcie nam go tutaj.

— Kąże go odstawić do waszej kwatery, panie generale, teraz jeszcze nie przyszedł do siebie, bo uciekającego gonili podobno wystrzałami, i ledwie z życiem uszedł.

— Jakto? uciekł tak w biały dzień? I pokiwał głową Miller z niedowierzaniem.

W tem dwa białe habity zakonne ukazały się zdaleka od twierdzy. Wejhard pierwszy je spostrzegł, i korzystając z tego, odwróciwszy się zaraz jakby ich nie widział, mówił: — To pewna, że ta ucieczka do brze nam wróży i niechybnie dziś parlamentarzy od nich mieć będziemy, twierdza się podda.

To rzekłszy uskoczył na bok w stronę przeciwną, a Miller nie rychło potem postrzegł sam zbliżających się kiséży.

— A! a! zgadł ten lis, jeśli ich nie widział — rzekł zacierając ręce — przecież może skończy się ten wstyd; rozrachujemy się z papistami! Twarz mu się rozśmiała z radości. Boć wstyd — szeptał sam do siebie — tak długo tysiącom z kupką mnichów się targać.

I rozkazał Wejharda nazad przywołać, bo mnisi się zbliżali, chciał go mieć do pomocy; zsiadł z konia, rzucił się na podesłany dywdyk i czekał. Posłańcy już byli o kilka kroków. Ich postawy pokorne, twarze fraszobliwe i blade, zdawały się dowodzić, że przyszli w istocie prosić a błagać przebaczenia. Byli to ksiądz Dobrosz i Stawiski.

Już samo ich ukazanie się usposabiało Millera do dobrego humoru, czas był piękny, a dotąd trwały mgły i słoty; generał zjadł smaczno śniadanie i jakoś mu się twarz śmiała. Ujrawszy Paulinów powitał ich grzecznie łaciną, której trochę umiał.

— A co? dokuczycie wam. nie wasza rzecz — rzekł przeciwko zwyczajowi uprzejmie się kłaniając, pomiarowaliście się.

Mnisi pokornie powitanie mu oddali.

— Panie generale — rzekł ksiądz Dobrosz — isto-

tnie wojna nie nasze rzemiosło, radziłyśmy jej co najprędzej poprzestać, ale cóż robić z inusu?

— Poddajcież się! — zawołał Miller — nie ma na to innej rady. Częstochowę mieć musimy.

— Ale warunki? spytał ksiądz Dobrosz.

— No spiszcie mi swoje, a pogadamy — dodał Szwed — ja tymczasem moje przygotować każę. I nie obawiajcie się mnie jak wilka, bomci to i ja człowiek, a niektórzy nawet mówią, że niezgorzszy.

To mówiąc skinął na pacholę swoje, żeby podał wina i prosił nawet ojców wypić zdrowie. Tak niezwykle przyjęcie przejmowało ich zdziwieniem; nie wiedzieli, że Miller mógł być tak nprzejmym i miłym. Tymczasem zbliżył się i Wejhard nie bez wahania, i całkiem w innej postaci, niżeli przed chwilą z Millerem rozmawiał; rzucił wejrzenie ostre i groźne na mnichów, ani ich pozdrawiając, ani się do nich odezwawszy. Ojciec Dobrosz skłenił mu się nisko, on pogardliwie odwrócił z pańską dumą.

— Prawdę mówileś — rzekł generał obracając się do niego — dobry z ciebie prorok hrabio, otóż i są. Wejhard milczał, wiedział on może lepiej od Millera, że ci posłowie nowe zwłoki zwiastują, nowem są siłem; obawiał się przytem, by o Wachlerze dalej nie powiedzieli prawdy i dlatego starał się ich pozbyć co najprędzej.

Miller jednak nie odstąpił od poczęstowania, usiłując okazać ludzkim, grzecznym, powolnym i skarbując, jak sądził, serca mnichów.

Odprawieni z tem aby punkta swoje przynieśli, wrócili niebawiem do klasztoru. Przeor czekał na nich u furty; sam bowiem wysłał ich, chcąc wygrać na czasie, postanowił zaś sił swych szcędząc, traktowaniem przeciągać o ile możliwości. Wejhard wiedział, a raczej domyślał się na czem to się skończy, ale mówić nie chciał, uwodząc Millera rychłem poddaniem.

— A co? — spytał Kordecki powracających.

— Nowa całkiem rzeczy postać — odparł śmiejąc się ksiądz Dobrosz — jak my pokorni, tak on greczny;

nie fukał, nie groził, nie bił, nie łajał, ale częstował, pił zdrowie nasze, kazał wychylać swoje, jakby chciał nas z sobą oswoić, ośmielić i zbliżyć do siebie. Ale na biedę tej słodyczy wierzyć trudno.

— No? a o Wachlerze?

— Cicho o nim, ani słowa.

— A Wejharda widzieliście?

— Posepny, groźny.

— Nie dziw, robota się, dzięki Bogu, nie udała. Cóż wam powiedział Miller?

— Przynieście nam punkta swoje.

— Zapewne! — zaśmiał się Kordecki — a nużby się na nie zgodził, wpadlibyśmy w matnię. Nam tylko uciśnionym o godziny chodzi, które liczymy. Jutro więc postać wypadnie znowu, prosząc by nam dał swoje warunki. Aby dalej, aby dalej, a Bóg na końcu okaże moc swoją.

To mówiąc weselszy poszedł z niemi do klasztoru. Ojciec Dobrosz nie znużony udał się zaraz na mury, towarzyszyć w dozorze pann Małachowskiemu, a ksiądz Stawiski na wieczorne nabożeństwo do chóru.

XXV.

W izdebce Lassoty cicho było i smutno; starzec wstrząśniony ucieczką z domu i doznanemi wrażeniami, codziennie przestraszany pogłoskami, które to poddanie się, to szturmy, to zdrady wróżyły, leżał niewstając z pościeli. Przy nim siedziała nieodstępnie Hanna, to go ciesząc, to z nim płacząc. Rzadko biedne dziecko wybiegło z rana do kościoła, śpiesząc z modlitwą by do dziada wrócić; a wieczorem gdy czasem brat pana Jana ksiądz Piotr nadszedł na chwilę, wymykała się stanąć na progu sieni, odetchnąć świeżem powietrzem i podumać swobodniej. Przy starcu i westchnąć się obawiała, aby go nie zastraszyć i nie przysporzyć mu boleści. Owszem zmyślała wesele, uśmiechała się, poskakiwała, opowiadając mu baśnie jak dziecięcin.

Wieczorem prawie codzień przychodziła też pod ścianę stara żebraczka, siadała i czekała na ukazanie się Hanny.

I dziewczę osamotnione oswoiło się z nią prędko, a niemając nikogo, przywiązało się do Kostuchy. Stara przynosiła jej świeże wieści, które ubierała po swojemu, aby nie wystraszyć jej zbyt, i z dziennych wypadków pogadanki. Czasem rozpytywała Hannę o jej życie, o dziada, o dom, a gdy dziewczę poczęło malować spokojne ubóstwo swoje, i dworek i ogródek i wiejskie życie jak wianek różany wonne, barwne i jak on z liścia, kwiata i ciernia złożone; to się starucha rozkwiliła nieraz i jakby ją to za serce chwyciło, poczyniła płakać i śmiać się na przemian, przysnuwała nieznacznie do dziecka, czepiała się jej sukienki, całowała po nogach; ów kłamek chleba od pierwszego wieczora z piersi jej nie schodził, a jeszcze niczem za niego wywdziąć się nie mogła, i to ją bolało widzieć.

Ale czemu mogła wywdziąć się żebraczka. Chodziła, dumiała, długo nadaremnie. Jednego dnia oddała dziecięcin medalik z Najświętszą Panną, po który aż do Częstochowej, do miasteczka przez obóz szwedzki, wśród kuł i żołnierstwa chodziła; teraz już nie wiedziała co przynieść swej Hannie. I wieczorem wkradła się biedna do szklarni klasztornej, w której ojcowie hodowali trochę zieleni i kwiatów, dla przystrojania ołtarza na święta; narwała szybko w fartuch co jej pod rękę wpadło, i z tą zdobyczą przybiegła żywo pod okienko.

Hanna była przy dziadzie, a niemając co, opowiadała mu o żebraczce, która tak dziwnie do niej się przywiązała. Stary słuchał i zdawał się niespokojny; ta tak nagle, tak silna wdzięczność za chleba kawałek, zdawała mu się niezwykłą; postanowił brata rozpytać o starą kobietę, którą wszyscy znali w Częstochowie, a Hanna poświadczała o tem, bo widziała jak ją każdy przychodzący witał.

Posłyszawszy szelest u okna, dziewczę wybiegło i w progu spotkało z kwiatami starszkę.

— Naż ci moje dziecko drogie — szybko odezwała

się Konstancja, całując róg jej sukienki — schowaj bo zdaje mi się, że ksiądz Piotr idzie, a to kradzione...

Zawinęła się i wymknęła szybko, jakoż i ksiądz Lassota wchodził na próg, zobaczył zaraz kwiatki u Hanny, i spytał ją, z kąd ich dostała.

— A! to ta staruszka mi przyniosła — odpowiedziało zaskoczone dziecię.

I weszli razem do izdebki Jana.

— Właśnie o tę starą żebraczkę miałem się ciebie spytać bracie — podnosząc się z łoża, rzekł chory — bo to coś ekstraordinaryjnego, przywiązała się do Handzi, i codzień do niej przychodzi; przyniosła jej pozawczoraj medalik, dziś widzę kwiatki. Co to za kobieta? I stary mówiąc to, dźwigał się, a oczy mu jaśniały jakby ciekawością i przestrawem jakimś.

— Dawno ona tu w Częstochowie? dodał żywiej.

— Doprawdy, że niewiem — odpowiedział ksiądz Piotr — to tylko pewna, że osobliwsze z niej stworzenie, zdaje się, że ma umysł cokolwiek pomieszany; jałmużny nie bierze, lub rozdaje ją między ubogich, nocuje i teraz w fossie pod gołem niebem, a knie nam szwedzkie od murów odbite, zbiera i przynosi codziennie. Czasem aż do zbytku wesola, ale spokojne to pomieszanie, nikomu nie szkodzi; stara pobożna i stateczna, obawiać się jej niema czego. Zowią ją tu sługą Matki Boskiej, to i ona tak się najczęściej tytułuje.

Lassota zamilkł i powoli upadł na łóżko; rozmowa na inny zesła przedmiot: mówiono o obłączeniu, o zdradzie; o nowych przeora rozporządzeniach; a że to gorąco zajmowało wszystkich, zapomniano o starej. Izba, w której mieszkał Jan Lassota, szczególnem trafu zrządzeniem wychodziła oknem i drzwiami ku tej części murów właśnie. Na której Krzysztoporski z ojcem Mieleckim dozór mieli. Z blankowania łatwo było widzieć drzwi izdebki, kto do niej wchodził lub wychodził, a Krzysztoporski często też wpatrywał się w piękną Hannę, której twarzyczka zdawała się coraz to nowy budzić w nim niepokój, nową jakąś wywoływać zgryzotę. Patrzał na nią jakby mimowolnie, odwracał się,

potęgą woli pauzując sobie, i znowu poglądał chciwie. Parę razy przemknęła mu się i stara Konstancja, na której z Haudzią rozmowy i pieszczoty, ukrywając się za węgiel bastjonu, z guiewem się wpatrywał. Wszyscy postrzegli po uiejakim czasie odmianę w tym człowieku. Dumny, groźny, surowy i milczący zawsze, zdawał się teraz dwakroć jeszcze zjadlejszym do boju, szukał niebezpieczeństwa, narażał się na nie, a dniem i nocą pracując jakby się chciał złamać pracą, pokonać trudem, gdy inni spoczywali, chodził, sam pełniąc strażę. I wśród głuchej nocy, gdy po murach wiatr jesienny szeleścił, gdy krzyki warty i chód jej powolny uszu tylko dochodziły, stawał z założonemi rękoma naprzeciw okna Lassoty, w którym się zawsze przy chorym świeciło, zgrzytał zębami, nieraz pięść ściśnioną wyciągając ku niemu w ciemności.

Ojciec Mielecki wesół z uatury i rubacha, wcale był nie rad towarzyszowi, z którym ani się rozmówić, ani pośmiać nie było można; ten ledwie słowo konieczne wybeknął, odwracał się zaraz i milczał. Ale cóż było robić? począł pracować nad udobruchaniem pana Krzysztoperskiego, choć mu szło jak z kamienia.

Żebraczka była przedmiotem szczególnej bacności Krzysztoperskiego; poglądał na nią jak na niepokojącą zagadkę; spytał nawet parę razy księdza Mieleckiego, który mu tyle powiedział co ksiądz Lassota bratu; nie nie dowiedziawszy się z oka jej jednak uiespuszczał. Dziwil się, że ją tak puszczano samopas z klasztoru swoboduie o każdej godzinie, a gdy rozmawiała z Haudzią, nadstawiał i wyteżał ucha, rzucając się niespokojnie. Szukał potem zreczności żeby się zbliżyć do tej tajemniczej postaci, ale jak on jej szukał, ona zdawała go unikać. Ledwie postrzegła zdaleka, wsuwała się to do kościoła, to do bramy, to do mieszkań spiesząc. Napróżno usiłował się z nią spotkać; zawsze mu się wyślizgiwała.

Nareszcie dnia tego, gdy rzuciwszy kwiatki odbiegła szybko uchodząc od księdza Lassoty, Krzysztoperski

zapał jej drogę i wpatrując się chmurnem okiem w odartą żebraczkę, zawołał grzmiąco:

— Stój! dokąd?

— To ja! — drżącym głosem w początku odpowiedziała schwytna, lecz jakby przypomniawszy sobie zaraz swoją wesołość zwykłą, dodała raźniej: — sługa Matki Boskiej, stara żebraczka, czego pan odemnie chcesz? kule już pooddawałam...

— Dokądże się tak po złodziejsku wymykasz — spytał okiem ją mierząc Krzysztoporski, ona tymczasem wstrząśnieniem głowy, chustę sobie na oczy zarzuciła, żeby jej w twarz nie mógł spojrzeć.

— E! puść-że, bo panie niemam czasu — idę do kościoła!

Szlachcic ciągle się wpatrywał, ale gdy miał w oczy zajrzeć, wyrwała się od niego wołając:

— Cóż to? czy już w Częstochowie sługi Matki Boskiej nie znają? czy co? Co to ja Szwed przebrany! Nie kochanku — dodała z przymuszonym śmiechem — nie jestem Szwedem, ani heretykiem.

Ojciec Mielecki, który z murów patrzył na to, zawołał w tej chwili:

— E! panie Krzysztoporski, co tam się darmo frasujecie! To nasza żebraczka, dajcie jej pokój, to Konstancja! — Na to imię, Krzysztoporski szybko zdarł jej chustę z twarzy, a stara wyszczerzając żółte zęby i nagle udając wesołość szaloną, krzyknęła ze śmiechem trunpiej głowy.

— A co? buziaczka mego chciałeś zobaczyć? piekny? nieprawda? cha! cha! wstydziłbyś się, stary szpak. panienki po ulicach zaczepiać!

— To ona! to ona! odezwał się, gwałtownie odskakując z poruszeniem wstępu i podziwienia, szlachcic.

— A ha! dopieroś poznał sługę Matki Boskiej, dopieroś się przekonał. Cha! cha! prawda że ładna? kochanku, piękniejsze w trumnie gniją!

Zawróciła się i podrygując a skacząc odeszła.

— Cóżście wy od niej chcieli — zapytał ojciec Mielecki — to nasza dobrodziejka; kule nam nosi,

szpieguje, Szwedów tropi, a wczoraj Olkuskich górników tak nastraszyła, wyszedłszy nocą z klasztoru do nich z kazaniem, że rzuciwszy młoty, choć się Szweda bali, jeszcze gorzej zlekli się starej i ponciekali przebojem.

Ale mnich-wojak niedopytał słowa od Krzysztoporskiego, szlachcic wszedł na mur milczący i zamyślony, sparł się na strzelnicy, okiem zbłąkanem rzucając na daleki kraj. Panlin widział, że coś dziwnego działo się w duszy tego człowieka, i odstąpił. Chwila tak upłynęła, aż zbudzony Krzysztoporski chwycił stempel i począł sam działo czyścić; zrzucił z siebie zbroję, zrzucił suknie, zdjął hełm, odpasał miecz, rozdział się do koszuli, jakby mu wewnątrz ogień jaki dojmował i nużąc się do bezsilności, całą noc przetrwał w stanie jakiegoś obłąkania i szału, który nim konwulsyjnie miotał.

Niemogąc pojąć co mu się stało, ksiądz Ignacy ruszył ramionami, i począł się modlić.

— Ani chybi — rzekł w sobie — obłąkanie być musi dla niektórych zaraźliwe, jeno na nią popatrzał, jakby go szatan opętał. Jeśli tak długo potrwa, żeby tylko nie potrzeba było egzorcyzmu. Bo uważam, że się i nie modli nigdy, i na zbroi ani krzyża, ani obrazka, ani różańca. Zła sprawa... muszę na niego pilnie baczyć; żołnierz dobry, ale coś mu jest. Czy go tam co tak gryzie wewnątrz, jakiś robak?... I milczy: ani słowa z niego dobyć, ani się kiedy rozmarszczy. — To powiedziawszy ksiądz Mielecki, głową pokiwał, sparł się na działo i różaniec rozpuściwszy odmówił pacierz na intencją towarzysza.

XXVI.

Noc była, a noc jesienna, nie uśmiechająca się ziemi słodkim spoczynkiem; nie kołysząca pieśnią rozkoszną i wonią rozkwitłego świata, dzieci Bożych; nie gwiazdzista a oczów tysiącem czuwająca nad czarną ziemią, ale chmurna, czarna, straszna, co to jak zajrzysz przepaściste ciemności; a na tle głuchego milczenia wrą wichry, jakby szatany w powietrzu pasowały się z sobą o jakieś nieszczęśliwe dusze.. I słychać jakby jeki, jakby śmiechy, i stekanie i westchnienia, kwilenie dzieci i groźne buki ze świata tajemnic... Trzeba wielkiego hartu duszy i ciała, żeby na nas pora taka nie czyniła wrażenia; nawet w ciepłej izbie, u jasnego komina, coś tęsknego uciska serce: coś dopiero pod golem niebem, na powietrzu, gdzie każde wichru szarpnięcie, każdy głos burzy w piersi się odbija, gdy tajemnicze głosy stworzenia łapie ucho, a każdy jęk niebios w rozdrażnionej odzywa się duszy.

Przy baszcie swej siedział ksiądz Mielecki, z żołnierza zakonnik, z zakonnika żołnierz znówu, Krzysztoporski się przechadzał; pierwszy powolnie spuszczał paciorkę po paciorku różańca, a z niemi modlitwy swoje do skarbnicy niebieskiej, drugi biegał, rozdziawszy się wpół nagi z piersią odsłonią, miotał po murach i stękał.

Przed ułmami dokola czarno było, jakby kirem oblókł się świat cały, strażę tylko porozpalały ognie, przy szwedzkim obozie daleko; a na wieży plouał jak zawsze, wyzywający napróżno odsieczy kagańiec, na murach gdzieś gorzały wartując latarnie, a z kaplicy koło Janitorium blady połysk lampy gorejącej wiecznie przy obrazie, przez okno mdłym się wybijał promykiem, mrugając, rozpalając się i przygasając, jakby chciał skonać, a nie mógł. Te błyski wśród ciemności, zdawały się zawieszane w powietrzu, nie rozpoznawałeś ziemi od niebios i twierdza, rzekłbyś, wisiała z niemi w czarnych oblókach.

Straże ponuro, posepnie, smutno odzywały się z hasłem pobożnem; jedno wołały:

— Ratuj Maryjo — drugie im odpowiadały pobożnem: *memento mori*: pamiętaj na śmierć... I jakby klasztor był ogromnym katafalkiem, a wszyscy stali u łóża konającego, lub nad trumną zmarłego, tak było smutno i straszno.

Ksiądz Mielecki modlił się, modlił, z pod oka coraz spojrzał na towarzysza, a Boga prosił żeby go uspokoił. Bo tam w tej nagiej i niemającej chłodu piersi, widocznie ogień jakiś gorzał namiętny, choć głowę już przyprószyła siwizna.

Ta namiętność tak gwałtowna, zagadką była dla księdza Mieleckiego.

Skończywszy modlitwy, nie wytrwał stary żołnierz, rozpoczął rozmowę westchnieniem naprzód, którego nie usłyszał Krzysztoporski. Zakaszlał zakonnik i drugi raz westchnął głośniejsz, i tego nie nważał ciągle przechadzką zajęty szlachcic; aż nareszcie ojciec Ignacy powstał i kaptur zasuwając na głowę okrytą czapeczką, odezwał się:

— Starość nie radość, panie Mikołaju, nieotulał się człowiek tak za młodu, gdy za ś. p. Zygmunta III. szliśmy pod Smoleńsk.

— Byłeś ojcie pod Smoleńskiem?

— A jakże, byłem, i jeszcze noszę pamiątkę bojarzyna co mnie skubnął przez głowę, za com mn z nasynka oddał: — no! a ktoby to powiedział, że się z szablą uwijało niezgorzej! teraz tylko z różańcem. Ależ to wam nie zimno?

Uśmiechnął się Krzysztoporski.

— Myślicie? mnie gorąco.

— To chyba choroba, bo na dworze wiatr ostry; mam pod habitem koższynę, a czuję go dobrze.

— A ja wcale nie.

— Cóż to wam panie Mikołaju?

Krzysztoporski zwrócił oczy na światelko z izdebki Lassoty, wlepił je i westchnąwszy poszedł dalej, ale wróciwszy do miejsca, stanął.

— Wiecie, ojcie Ignacy — rzekł — że mi w życiu dwa razy tylko było zimno.

— No, i kiedyż to? rad rozmowie spytał Mielecki.

— Tobie ojcie toby się to mówić niepowinno. — z gorzkim śmiechem rzekł szlachcic.

— A dla czegoż?

— Tyś mnich, a ja dziś jeszcze, ot jak widzicie mnie starym... — Niedokończył.

— Mnich, zachciałeś waść; alboż to mnich na spowiedzi wszystkiego nie słucha?

— Ależ bo ja się nie myślę spowiadać! — odfuknął Krzysztoperski.

— I to źle, boby ci to nie zaszkodziło, widzi mi się.

— Nie, nie, jeszcze na spowiedź moją nie czas.

— Tak! a potem być może już nie czas!

— Mniejsza o to — mruknął szlachcic — Bóg lepszy od ludzi.

Ksiądz Mielecki zamilkł, a Krzysztoperski zaraz dodał jakby potrzebując wywnętrzenia.

— No, chcesz jegomość wiedzieć kiedy mi w życiu było zimno, to powiem.

— Jak się wam podoba.

— Otóż raz, kiedyś się ożenił — rzekł Krzysztoperski — a drugi raz gdy mi żonę odbierano.

— Jak to? odbierano? zapytał ksiądz.

— A tak odbierano i odebrano! — odpowiedział stary... bo poszła odemnie w świat...

Ksiądz znown zamilczał, ale pan Mikołaj już miał gwałtowną chętkę dokończenia reszty i zawołał: — No, wywołałeś biedę księżu, to słuchajże i reszty.

— Byleście co nie potem mi nie gadali, bo to, jakem powiedział, słucha się ale tylko na spowiedzi.

— E! jużciż płęć nie będę! choć to o kobiecie mowa, ależ nie już i słuchać wam nie można, że się kochało? a hochałem księżunim, kobietę stworzoną na męki ludzkie, na potępienie i desperacje. Szatan to był i anioł w jednym ciele.

— Tylko, mój panie Mikołaju — przerwał ojciec Ignacy, *non misceantur sacra profanis*. — Co to kobiecie do anioła!

— No! a jednak to tak było, inaczej powiedzieć nie można — żywo dodał Krzysztoperski — bo i zła i dobra, i twoja i nie twoja: dziś cię kocha, że życie zdaje się dalaby za ciebie, jutro, patrz, przysnuł się nowy gaszek, nśmiecha się nowemu, oczyma go kocha, aż z niego wysączy szal, pasją... Dziś twoja do łez, jutro z ciebie szydzi do śmiechu, i kat ją mógł zrozumieć.

— No, to ją tam porzucić było, póki się nie ożenił!

— A tak! porzucić, gdybyż to można! dałby człek życia kawał żeby się odczepić! Ale cię wiązała jak łańcuchem, i płakał człowiek i wstydał się i powracał. Dziś już lat temu wiele dziesiątków nbiegło, wspomnę a jeszcze goreję, i gniew a zazdrość mnie pali.

— Przeżegnajcie się krzyżem świętym — rzekł ojciec Mielecki, to wyraźnie opętanie.

— Dobrzeście powiedzieli, było to w istocie opętanie: człek się nieposiadał, moc jakaś władała nim i pętała go.

— Byłóż się modlić i odżegnać.

— Bóg i modlitwie odmawiał skntkn, o! i tegom w nieszczęściu próbował.

— Trzeba było nieustawać, a modlić się.

— Kochałem ją dziewczką, kochałem zamężną.

— A toż zbrodnia! — zawołał ojciec Ignacy.

— Wiem o tem ojcie, ale to było opętanie: człek się samego nieznał, odebrałem ją mężowi wreszcie, wyrobiłem rozwód i wziąłem za żonę.

Mnich się przeżegnał, patrząc z pod kaptura na Krzysztoperskiego okiem bojaźliwego zdziwienia.

— Ale — dodał pan Mikołaj — szatan co mnie do tego prowadził, chłostać począł. Gdy ją wydarł mężowi, poczęła mnie męczyć zalotnością swoją, jak męczyła pierwszego, i doprowadziła do wściekłości. Nikt, nikt oprzeć się jej nie mógł — kogo chciała, oszalała.

— No, musiała to być nie potem kobieta! zła i zepsuta; ale...

— Ale to był szatan — zawołał Krzysztoperski — to był szatan, bo kto ją raz pokochał, tego potem

pasja i miłość nie opuszczały do śmierci. Doprowadziła mnie do tego, że ją zamknąć musiał, bom był zazdrośny jak bisurman i szalałem. ażem się mścić począł nad tą okrutnicą.

— Straszneż to mi opowiadacie dzieje.

— Posłuchajcież do dua. Pierwszy mąż dowiedział się o jej losie; nie wytrzymał, napadł mnie nocką i uwolnił z więzienia. Uszła i jużem jej więcej nie widział. No! alem się nad nim pomścił.

— A cóżes zyskał na zemście, oślepiły człowieku? — spytał ksiądz Mielecki.

— Prawda! zyskałem jeszcze większe pragnienie zemsty! zaśmiał się szlachcic gorzko. — Alem musiał się mścić, bom głowy nie miał i dziś jej nie mam jeszcze. Jej córka, córka z pierwszego małżeństwa umarła. Bóg wie, może i z mojej przyczyny! wydarłem mu majątek, przyprowadziłem do ubóstwa.

— A lepiejże ci z tem? powtórzył zakonnik.

— Lepiej! któż wie! — a była chwila tryumfu! alem i ja ujrzał nad sobą rękę Bożą; jedyny syn mój umarł: nie zostało mi nic, krom mojej złości; nieprzyjaciół całego mego życia ostał się przecie, żyje i ma pociechę jeszcze... ma światełko co mu świeci.

Słów tych z gniewem. z zazdrością domówił Krzysztoporski; ksiądz Mielecki obrócił się do niego łagodnie i rzekł:

— Widzicie, Bóg nigdy nie błogosławi zemście.

— Ojcie — gwałtownie przerwał stary szlachcic — wyście przeżyli lata wasze w pokoju i świętości, wy tego zrozumieć nie możecie, ale są chwile, w których potrzeba zemsty dochodzi do szafu.

— Człek winien się bronić modlitwą.

— Modliłem się, modłę i modlitwy nie rozumiem. jak kamień od muru odpada od mojego serca.

— Kropla wody nienstanna kamień wyżłobi.

— A znajdziecież mi tę wody kroplę! — zawołał z wykrzykiem Krzysztoporski. — Nie! nie! serce to twardsze od opoki, nie go nie weźmie! nie go nie przebije.

To rzekłszy szlachcic, stanął znów, popatrzał w okno Lassoty, zżymnął się, zadrżał, zacisnął pięści, zagryzł usta, z których kropla krwi wytrysła i mówił do siebie, jakby się zagrzewał:

— Jam wszystko stracił! on ma pociechę — ja nie mam, on ma nadzieję, otuchę, radość! tak być nie może, czemuż on lepszy odemnie; umrę, ale się zemszczę!

Ojciec Mielecki przestraszony wywołanemi zeznaniami i wspomnieniami szlachcica, z gorączkowym niepokojem opowiedzianemi, usunął się nieco, nie chcąc ich więcej rozdrażniać i począł znów się modlić, żeby zatrzeć w sobie wrażenie doznane; chciał się obmyć z błota, które na niego prysnęło.

Po chwili uderzyła godzina północnego chóru; dzwon się odezwał i ksiądz Ignacy zszedł z murów spiesząc do kościoła. Krzysztoporski jak tylko się go pozbył, obejrzał, że go nikt nie śledzi; podszedł szybko pod izdebkę Lassoty. Oczy mu się iskrzyły, twarz pałała, nastawiał ucha, ale ucie nie słyszał, a ujrzał tylko przy mdłym świetelku kaganka dziewczę siedzące u łóżka starca, który spoczywał snem łagodnym i orzeźwiającym. Handzia, która się była zdrzemnęła, także ze złożonemi na piersiach rękoma, jakby ją seu ujął wśród modlitwy, zdawała się zatopiona w jakimś widzeniu niebieskiem, w rajskich marzeń zachwycie, usta jej uśmiechały się słodko, twarz tchnęła spokojem nie naszego świata.

Nigdy zjadliwszej nienawiści okiem nie spojrzał człowiek na człowieka, jak w tej chwili stary Krzysztoporski na starca i Hannę: byłby ich, zdaje się, pożałował wzrokiem gdyby mógł, byłby zabił; i czy to potęgą wzroku nienawistnego, czy inny powód jaki, Hanna wśród snu spokojnego porwała się nagle z krzykiem bóleści, starzec obudził się przestraszony.

— Co ci to Handziu? co ci to dziecię moje?

— Nic, nie dziaduniu... tak... wśród snu, wśród marzenia o naszej chatynce, o matce mojej, o ogródku, o wiosce naszej, o nie wiem czem, coś mi się przy-

śniło straszego i obudziłam się z krzykiem... a! i przerwałam ci sen.

— To nic, to nic, ja nie spałem — rzekł stary.

— Jakto nie?

— Nie, nie, tylko oczy miałem zmrznzone; kładnij się, proszę cię; dobry moment spokoju póki nie strzelają... zaśnij.

— Ja? ja spałam do woli w dzień, mnie się spać nie chce.

— Biedne dziecko! ty się zabijasz przy mnie!

— O mój dziadziu! — i klęka całując wychłną jego rękę.

Krysztoporski odskoczył żywo i pobiegł na mury.

XXVII.

Dość rano wyprawił przeor znowu, choć tęsknie i smutno, tych samych posłów co wczoraj. Zamojski utrzymywał go w tej myśli zwlekania traktowaniem, dla zyskania na czasie. Miano zawsze nadzieję w Janie Kazimierzu i znanej pobożności jego dla świętego miejsca; oczekiwano posilków, odsieczy od kasztelana Kijowskiego może, polegając na staraniach Stanisława Warszyckiego, na naleganiach prowincjała Broniewskiego, na uczuciu szlachty polskiej, która wieści o oblężeniu Jasnej-Góry przyjąć nie mogła obojętnie; w ostatku zima nadchodząca powinna była Szwedów odpędzić. Czas więc zyskując, kupowano choć słabą nadzieję. Jedeu pan Czarniecki nie był tak dalece za traktowaniem.

— Co tam! — mówił do przeora ze zwykłą rubaszością szlachecką — wodę warzyć, woda będzie, nie chcemy się poddać, a filutujemy, to jakoś nie po polsku, coś z rakuska.

Pan Zamojski wcale był przeciwnego zdania, a Kordecki nie mówiąc, poszedł za radą jego; jako zakonnik, wstręt miał od podobnych wykrętów, jako wódz widział ich potrzebę. Wypuszczając za bramę dla traktowania księdza Dobrosza i Stawiskiego, przeor zażądał od Millera zakładników, i nie bez przyczyny, lękał się bowiem, aby w ostatku zwłokami zniecierpliwiony generał, nie mścił się za nie na posłach. Miller zgodził się na przysłanie dwóch starszych. Już wychodzili księża, gdy od szwedzkiego obozu jeden tylko ukazał się zakładnik, ale z chodu i miny znać było, że podstawiono przybranego ciura.

— A widzicie — rzekł pan Czarniecki — tu się jakieś лихо kroi, czemu nikogo ze swej starszyny dać nam nie chce?

— Na cóż zakładnicy? — odparł sam ksiądz Dobrosz, tyle razy posyłani byliśmy, a uciec się nam przecie nie stało, i teraz cali powrócimy; wreszcie gdyby co i zamierzał złego, alboż to myślicie, że niepodolamy chociażby męczeństwu?

Te wyrazy wymówione z prostotą i uśmiechem, potwierdził cichem spojrzeniem ksiądz Stawiski. Wyszli oba zakonnicy rzesko i odważnie, a przeor, który zawsze zdawał się mieć prorocze widzenie przyszłości, przeżegnał ich smutnie, jakby z tego kroku do którego zmuszała go potrzeba, zmartwień i zawikłań się spodziewał: odwrócił się potem, przeszedł milczący na bok i rzekł do pana Zamojskiego:

— O! panie mieczniku, co dzień, co godzina powtarzam, nie nasza to rzecz wojna!

— Tem większa zasługa, że ją dla Boga prowadzicie.

— Wszystko to dobrze — przerwał pan Czarniecki — ale traktować ze Szwedami, nie potem, strzelać do nich, to ale...

Pan Zamojski z wysokości statysty i rycerza spojrział na szlachcica z uśmiechem, zaprawnym drobina politowania.

— *Inter incudem et malleum positi*, cóż robić mamy? — mówił dalej — *omnibus modis* bronić się musimy, *ense et capite*. Ale do końca, *nihil desperandum*.

Pan Czarniecki ruszył sobie ramionami, także z rodzajem litości. — Bić i milczeć — rzekł zcichą — toby była moja rada. A kropić ich, a gęsto...

— Ależ i spocząć potrzeba! — rzekł przeor — jeśli nie nam, którym Bóg niezwykłych sił dla sprawy swej używać raczy, to ludziom, którzy tej siły od Boga co WMOść, panie Pietrze, nie mają; a tymczasem da Pan *felicem eventum*.

Działa milczały na murach i to właśnie pobudzało zły humor pana Czarnieckiego, pokiwał głową i odszedł niechętny.

Księża wysłani z twierdzy dążyli ku namiotom Millera, który na nich uciecierpliwie oczekiwał, z całą wystawą zbroi, ludu, wozów, siły na jaką mógł się tu zdobyć, by im potęgę swoją i majestat ukazać. Uśmiech nadziei wypogadzał mu twarz, ale obok stojący Wejhard chmurny był jak noc i milczący.

— No, cóż mi przynosicie? — spytał generał księży.

— Przeor sam warunków zakresłać wam nie chce i nie może — rzekł ksiądz Dobrosz żywo, zdaje mu się, że stosowniej byłoby, gdybyście mu je dali, oświadczając czego sobie życzycie?

— Tem lepiej — odparł Miller, niedomyślając się bynajmniej, że tu tylko o czas chodziło. — Pułkowniku — rzekł do Wejharda — każcie spisać warunki, a wy ojcowie rozgoście się proszę tymczasem.

Paulini skłonili się i stali w milczeniu, gdy generał właśnie śniadanie podać rozkazywał i do stołu a kufła ich zaprosił, ale że to był piątek, a stół Millera cały z mięsem. zakonnicy postem się od bankietu wymówili.

— A prawda, że to u was post! — zawolał Miller z uśmiechem — jak dłużej w Polsce pogościm, to lepiej pamiętać będziemy. Wy i ryby pewnie w klasztorze nie macie? U mnie tu jej do zbytku, zaniesiecie więc

przeorowi razem z warunkami kilka pięknych szczupaków, niech przyjmie jedno i drugie. Muisi znowu w milczeniu pokłonili się tylko.

— Widzicie — rzekł dalej generał — że choć sam nie poszczę, post szanować umiem, a kiedy wam z tem lepiej, cóż mi do tego, pościecie sobie, mój brzuch na tem nie ucierpi.

To mówiąc, rozśmiał się i wypił za zdrowie Paulinów, zmuszając ich aby choć po małym kieliszku za zdrowie jego wychylili. Ze wstętem musiał to uczynić ksiądz Dobrosz, a ksiądz Stawiski, który nigdy nie pił, przeprosił generała. Dziakimi i podziwionemi oczyma patrzali wszyscy na l'auliuów, którzy wśród tego obozu, wystawieni na nienawistne i złośliwe spojżenia a szeptu, byli jak w ukropie. Tylko Miller miły był dla nich a przystępny i wesół, odwracając rozmowę od rzeczy przykrych i drażliwych, począł rozpytywać o obojętne, nie chcąc ich widzieć opuszczonych a milczących. Tymczasem pod dyktowaniem Wejharda, pisarz notował punkta, które wkrótce generałowi przyniesiono; on spojrział na nie i oddał zaraz księdzu Dobroszowi, a przypomniawszy sobie obiecaną rybę, zawołał jeszcze żołnierza i sześć szczupaków ogromnych nieść kazał za Paulinami, którzy wkrótce pożegnawszy go, odeszli.

Zdziwił się wielce ksiądz Kordecki, gdy ujrział brzemie jakieś na ramionach niosącego żołdaka, postępującego za księżmi; a za otwarciem bramy, poznawszy szczupaki, rozśmiał się wesół.

— Trafil właśnie, że piątek adwentowy o grzankach odbywamy — rzekł poglądając na rybę — no, to i chwala Bogu; my i o suchym chlebie wytrwamy przywyklejsi, a panowie szlachta uraczą się szwedzkim darem, jeśli nie zatruty.

— A warunki? — dodał.

— Oto i one — z westchnieniem wyjmując je z sukni, rzekł ksiądz Dobrosz. — Generał jak wczoraj, choć go do rany przyłożyć, — ale czy to długo potrwa?

— Dobra i chwila, bracia kochani! spieszę do Definitorium — rzekł przeor — chodźcie za mną.

Szlachta ujrawszy punkta w ręku przeora, pospieszyła za nim do sali, do której wtoczyli się i starsi zgromadzenia, i co było niezajętych nabożeństwem i pilnością około murów.

Ksiądz Dobrosz czytać począł, były to prawie też same co wprzód wymagania; wyrzec się Jana Kazimierza, za co zapowiedziano w nagrodę bezpieczeństwo osób, własności, opiekę wiary i swobodne spełnianie obrzędów; zamek zdać szwedzkiej załodze ze 150 ludzi, którą zakonnicy opłacać będą obowiązani, żołnierz miał sobie sam baraki sklecić przy murach, a oficerów do klasztoru przyjąć miano, szlachcie i żołnierzowi dozwolano swobodnie wynieść za glectami i powrócić do domów, toż panu Zamojskiemu z jego rodziną, ale wprzód powinien był odprzysiądz się Jana Kazimierza.

Miecznik węża pokręcił i pokiwał głową tylko słysząc ten warunek.

— *Malum supra omne malum* — rzekł cicho do siebie.

Ksiądz Dobrosz czytał dalej: Przeor podpisze kapitulację, bramy otworzą i wpuszczą naprzód generała ze świtą dla obejrzenia twierdzy; załoga wyjdzie nie przetrząsana.

— A! dojadło mu pod gołem niebem! — odezwał się Czarniecki — że sie pierwszy prosi pod dach.

— No i cóż teraz robić? — spytał przeor.

— *Cunctando!* — szybko podchwycił Zamojski — czas zyskiwać, a zatem nowych mu posłów, nowe targi i warunki, a *summa summarum* — nie.

— Ale wreszcie spostrzegą się, nie w ciemie ich bito — mruknął Czarniecki — że to *modulamina suspecta*.

— No! to wówczas jak sie spostrzegą — odpartł miecznik — radzić sobie bedziemy, a tymczasem, aby dalej, aby dalej; dzień zyskać dla znużonego żołnierza i to dobrze, a któż wie, może odsiecz jaka nadejdzie.

— Ba! odsieczy — rzekł pan Piotr — chyba od

Pana Boga się spodziewać, z mieczem ognistym, bo od Indzi, wątpię. Ma każdy dziś o czem myśleć i komu się oganiać, a my sobie i sami *favente Deo* rady damy, tylko mojem zdaniem bić a bić, i nie ustawać.

— Ale Waszmość nie wybijesz w półtorasta, dzie-sięciu tysięcy.

— Powoli? czemu nie! — odparł sobie pan Czarniecki — ciupać, ciupać pomaleńku i Boga chwalić, ziarnko do ziarnka...

— Ślicznie to mówicie — odezwał się z kolei przeor — ale nie od rzeczy i pana miecznika rada, bo krwi ludzkiej oszczędza, a krew nam przelewać...

— *Necessitas frangit legem* — zacytował pan Piotr — płakać nad koniecznością, a bić, a bić Szwedów.

— No! ale tymczasem i traktować pozwolicie, bo i to *necessitas*, tymczasem dziury w murze pozatykamy, a lud trochę odetchnie, to się żwawiej potem weźmie do boju — rzekł Kordecki.

— Otóż na to niezgoda — zawolał stary szlachcic — bo dla żołnierza i dla konia, niema jak praca ciągła, aby się zastał, to z nim źle. Człek w boju krzepi się i nabiera siły, a skoro mu dać drzemać, patrz on już i odrętwiał, i znów go musisz nanowo rozruchiwać.

Uśmiechnęli się niektórzy, zwłaszcza statysta nasz pan miecznik. Czarniecki swoim zwyczajem żżymając ramionami odszedł na stronę, widząc, że niema po sobie nikogo, a Zamojski korzystając z milczenia dodał: — No! tak! stanęło, wysłać im nowych postów i mîtreżyć.

— Zgoda! zgoda! — rzekł przeor — ale ksiądz Dobrosz i Stawiski pomęczeni, trzeba kogo na odmianę. Kto z ochotą? — Spojrzał przelożony po swoich braciach i oczyma wskazywał z brzegu księdza Bleszyńskiego i Małachowskiego. Ci natychmiast ruszyli z miejsc swoich.

— Idźcie i traktujcie — mówił do nich — idźcie w Imię Boże, ale nie spuszczajcie z pamięci, że nie kończyć, do niczego się nie zobowiązywać w imieniu

waszem uie możecie. Znajdziecie w sercach waszych środki przeciw groźbie, jeśli by nią ustraszyć was chcia-no, przeciwko złudnym namowom i sidłom nieprzyjaciela, a pomniście, że tu noga Szweda postać nie może. Jak tylko zbliżą się rzeczy ku Łońcowi, wymawiajcie się, że sami nie stanowiąc nie macie prawa. — Księża słuchali w milczeniu; wybór obu ich był szczęśliwy, choć zdawał się trafem tylko; oba posłannicy byli mocnego i wytrawnego charakteru, woli silnej i gotowi na poświęcenia wszelkie. Ksiądz Bleszyński w sile wieku, zdrowia i rozumu, zdawał się jednym z tych ludzi co się niczego nie boją, bo czują w sobie potęgę do pokonania wszystkiego, jeśli nie dłonią, to duszą; krzepki ciałem, miał w niem męskiego i chrześcijańskiego ducha; prawdziwy kapłan i *miles christianus*, z chciwością prawie przewidywał męczeństwo i wieńce cierniowe, pożądając ich uadewszystko. Ksiądz Malachowski choć z pozoru słabowitszy, choć milczący, cały w sobie, skupił także wielką siłę i wytrwałość w znakomitem dla świata sercu; religijny zapał nadawał mu ten hart bierny, który się pożyć nie daje, choć się dopiero uderzeniem objawia; a którego często braknie najsilniejszym. Bleszyński dałby się umorzyć z uśmiechem i śpiewem, Malachowski w milczeniu, ze łzami; pierwszy byłby psalm nucił na stosie, drugi na nim zajętyby był duszą swoją i cichą modlitwą, zawsze wątpiąc o sobie, a im bliższy doskonałości, tem goręcej jej pragnący, tem bojaźliwszy, by jej skaza jaka nie dotknęła....

Takimi byli wybrani losem, a raczej okiem przeora, które w duszach i przyszłości czytało. Pobłogosławieni przez niego włożeniem rąk uroczystem, natychmiast przywdzieli płaszcze, i wyszli do obozu.

Miller już na nich czekał konno wyjechawszy przed namioty, i za soba wwiódł ich do szałas.

— No! — rzekł — dość już tych ceregielów, przynieście mi punkta podpisane?

— Nie — odparł ksiądz Bleszyński, aleśmy przyszli o nie pomówić z waszą Ekscellencją.

— Jakto? jeszcze mówić! — zawołał generał marszcząc się — mogą być dogodniejsze? czegoż stoicie? co wam w głowie?

Nieulekniony wybuchem gniewu hamującego się jeszcze, ale już widocznego, ksiądz Bleszyński odezwał się śmiało: — Przeciwno punktom tym nie mamy nic krom jednego tylko.

— No! a toż jaki? — żywo spytał Miller.

— Przysięga świętą jest dla nas — mówił Bleszyński — wyrzec się Jana Kazimierza, złamać złożoną mu raz, nie możemy.

— On nie jest już waszym królem — wybuchnął Szwed stukając pięścią o stół — co to za mowa! co za myśli?

— Jeśli on nie jest, nie jest nim i kto inny — cicho począł ksiądz Małachowski — mamy przecie prawa fundamentalne, na których stoi państwo, mamy prawo elekcji, bez zachowania tych form nikt królem u nas być nie może; jeśli Karol Gustaw wybrany zostanie i przez Prymasa obwołany, będziemy go słuchać święcie.

— Słyszysz mnichu! — zakrzyczał Miller nderzając po mieczu — prawo nasze to siła, to szabla, waszych praw nie znamy, nie wiemy, i żartujemy z nich sobie, zwycięzcy rządźmy siłą nie prawem! Nie przysięgaliśmy na prawa wasze!

— Ale dla nas siła jest tylko przemocą, a prawo prawem zawsze — odparł stale ksiądz Małachowski, wchodzić w polityczne zajęcia i sprawy świata, nie nasza to rzecz; obowiązani jesteśmy panującym wiary dochować. Dla nas Jan Kazimierz choć wygnaniec, panuje dotąd, póki inny obrany nie zostanie...

— Wszyscy jednak odstąpili waszego Jana, wszyscy się go wyrzekli.

— Nie dla nas to przykład — rzekł Bleszyński — my zakonnicy świecie i Bogu i królowi dochować musimy przysięgi! choćby krew za nią przelać przyszło.

— Ha! — zawołał generał — to taka odpowiedź wasza!... chcecie krew przelewać? dobrze! będziecie jej

mieli do pasa, pokażę ja wam siłę moją i Karola Gustawa, zmuszę jeżeli nie chcecie słuchać dobrego słowa. — I rozżarty coraz widoczniej, chodził po namiocie, gniew nim miotał; sądził się u celu, a znów odepchnięto go od niego. — To są zwłoki, to są matactwa, to są szalbierstwa niegodne! Macie moc kończyć ze mną?

— Traktować, ale nie kończyć, rzekł Bleszyński.

— Więc pocóżecie przyszli?

— Traktować! — powtórzył cierpliwie pierwszy.

— Cóż to? żarty sobie stroicie ze mnie? — krzyknął rozjadając się coraz Miller. Ale ojcowie stali w obec płomienistych wybuchów jego gniewu, zimni, poważni, wytrwali jak skała, o którą się morze rozbija.

— Raccie się uspokoić i nie gniewać na nas — odezwał się po chwili Małachowski — posłowie, nie-siemy co nam nieść kazano.

— Posłowie! posłowie! — ze śmiechem szyderskim odparł wzgardliwie Miller. — Dobrze! zostaniecie tu u mnie panowie posłowie! A wy i wasze życia, będziecie mi zakładem końca tej głupiej sprawy. Żal mi, żem dotąd wam poblażał i zbyt był powolnym. Jeśli nie skończy się rychło to matactwo, głowy wasze padną....

Bynajmniej nie zmieszani groźbą Paulini, spojrzeli tylko po sobie, a ksiądz Bleszyński nieznacznie się uśmiechnął z dumą jakąś ochoczą; postrzegł to na nie-szczeście Miller i wpadł w sroższe jeszcze gniewy, sądząc, że śmieją uragać z niego.

— Ty się śmiejesz — zawołał przyskakując do Bleszyńskiego — śmiejesz się mnichu, wygolona palko, myślisz, żem obowiązany szanować kapłaństwo wasze, że się nie poważę! Co wy dla mnie! proch marny! za wasze życie włos mi z głowy nie spadnie; wyście buntownicy i spiskowi, każę was dziś jeszcze obwiesić.

Na to Paulini nie mogli już odpowiedzieć i zamilkli; przywołany zaraz oficer pieszego regimentu wziął

ich pod straż i wyprowadził z namiotu w obóz, między żołdactwo; a trębacza wyprawiono zwiastować klasztorowi, aby przysłano natychmiast umocowanych do traktowania ostatecznie, gdyż inaczej spadną głowy posłów, których jakby na żarty i zwłokę wyznaczono tylko. W dodatku obwieścić kazał Miller, że jeśli się jedno działo odezwie z klasztoru, jeden wystrzał da słyszeć, księży natychmiast powieszać każe. Wśród tej passji i gniewu, który miotał Szwedem, nadbiegł Wejhard, a zobaczywszy co się działo, pochwalił bardzo przedsięwzięte przez generała środki; nadjechał i Sadowski, ale ten zapytany o zdanie, zmilczał znacząco i szybko się usunął z widocznym wstrętem.

Tymczasem księza Bleszyński i Małachowski wiedzeni przez oficera do obozu, wystawieni zostali umyślnie na niesłychane obelgi i znęcanie szui wojskowej. Był to tylko początek ich męczeństwa. Urągowiska z nich samych, z ich sukni, z kapłańskiego charakteru, niczemby były, gdyby nie srogie bluźnierstwa, jakimi ich karmiono, gdyby nie miotanie się na świętości, których świadkami pomimowolnemi, a bezsilnemi czynili ich heretycy. Otoczono ich zaraz kołem, i jak dzieci bawią się bezbronnym owadem, tak żołdacy poczęli się znęcać nad cierpliwymi kapłanami.

Jedni targali ich, bili; drudzy kładli na oczy hełmy i dawali w ręce berdysze jako wojakom; popychali, plwali, słowem nie było rodzaju szyderstwa i przykrości, poniżenia i sromoty, nie było uczynku i wyrazu, którychby na nich nie spróbowano. Ale cierpliwość ich święta przemogła wszystko. Ksiądz Bleszyński chciał się modlić, wyrwano mu różaniec i zdeptano go nogami. Małachowski zakrył się kapturem, i natychmiast zrzuceno mu go z głowy. Ani przysiąść, ani spocząć, ani jeść nie dali im Szwedzi; a w końcu dla bezpieczeństwa, by nie uciekli, kazano ich powiązać sznurami i tak porzucono na wilgotnej ziemi, wśród obozu.

O! niema nic straszniejszego nad rozbestwionego żołdaka; jest to coś okrutniejszego nad zwierzę, bo ono zabija, ale nie męczy wymyślnie; żołnierz katuje

z dziką rozkoszą. Tu jeszcze różnica wiary ostrzyła uczucie nienawiści, a pomsza za zabitych towarzyszków nie znęcania podbudzała. Szczęściem dla męczenników, nie rozdzielono ich, i pozostawiono razem, mogli się więc jeśli nie słowem, to wejrzeniem wzajemnie pobudzać do wytrwania, choć dotąd duch w nich nie osłabł.

Rzuceni na pastwę najpodlejszym ciurom, najemnikom Karola Gustawa, w jednej godzinie, w pierwszej po uwięzieniu swem chwili, doznali więcej, niżeli w swych marzeniach męczeństwa spodziewać się mogli — śmierci tylko brakło, a ta była najłżejsza do zniesienia.

Miller ze swoją starszyzną, pewien już będąc, że twierdza odstrzeliwać się nie ośmieli, postąpili ku niej, usiłując korzystać z grozby i trwogi.

XXVIII.

Jak skoro doszła Kordeckiego wieść o nwięzieniu braci, łatwo się domyslił, co ich tam czekało w niewoli u Szweda; ukląkł biedny i zapłakał, aż miecznik musiał trzeźwić go słowy, wystawując, że Miller, jakkolwiek okrutny i samowładny, zbrodni się nad niemi nie dopuści, boby ta po całym polskim gruchnęła krajn i zaszkodziła sprawie Karola Gustawa.

— Zresztą — dodał zaraz — macie mnie jeśli chcecie w gotowości do traktowania, ja sam pójdę gotów, by ich uwolnić, niech tylko Miller da przyzwolonego zakładnika.

— Wy! — zawołał przeor — prawa ręka i wódz Jasnej-Góry! zlitujcie się! to być nie może!

— Pozwólcie mi tylko, pójdę chętnie, Bogiem się świadczę. Zyszcemy na czasie, zresztą ja może lepiej, może inaczej z Millerem od zakonników mówić potrafię. Byle tylko dał zakładnika gotów jestem tej chwi-

li... — To mówiąc z rześkością lat młodych wyskoczył i posłał od siebie z wrót trębacza, wzywając, aby mu odpowiedniego znaczenia zakładnika dano, że sam do Millera przybyć zamyśla.

Ale to spieszne postanowienie mężnego człowieka, stojącego na czele obrońców Częstochowej, we wszystkich znalazło opór. Przeor biegł sam odwozić od niego, toż i pani Zamojska, poważna matrona, której pospieszono dać znać o tem, przybiegła z synem do męża.

Piękna to była postać, typ owej polskiej niewiasty lat starych, jakich twarze dziś tylko już na popękanych widzimy płótnach: wysoka, poważna, silna i czerstwa, ale skromna i powolna, w oczach miała wyraz potęgi ducha, zarazem i tego pobożnego posłuszeństwa, które znamionowało kobiety nasze. Towarzyszka żywota i myśli męża, nie spieszyła mu odradzać poświęcenia, ale się raczej dowiedzieć o nim i odwrócić niebezpieczeństwo, jeśliby było nieużyteczne, uwagą, łagodnem przypomnieniem wszystkich obowiązków. Wiedziała, że miecznik rady jej nie odrzuci. Pan Stefan, młodzieniec lat dwudziestu kilku, szedł wiodąc matkę z uszanowaniem dziecięcia, z posłuszeństwem syna; nie miałby prawa uie ojcu powiedzieć, miał prawo pokazywać mu się, przypomnieć.

Właśnie pan miecznik wydał rozkazy i wysłał trębacza, gdy powracając spotkał żonę.

— Co to Tekłusiu — rzekł trochę zafrasowany — jejmość już ktoś nastraszył?

— Nie, panie Stefaunie — odpowiedziała spokojnie — nie takiżto ze mnie tchórz, choć w czepku chodzę, bym się łada czego ulękała. Ale cóż tak nagłe postanowiliście, nic mi o tem przecie nie wspomniacie.

— Bo to tak przyszło serce moje, jak z procy. Ot, wiesz, ksiądz Bleszyński z Małachowskim uwięzieni przez Szweda, chcą tam koniecznie kogoś z pełną mocą do traktowania; jużciż kiedy ci księża cierpią inam z założonemi rękoma stać się nie godzi; jak cię ko-

cham moja duszko — dodał — to koniecznie potrzebne.

— Czyż koniecznie potrzebne? — spytała poglądając mu w oczy — czy tylko tak pan Stefan gorąco wziął do serca?

— Ale wierzaj mi Tekłusiu, tak jest.

— Już się nie przeciwie, uchowaj Boże, ani odradzam, co potrzeba i co sumienie lub pocziwość każe, rób, aleś ty i tu potrzebny. Na co się narażać? wiedząc, żeś tu wodzem i głową, oni cię pewnie zatrzymają.

W tem i przeor nadszedł.

— Panie mieczniku! — wołał — nie z tego nie będzie, ja cię nie puszcze.

— Ale pozwólcieź i mnie trochę udziału w dobrej sprawie — rzekł Zamojski — wszystkobyście na siebie samych wzięli; a i mnież się chce listka z waszego wieńca!

— Wieńca, mój dobrodzieju, innego nad ten, który mi brat Jacek wygolił na głowie, nie żądam — rzekł Kordecki — Bóg widzi, odstąpię wam i całego, ale po co to narażanie się bez korzyści! — Pani miecznikowa milczała, widać w niej było walkę uczuć żony i matki, z uczuciem hohaterskiem poświęcenia i powinności.

— Kiedy tak ksiądz przeor mówi — dorzuciła po chwili — no to i ja śmieję ci powiem, panie Stefanie, choć kobiecą głową, żebyś nie szedł. Na zakładnika was oszukają, a chybaby Wejharda lub Sadowskiego dali, inaczej iść tam nie powinienes; potrzebniejszyś ty tu wszystkiemu.

Aż nadbiegł i zdyszany pan Piotr Czarniecki.

— E! do kata — wołał zdaleka — co znowu się święci? Co właściwie panie mieczniku w głowie? do obozu szwedzkiego się zachciało; a toć was te niegodjasze zamkną, ani chybi. To traktowanie całe, ja w to ciągle biję, nie potem, nie potem; po co traktować? chyba kulami. Fe! fe! albo to my Niemcy? Rznąć do nich gęsto i po wszystkiemu. Proszę państwa, z pozwole-

niem, że użyję trochę grubijańskiego porównania, gdy kłapouche wleżą do ogrodu, czy z nimi traktują?

Pomimo powagi tej sceny, wszyscy się rozśmiali. Czarniecki obrócił się do przeora.

— A co, ojczy, nieprawdaż? księży zatrzymali, i teraz grożą im, i nam będą po nosie pstryczki dawać. Ot już jak wałem opasują nas te bestje, to nie — potem — te... a tu strzelić do nich wara! bo na księżach mścić się będą; to tu wściec się przyjdzie.

Pan miecznik, któremu chodziło o uniewinnienie się bo postów radził, oparł się.

— Czekajcież — rzekł — nie nie ma straconego jeszcze, zobaczycie, ja sam idę do nich i księży uwolnię, bezemnie też się obejdziecie łatwo, a juściż nie powieszają!

Miecznikowa milczała, przeor ruszył ramionami.

— Nie pójdziesz waść, panie mieczniku — rzekł stanowczo — ja tu wódz i hetman, nie pozwalam i kwita! księży uwolnimy i bez tego, z Bożą pomocą, choć Bóg widzi jako mnie serce o nich boli, ale tak rychło rady na to nie damy — trochę cierpliwości.

Wtem i trębacz Jasuogórski powrócił, a zaraz i od Miłera wysłany za nim zbliżył się zakładnik, dowodzący jak sobie lekceważono pana Zamojskiego, bo to był opity Szwedzisko, co się ledwie na nogach trzymał, i że dla nałogu użyć go inaczej nie podobna było, a radzi się go byli pozbyć, więc go do twierdzy ślali. Jak tylko zobaczył go Kordecki, odprawił zaraz, nieumiejąc oznaki przelotnego gniewu utaić, a pan Czarniecki zbliżając się do furty, jak to był gorączka, zawołał sam do Szweda:

— A szoldro jakiś! (było to u niego najbrzydsze połajanie) zakładnikiem za pana Zamojskiego, nie może być jeno hrabia Wejhard lub Sadowski, a nie ty opoju, ciebie za pachotka byśmy nie przyjęli! Idź do kroćset...

I nie zważając czy Szwed rozumie go czy nie, płuła i zamknął mu furte przed nosem.

Opily przybysz posłuchał jak się słucha drzew szumu, dosłyszawszy nazwisko tylko, popatrzał obalwanionym wzrokiem, zawrócił się i powoli mruczając kroczył nazad, zkad przyszedł.

W klasztorze między zakonnikami, z powodu uwięzienia Błęszyńskiego i Małachowskiego, panował smutek i strapienie. Wszyscy ubolewali nad ich losem, choć go jeszcze nie znali, domyślając się tylko; groźba że ich zatrzymają, myśl że uprowadzić z sobą mogą, że narażono ich na niewolę i wyganie, dręczyła wszystkich. Starsi przecie widząc konieczność tego kroku, ten wybuch żalu powszechnego, uwagami zdrowemi uśmierzali.

Krom wielkiego strapienia wszystkich, był i inny powód niepokoju powszechnego, z przyczyny pochwycenia zakonników. Szwedzi zapowiedziawszy że za pierwszym wystrzałem twierdzy, powieszą mnichów, korzystali z tego fortelu wojennego. Wejhard był pomysłu twórcą. Skutkiem pierwszej chwili popłochu, w której zaniemiały działa Jasno-Górskie a lud na murach w obawie o życie księży, stanął wryty; — Szwedzi opasali górę i poczęli rwać się ku jej wierzchołkowi, jakby na strasznego lwa, któremu zęby i pazury odjęto. Widać było ruch skwapliwy przy szanicach, które z podwójną gorliwością sypano ua strzał działowy od murów; Olkuszanie i wieśniacy spędzeni do miny, poczęli ją dobywać i rozszerzać z pośpiechem. Obóz cały widocznie się okazywał zajęty myślą korzystania z tej chwili bezbrouności klasztoru; zataczano działa, namioty obwarowywano wałami, a piechota i rajtary podskakiwali pod same prawie kortyny; ze wszystkich stron je opasując.

Na nikim to takiego nie uczyniło wrażenia, jak na panu Czarnieckim. Zamojski patrzył poważnie i rachował; a pan Piotr uniesiony wpadł do celi przeora cały w płomieniach i ręce podnosząc, zawołał:

— Ojcze! dobrodzieju! łaskawco! jak nie każesz do nich dać ognia, to zwarzujemy i my i ludzie nasi; taż to sceny się dzieją pod nosem naszym bezkarnie;

Szwedzi podlażą pod same mury, latają, krzyczą, lają, naigrawają się, a tu nie można strzelić! Jeśli tak dłużej potrwa — no to ja o abszyt proszę.

— Ale mój kochany panie Pietrze — odpowiedział Kordecki — trzebaż choć pomyśleć co robić; nie godzi się pozbawiać zakonu dwóch godnych i gerliwych pracowników, nie namyśliwszy się dobrze.

— A ja głowę stracę — wołał pan Piotr — i o nie nie proszę księdza przeora, tylko ze mną na mur; zobaczycie, posłyszycie i przekonacie się, że tu więcej niż anielskiej cierpliwości potrzeba, żeby tych psów nie powitać kulą i prochem. Świętyby nie zierpiał..

Przeor dogadzając woli pana Czarnieckiego, który był mocno wzruszony, poszedł z nim na blankowanie i w istocie widok jaki mu się tn przedstawił w ostatnich dnia blaskach, był przykry i upokarzający. Twierdza milczała jak zamarła, ludzie stali u dział, szlachta i księza wzdychali lub niecierpliwili się tylko, Szwed podsuwał pod górę, otaczał ją i słychać było bębnów bicie, trąby i hasła; kopacze biegali z rydlami, z faszyną, z koszami na plecach, z kijami i dylami, działa posuwały się na nowo obrane stanowiska; wodzowie przelatywali na koniach z jednej strony na drugą, a ciury i szuja ze śmielszemi harcownikami, podbiegali pod sam prawie mur z głośnem wołaniem i krzykiem:

— Poddawajcie się klasztorni! lub mnichów waszych pobijemy, powiesimy. Oto już szubienicę stawia dla nich. Nie obroni was Matka Boska Częstochowska, krzyczeli drudzy po polsku. Inni ze śmiechem strzelali jak do wróbli do ukazujących się na murach głów załogi.

— A co! księże przeorze, a co? — zawołał Czarniecki — te psy poszalały, a ja, Bóg widzi, nie wytrzymam, kaźcie mnie zamknąć czy co...

— Panie Pietrze — rzekł Kordecki — niech szaleją. my wytrwajmy, przystoi żołnierzowi Matki Boskiej umiarkowanie.

— Jużciż i ja księże przeorze, kocham Matkę Boską, nie chwając się, ale chyba by mi Ona sama zaka-

zała pod obediencją, tobym nie strzelił, a tak stać, patrzeć, słuchać i milczeć, to oszaleć przyjdzie.

— To idźcież panie Pietrze do siebie, i doprawdy zamknijcie się może, bo dziś dopóki się nie naradзим i nie westchniemy do Boga, nic nie poczniemy przeciwko nim. Trudno strzelić, kiedy to wystrzał w piersi brata.

— No to ja sobie pójdę — rzekł pan Piotr — czapkę na uszy nasunął i uszedł ruszając ramionami, a wzdychał tak, że go po całej linii słyszeć było, i oglądał się to na działa, to na ludzi, to na przeora, czy go napowrót nie zawezwie.

Gdy Szwedzi tak harują i krzyczą, nagle ujrano ich, jak pierzchnęli trochę i o paręset kroków jakby pomiarkowawszy się cofnęli, stanęli. Z fossy wyszła przeciwko nim wysoka postać biała, o kij, której płachtą białą, wiatr rozwiewał daleko i długo. Przesądni Szwedzi wzięli żebraczkę za jakieś zjawisko; lecz po chwili widząc, że ta postać zbliża się ku nim i poznawszy starą żebraczkę, którą prawie codzień widywali, jeli się znów przysnuwać.

Kostucha wzięła kij na ramię, ręką się w bok podparła i wyprzedzając ich ku fortecy, poczęła jak buławą hetmańską machać swoim koszturem.

— A nu! — wołała — na mnry panowie! na mnry! najlepsza sprawa nie zwlekać! kiedy nie strzelają, bezpieczniuteńko i chwalebnie! To mówiąc — rozśmiała się. —

Kilku Polaków, co tam byli w tej kupie między halastrą dla groźb wysłani, zawstydzili się, zafrasowali i stanęli.

— Na mury panowie! — wołała Konstancja — a prędzej — wszak to z mnichami do czynienia, nie bójcie się, ja wam hetmanię!

Czy to wstyd tej śmiałej baby, czy inna myśl jąka odpędziła natychmiast Polaków, którzy powoli odciągać jedni drugich poczęli; Konstancja obejrzawszy się do-

koła, jęła się zbierać kule po ziemi i po chwili ukryła w fosie znowu, a już też i zmierzch padać poczynął.

XXIX.

Przez cały ten dzień Krzysztoporski chodził niemy, na swoim wydziale murów, jakby myśl jaką w sercu powziętą dojrzewał; nie odzywał się do księdza Mieleskiego. nie spojrzał co się w kolo niego działo, nie dowiadywał jak inni, i jakby go już nie walka nie obchodziła, to w okno Lassoty, to za mury poglądał. Ku wieczorowi zszedł, pochodził w podworcu; okrążył linie murów, zajrzał do dwóch izb swoich i powrócił nazad... Mieszkanie, które sobie sam wybrał pan Krzysztoporski, było sklepioną komnatą pod niemiecką basztą narożną; wykuty w szkarpie grubej przytykał do niej alkierzyk mały z jedną strzelnicą, pusty, wilgotny i oddawna niezamieszany. Grube drzwi dębowe na potężnych zawiasach, dzieliły izbę od alkierzyka. Nie wiedzieć po co, poszedł dnia tego po wschodkach do tej kryjówki, rzucił tam słomy trochę, obejrzał ją ze świecą i wychodząc próbował czy drzwi się zamykają, usiłując klucz dobrać do zardzewiałego zamka. Po chwili rozmysłu rzucił klucz i podjął go znowu, wahał się i szedł, wracał, odtrącił nareszcie żelaztvo, które był wyszukał, światło zagasił i na mur się wdrapał znowu. Napróżno ojciec Mielecki chciał go rozruszać, rozechmurzyć, usiłowania były nadaremne, chodził tak, aż dopóki go z innemi na radę nie wezwano.

Ksiądz przeor z zakonnikami i bracią szlachtą już szumnie a głośno, jak to u nas zwykła, radzili w defnitorjum, a ściany sali rozlegały się huczną rozprawą, w której niemal wszyscy mówili, a nikt słuchać nie chciał. Zdania były wielce podzielone.

Jedni chcieli bronić się, poświęcając mnichów, w przekonaniu, że się im Szwed nie uczynić nie odważy; drudzy radzili czekać jeszcze rachując na zimę, inni przebąkiwali o królu, o kasztelanie Kijowskim, inni rozpaczali i poddawali się chcieli. Pan Zamojski myślał, milczał, pan Czarniecki się niecierpliwił, aż mu wargi drżały.

— Co tu myśleć, co tu radzić — wołał głośno — co się stało to się stało, nam bić się i po wszystkim.

— Nie, nie, panie Pietrze — kochana gorączko — przerwał Kordecki — naprzód musimy wszystkie środki ocalenia ich wyczerpać. Mówicie, że Szwed nie odważy się na nich nastąpić, a czemużby to? alboż mało szlachty powieszał i postrzelał, alboż mało pościnał kapłanów i złupił kościołów? Nie świętość go wstrzyma pewnie. A drogie to nam życie i musimy ich oszczędzać, aby niepotrzebnie nie padli ofiarą. Dzień i drugi zdaniem wszystkich, Szwedzi podsuwając się nie nam bardzo złego uczynić nie mogą; działa nasze skoro się z konieczności odezwą, poprawią to, i odepchną ich znown... Tymczasem starajmy się ich ocalić.

Pan Czarniecki usunął się milczący, włożył ręce w kieszeń i odszedł na stronę. — Zamojski perorował, dowodząc potrzeby, żeby go puszczano dla traktowania, ale na to zgody nie było i szlachta okrzyknęła:

— To być nie może panie Mieczniku, całość i bezpieczeństwo klasztoru nie pozwalają i my nie pozwalamy !;

— Ani ja — rzekł przeor powolnie — z Bożą pomocą damy sobie rady i bez tego; jutro wyślemy kogo dla rozmowy — upamięta się Miller. A zresztą w mocy to Chrystusowej — co będzie to będzie, wyczerpiemy wprzód sposoby ratowania ich, a potem zrobim co powinność każe.

Ledwie tych słów kończył, wysforował się pan Plaza, jeden ze szlachty schronionej w twierdzy, na którego twarzy malowało się dziwne wysilenie; widać było, że

z czemś wystąpił na co mu nie łatwo przyszło się zdobyć; i z wielkiem pomieszaniem począł:

— Za pozwoleniem Waszej przewielebności, to więc widzę, że o zdaniu się nie ma mowy?

— Jakto, o zdaniu? — spytał Przeor.

— Bo jest nas tu wielu — kończył trochę ośmielony Płaza — cośmy tej myśli, że inaczej nie będzie tylko potrzeba zdać się Szwedowi i łaski jego prosić. Co to już darmo bronić czego obronić niepodobna! Niestety! król nas opuścił, uciekli wszyscy. Chan nawet rewokował traktaty, nie wojować nam z losem, lepiej prosić o warunki dogodne i spełnić wolę Bożą..

Zapłomieniła się oburzeniem twarz Kordeckiego i powstał jak stary rzymski senator z kurulskiego krzesła, jak kapłan prorok, aż do koła rozstał się przed nim lud wszystek, gdyby popchnięty niewidzialną siłą; — wznosił ręce do nieba, oczy ku niebu i zawołał przejęty:

— I wy to synowie tych ojców, co w boju zrodzili się, zrośli, pomarli, co nigdy nie wąpili o zwycięztwie, co nie ulekli się niczego, wy potomkowie niezwalczonych, których Tatarowie i Niemcy nie pożyli; wy mówicie dziś o poddaniu i poniżeniu przed nieprzyjacielem, na chwilę zwyciężkim. — Takżeśmy to już upadli? — To zwałpienie. ten postrach nikczemny, który śmiecie wyrzec już głośno, gubił nas i gubi! I nie wstyd wam nie mieć odwagi na śmierć chrześcijańską, a kochać nędzne życie nad ziemię swą, króla, swoją cześć i sławę! I nie wstyd wam drzeć jawnie i mówić o strachu! — Widzę! widzę! — kończył uniesiony — ten postrach dzisiejszy jak zepsuta krwi kropla popłynie i w przyszłe pokolenia, zlekniemy się gdy odwagi tylko będzie potrzeba; niezgody i kłótnie miotać nami będą; będziemy się chlubić naddziadami nie mogąc sobą — i legniemy pogardzeni w barłogu Łazarza. Małoż jeszcze mieliście cudów, że o cndach wątpiecie? Nie obroniłaż was już Matka Boska, nie opieramyż się sto-kroć większemu, silniejszemu wrogowi, my garść

starców bezsilnych? Trzebaż by mnichy dawali wam przykład wytrwania i wiary?

Plaza cofnął się i pobladł jak piorunem rażony, ale odzyskując fantazją i siłę, szepnął:

— To proszę nas wypuścić...

Ale go wnet zahukano tak, że słowo jego nie doszło nawet uszu Kordeckiego; a pan Czarniecki zaraz mu na kark wsiadł.

— Co to, waćpan oszalał? zakrzyczał, kto waćpanu dał prawo mówić, w czyjem to imieniu androny prawisz? I waćpan nie spalisz się, to mówiąc?

— Ale bo — ale bo — bekał Plaza, Szwed tak silny.

— Wypuścim waści do Szweda po obłężeniu, jeśli się podoba — kończył Czarniecki — smakuje ci Szwed, że silny, pokłoni się i djabłu, bo silniejszy jeszcze od niego! — Argument był za twardy do zgryzienia, choć nie bardzo przyprawny.

Ciż sami co przed chwilą pana Plazę popychali i do odezwania się skłonili, teraz odstąpili go; obejrzał się, chciał by go kto poparł, nie było za nim nikogo, skonfundowany, wlaź w kątek. Przeor tak mówił dalej: — Wiary, wiary! wołam i wołać nie przestanę — zgody i wiary daj nam Panie! To słowa wielkie, w nich oręż potężny. Módlmy się o nie, pracujmy na nie, uczmy dzieci w kolebce tych dwu słów tajemniczych, zgody i wiary, wiary i zgody! Nie opuści Bóg, jeuo zwątpiałych i zwaśnionych! Bo rozpacz i swary są znakiem, że w nas duch Boży nie mieszka. Dopóty Bóg z nami, póki wiary, póki zgody. A pan Zamojski dodał:

— Wszyscyśmy tu przyszli nie po co, tylko by życie położyć w ofierze dla czei Marji i dać dowód, że nie cały jeszcze kraj zwątpił i ręce po wieży szwedzkie wyciąga. Więc ofiary tej raz uczynionej nie cofajmy z ołtarza. Życie nasze, jeśli się Bogu podoba, odemnie wyrostka tego, jedynego mojego dziecięcia, oddam mu go — rzekł wskazując na syna — i idącego na śmierć pocziwają pobłogosławie.

Pan Czarniecki rzucił się ku Miecznikowi.

— Kochany panie Stefanie, krzyknął, mówisz złotem, każde walić z dział i zaraz na mury, w imię Matki Boskiej.

— O tem dopiero jutro pomówimy — zamknął przeor.

I burzliwa w początku narada skończyła się milczeniem; nikt już głosu nie podnosił, stanęło tylko na tem. by wysłać do Millera, starać się o wydanie księży, a gdyby odmówiono, zdawszy na wolę Bożą, bronić do upadłego.

Z tem się wszyscy rozeszli i przeor zadumany do chóru na modlitwę pospieszył, Zamojski z innemi na mury, gdzie dziś z powodu podkradania się Szwedów wielka pilność była potrzebną i podwójnemi ogniami oświecić je musiano dokoła, żeby nikt bliżej podsunąć się nie mógł. I nikt krom starców a dzieci, nie usnął w klasztorze, bo lękliwsi co chwila oczekiwali szturm, niespodzianego napadu i zdobycia; mężniejsi pełnili powinność. Jak cienie po murach przesuwali się zakonnicy i szlachta, witając hasłem i kilką słowy cichemi; gdzieś tam gdzieś szczęknęła broń, odezwało się głębokie westchnienie, a zegar na wieży bił powolnie ciemnej nocy godziny.

Jak na brzask, ujrano wielkie zamieszanie w obozie szwedzkim, ale trudno było w początku zmiarkować co ono znaczyło; jedni w niem odsiecz widzieć chcieli, drudzy zdjęcie obleżenia, inni jakiś postrach paniczny, a najzdrowiej sądzący, zamach na twierdzę. Niektórzy opowiadali, że dostrzegli od Krakowa drogą idący oddział, który Szwedzi przyjęli okrzykami radości, że sam Miller go witał, że jakaś potem ochocza nastąpiła wrzawa. Czekano rozwidnienia, żeby lepiej o powodzie rozruchu tego osądzić. Gdy o tem oznajmiono Kordec kiemu na wszelki wypadek, wybiegł zaraz chcąc własnymi oczyma to widzieć, bo się obawiał napaści niespodzianej; ale z gwaru, szumu i wrzawy nie wyrozumieć nie było można.

W tem też i dzień mglisty rozjaśniać się począł, pośpieś słońce weszło gdzieś niewidzialne za obłokami, i białą powłoką okryło świat, jakby sinemi dymy osuty,

A już i pod furta klasztorną grzmiała trąbka szwedzka i parlamentarz przybywał.

Był to wspomniany już przez nas dawniej Polak Kuklinowski, zawadjak i służbista, zawsze gotów z posługą, byle przy niej był gotowy kufel i miska; na twarzy jego widać było jakąś radość, a radość sprzymierzeńca szwedzkiego źle zwiastowała. Przeor czekał na niego w drugiej bramie, niechcąc go puszczać dalej, a rad będąc prędzej się coś dowiedzieć, przy nim był tylko nieodstępny Miecznik i dwóch starszych zakonników, defnitor i kaznodzieja.

Rotmistrz poświstując zbliżył się, gdyż mu oczu nie zawiązywano, a że to był rubacha i zawadyja, tak też bez ogródki począł:

— A co księżę przeorze, pora już przecie kończyć! co to sobie myślicie?

Na tę mowę i zuchwałą i głupią, nie było co odpowiadać, zwłaszcza że pan Kuklinowski we łbie się mieć zdawał. Zamojski ruszył tylko ramionami wzgardliwie.

— Czego jeszcze czekacie — rzekł Kuklinowski, żebyśmy w perzynę obrócili ten kurnik? ten murowany kopiec, który gdyby nie litość j. w. Millera nad waszem zaślepieniem, dawnoby już w grnzech leżał.

— Dziękujemy za litość — rzekł uśmiechając się przeor — zawsze to piękne uczucie, ale...

— Księżę przeorze — kończył Kuklinowski — tu niema co długo bajdurzyć, poddać się i kwita. — Czego czekacie? posiłków.

— No, a gdyby posiłków?

— Od kogo, od pana Czarnieckiego?

— Nicby nie było dziwnego, gdyby i ztamtąd przyszły!

— Cha! cha! zaśmiał się rotmistrz — spójrzycież, spójrzycież — wskazał przez okno po za mury.

Widok z okna był smutny, choć ożywiony; przeciągała pod fortecą, pod ośmią rozwiniętymi chorągwiami.

piechota polska Czarnieckiego, łatwo ją było poznać. — To oddział Wolfa! — zakrzyknął pan Zamojski. — Co to jest? on z wami?

Kordecki popatrzył posępnie z rezygnacją ale ani się wzruszył zbytnio, ani nadto zadziwił.

— Kraków się poddał — hałaśno odezwał się z tryumfem Kuklinowski, jakby go sam wziął — a ot i pan Wolf, co stał w Siewierzu bezpieczny, otoczony i tu przyprowadzony został, króla niema, wojska niema, wodzowie głowy pochowali, kraj zawojowany, w czymże teraz nadzieja wasza?

— W Bogu! rzekł jednym słowem przeor — któremu to wszystko nie odebrało odwagi.

— Jakto? poszalelibyście do tego stopnia, że myślelibyście jeszcze się opierać? — śmiejąc się odparł rotmistrz.

Wszyscy milczeli. — Kuklinowski słupiał.

— Cóż to jest? szal? delirium? obłąkanie? obłąkanie? — zawołał po chwili: — Traktujcie i ratujcie się, jam Polak, ja za wami i dla was mówię, bo mi was żal.

Kordecki gorzko się uśmiechał.

— No, cóż mi każecie odpowiedzieć Millerowi, który mnie posłał?

— Żeśmy Wolfa chorągwie widzieli, że wiemy już o wzięciu Krakowa, i że modlimy się za króla jego-ności.

— A traktowanie rozpoczęte?

— Mamyż jeszcze traktować — dumnie rzekł przeor — z tym który prawa powszechne narodów, prawa wojny, szanowane w chrześcijańskim, a nawet w pogańskim świecie zwyczaje poniewiera? dla którego posłowie nawet nie są święci, który ich więzi i znieważa! — Powiedz mu waść, że będziemy traktowali, gdy posłów naszych wypuści.

Kuklinowski chciał mówić, ale Kordecki pożegnał

go i odwrócił się zasepiony, ale niepokonany: polecił go odprowadzić do furty, a sam z panem Zamojskim osunął się wewnątrz twierdzy, gdzie widok regimentów Wolfa, polskich chorągwi w mocy Szweda i wieść o poddaniu się Krakowa niewysłowione uczyniła wrażenie. Zastał już na wszystkich podwórcach, jednych klęczących na modlitwie, płaczących drugich, łamiących ręce i wyrzekających, innych cicho szepczących coś z zajęciem; gwar wszędzie, każdy radził i mówił co innego, a na twarzach ciżby, był wyraz rozpacz, strachu, zwątpienia. Pan Czarniecki w czapeczce od hełmu, w kaftanie łosiowym z pod zbroi, z założonemi w tył rękoma, z głową spuszczoną, chodził i mruczał: Po wszystkim. teraz trutnie i bić się nie zechcą!

Kobiety z dziećmi małemi na ręku, kapłani starzy, czeladź, wszystko się było wytoczyło na mury w podwórze, poczepiało u baszt i jak w chwili pożaru, znajomi i nieznajomi witali się, pytali, rozmawiali z sobą, zwieriali sobie, użalali.

Wtem, wśród tego zgiełku myśli i głosów, stanął Kordecki, zsunął kaptur który mu twarz zakrywał i odezwał się: — Dzieci kochane! Kraków się poddał, Szwedzi go zdradą Wolfa wzięli, król opuszczony na Spizę, Polska zawojowana, oto kres nieszczęść naszych; chwila kary Bożej za grzechy bliska końca. Kiedy się sroży plaga gniewu Wszechmocnego, najbliższej zlitowanie! Jeszcze chwila a słońce zabłyśnie. Dziś nam Bóg powierzył najpiękniejsze stanowisko, i chciał nas słabych, a ułomnych mieć przykładem całemu narodowi. My jedni stale, pocziwie, opieramy się Szwedom, i wytrwamy, wiary nie złamawszy, do końca; korzmy się przed ołtarzem błagając Boga, módlmy się a czuwajmy zgodni, zwyciężymy!!

To mówiąc wskazał on obraz odmalowany na zewnętrznej ścianie kaplicy, dodając: — To nasza chorągiew, to zwycięstwo nasze... uciekajmy się pod Jej obronę, a nie traćmy nadziei. Czemuż nie moge jej

włać w serca wasze!... O Boże! daj mi siłę... Módlmy się, módlmy...

Domawiał tych słów, a tłum jak stal tak sypnął się ku Janitorium, ku kaplicy, z zapalem, z pośpiechem, z popędem niewypowiedzianym; jakby gwałtowne modlitwy pragnienie pędziło go ku ołtarzowi; i jak na puszczy Izraelici rzucili się czerpać z płynącego pod łaską Mojżeszową źródła, tu wszyscy pobiegli przed obraz Matki i Patronki. Muzyka na wieżycy zagrała: *Salve regina!*

Wielka o wielka jest modlitwy potęga, bo ducha podnosi, bo nas oczyszcza, bo nas tajemniczo przemienia. — Gdy wśród śpiewów, grzotów kotłów i trąb, organów dźwięku, woni kadzideł, jednym głosem wielkim zaśpiewał cały lud, aż się sklepienia wstrząsnęły, aż echo daleko rozeszło za mury; stanęli Wolfowi piechotynce naprzeciw kaplicy Bożej Matki, zdjęli hełmy z czoła zasępionego, poklekli, skłonili chorągwie...

Biedni pojmańcy — ich serce było u ołtarza, a broń ku niemu zwrócona!

Zaledwie Szwedzi to ujrżeli, gdy już regimenta Millerowskie pędziły dalej modlących się Polaków, i mało kto postrzegł to przyklęknięcie, które objawiało w użytych przeciw Częstochowie żołnierzach, synów królowej co tu panowała.

Miller z Wejhardem sądzili, że uwięzienie posłów, ukazanie Wolfa, wieść o poddaniu Krakowa, o wyjściu Czarnieckiego do Budzyna przyspieszy, znagli poddanie. Nareszcie myślał hrabia, zwyciężamy! i już się zemstą cieszył, już w myśli upokorzał dumnych mnichów, którzy śmieli go nie słuchać. Wielkie było zdumienie w obozie gdy Kuklinowski powrócił z odpowiedzią: — Niech posłów uwolnią.

Miller się pochwycił z siedzenia.

— Zaraz — rzekł — ja ich uwolnię, gdy na szubienicę pójdą. Co oni mi śmieją prawić o prawach wojny; alboż to twierdza, ta ich lisia jama, ta buda, alboż to żołnierze i wodzowie. alboż to posły?

I rozśmiał się ze złością, a rozgniewał znowu namiętniej i zaczął otaczać, zbliżać pod twierdzę, opasywać ją jak najściślej, krzykami, postrzałami uciemniając mnichów, którzy się brouić nie mogli.

Sam, co chwila niecierpliwszy i chmurniejszy, całą swą złość na Wejharda wywierał, zawsze jeszcze przypisując mu wszystek wstyd i klęski swoje.

— Gdyby nie ty panie hrabio — mówił — byłbym swobodnie i wygodnie w Prusach się wylegał, gdzie i kraj lepszy i przynajmniej coś byśmy do tej pory zrobili, a tu stoim i sromotnie targamy się z mnichami, którym rady dać nie możemy.

— Ale panie generale, jesteście u celu! — powtarzał Wejhard.

— Gdzież ten cel? racz mi go wskazać.

Wszakże niemal wzięliśmy Częstochowę, już *ultimis spirat...* za kilka godzin się podda. Wachler zaręcza, że i prochu nie mają i załoga ręce wyciąga; byle najmniej jej pomódz, to się zda.

— Czemuż się nie zdaje?

— Szturm przypuścić — rzekł Wejhard.

Rozśmiał się Miller.

— Nie robiwszy wyłomu! nie zasypawszy fosy?

— Baterja od północy pracuje nad wyłomem.

— Przecież go dotąd nie zrobiła, mur gruby i kule gdyby powarjowane nie wiedzieć dokąd lecały... gdyby nie wstyd, jużbym odstąpił; tu jest coś niepojętego...

— Istotnie byłoby to wstydem dla wojsk J. K. Mości. Wittenberg wziął Kraków, a Miller nie podolał Częstochowie, i pan Kordecki lepiej sobie dał rady od pana Czarnieckiego, co zęby zjadł na wojacze. Wiesz panie generale coabyś utracił odchodząc? Maszże wyobrażenie skarbów tego miejsca?

— Mówileś mi o nich, mój hrabio, do syta, ale jak poddanie Częstochowej wróżysz codzień, a jednak go nie widać, tak i tu musisz bałamucić trochę.

— Na własne widziałem to oczy! — zawołał Wejhard, łechtając chciwość Szweda, którą znał za pa-

nującą jego namiętność. Ołtarze są niemal całe srebrne, okryte klejnotami od stropu do posadzki, skarbiec pełen złota i drogości, naczyń kościelnych, pereł mnóstwo... posągi nawet lane są z kruszców kosztownych, a lekko licząc kilkakroć sto tysięcy talarów znaleźć się powinno gotówką. Nie liczę już drobniejszych przyjemności i dogodności...

Miller słuchał, i rozwidniło się na jego twarzy, poczynął się uśmiechać. Wtem podano mu list od Kordeckiego; przeor w nim jak przez Kuklinowskiego naglił o uwolnienie posłów.

— Gdybyś, mówił w końcu, na ich życie (czego nie sądzim) nastąpił, zdajemy się wszyscy na wolę Bożą, bez której włos nie spadnie z głowy; niech umrą jeśli śmiercią swoją mają okupić swobodę, której wszyscy obłożeni do ostatka temu bronić nie przestaną!

Zastanowił się wódz stary, i na wojakn ta dumna w nieszczęściu moc niepokonanego ducha zrobiła nareszcie wrażenie, ale przelotne jak błyskawica; zagrał zaraz w nim gniew miłości własnej piosenką:

— Przywołać tu jednego z tych mnichów! — krzyknął do ordynansa...

I za chwilę skrepowanego, bladego, wycieńczonego wprowadzono księdza Bleszyńskiego, który stanął przed generałem niemy, ponury, ale niezgięty. Cała noc uragań, bezsenności, widok szwedzkich heretyckich porywów na świętości wiary, słowy i ręką targających się, wielce zmieniły kapłana, złamały ciało jego, chwiały się na nogach i pot zimny oblewał mu czoło, dusza podniosła się tylko ku Bogu.

Miller był jednym z tych ludzi, na których cierpienie robi to wrażenie, co krew rozlana w boju — rozjusza; uśmiechnął się ujrzawszy księdza w tym stanie i wskazując mu na klasztor rzekł:

— Idź do swego przeora, a powiedz mu coś widział w obozie moim, niech się poddają, póki pozwalam się poddać; a powracaj tu, bo inaczej towarzysysz twój wi-

sieć będzie, klnę się honorəm żołnierskim, jeśli nie powrócisz, zginie.

XXX.

Braciszek Paweł na bramie pacierz odmawiał klęcząc, gdy ujrzał z żołnierzem szwedzkim, na powrozie wiedzionego księdza Bleszyńskiego, bladego i ledwie mogącego utrzymać się na nogach; po sukni nawet znać było co wycierpiał, bo na niej i błoto i sznury i szarpanie żołnierzy zostawiły ślady. Jak gdyby Bóg wysłuchał gorącej jego modlitwy, bo się właśnie z innemi na tę intencję modlił; ukazał się ksiądz Bleszyński. Poskoczył braciszek otworzyć, ale osmutniał zobaczywszy, że Bleszyński był sam jeden i w takim opłakanym stanie.

— A wracacie dzięki Bogu! — rzekł wznosząc ręce — biegnę z tą wesołą nowiną do księdza przeora, gdzież ojciec Zacharjasz?

— Nie cieszcie się bardzo z mojego powrotu, bracie Pawle! — rzekł ksiądz — wróciłem tylko posłem szwedzkim... a ojciec Zacharjasz został między niewiernymi.

— Jakto? więc... więc was jeszcze nie uwolnili?

— Daj mi odetchnąć! — i rzucił się przybyły na ławę w izdebce furtjana. — A! bodaj to — rzekł — bodaj każdemu swojemu się parać! Jakże mi żal tych chwil spokojnych, w celi mojej spędzonych, w chórze, w kościele... życie zakonne to raj ziemski, trzebaż nam je było zamienić na wojnę i walki...

— A! cicho! cicho! — odrzekł brat Paweł z prostotą i zapalem dziecięcia, jeszcze kto usłyszy że narzekacie! To ksiądz przeor kazał... i na chwałę Matki Bo-

skiej cierpiemy; co tu szemrać; nie rozpaczajcie, wróćcie czasy spokojne. A możebyście się czem posiliłi?

Ale ksiądz Bleszyński spuścił głowę i milczał, spoczywał... Jeszcze wrzawa obozu tętniła mu w uszach, jeszcze ten tłum szalony wirował mu przed oczyma, i zdało mu się, że go ktoś szarpie, że go wiodą... Mimo tych mar strasznych, znużenie było tak wielkie, że usnął siedząc. Zobaczył to brat Paweł i posłał dać znać przeorowi, że Bleszyński przyszedł, ale osłabły jak siadł, nie wstaje snem ujęty.

Wszyscy się więc potoczyli dla widzenia z nim do bramy, a trzask wchodzących zbudził ze snu zakonnik, który krzyknął i obłąkanym powiódł wzrokiem po znajomych twarzach.

— Jakto? — rzekł nieoprytomniony jeszcze — jestem tu w klasztorze? cóż to było?

— Uspokójcie się, uspokójcie — zawołał Kordecki siadając przy nim — dzięki Bogu, że was widzimy... a coście wycierpieli ofiarujcie Bogu.

— Prawda — rzekł Bleszyński wiodąc ręką po czole — wycierpiałem wiele, a Bóg wie co mi jeszcze zostało do wypicia... może śmierć.

— Jakto? mówcież! a ojciec Zacharjasz?

— Ja wcale nie jestem uwolniony — rzekł Bleszyński — ani on... tamten jeszcze w więzach, a ja tylko posłem od Miłlera tutaj. Noc i dzień przebyliśmy okropne, napatrzywszy się, nasłuchawszy, nacierpiawszy nragowiska, bicia i obelg i bluźnierstw, że nam się to wiekiem zdało! Szwedzi wymyślnie znęcali się nad nami. Służyliśmy im za zabawkę nocną, a oka żaden z nas nie zmrużył, bo związani, przyparci do ściany spalonego budynku, prócz mokrej ziemi nie mieliśmy ładu na czem. W ostatku śmiercią nam grożą. Dziś rano wysłał mnie Miłler zapowiadając, że jeśli nie wrócę, ojciec Zacharjasz powieszony zostanie, na co się zaklął. I nie trudno wierzyć, że zrobić to gotów.

— Jakto? musicie znowu powracać?

— Wrócę zaraz! — rzekł Bleszyński — wrócę, woła Boża, nie obawiam się śmierci, gorsza męczarni go-

dzina w tej jaskini zbójeckiej. I przyszedłem — dodał z westchnieniem — nie pomnożyć waszą odwagę, ale jej odjąć...

— Wy! wy! ojczu Bleszyński? — spytał zdziwiony Kordecki.

— Ja... tak jest..., sumienie mi to każe. Ogrom sił szwedzkich, wprawni wodzowie i wojsko, wszystkie drogi odsieczy przecięte... cóż na to poradzić? Miller zakładał się zdobyć koniecznie i zdobędzie Jasną-Górę, a wówczas! a! nie chcę pomyśleć nawet co się stanie! Święte to miejsce, które poddaniem tylko ocalić możemy, będzie łogowiskiem heretyków i płacem ich świętokradzkiego igrzyska.

— Ojczu! — rzekł przeor smutno — samiście byli za obroną, mogłoż jednej nocy cierpienie tak zmienić zdanie wasze?

— Nie cierpienie to mnie zmogło, ale oczywistość; chybaży Bóg zesłał aniołów swoich, inaczej obronić się niepodobna; samo usiłowanie o to, w pośmiewisko nas poda. Głód jeden zmusi do poddania. Czyńcie co się wam podoba, bo i życie moje oddaję na wolę waszą i nie wzdygam się cierpieć, ale widziałem oczyma własnymi potęgę Szwedów; znam garść naszych niesfornych wieśniaków, w którą co chwila ducha wlewać potrzeba, bo go co chwila traci; — i świadczę się Bogiem, że nie dla siebie to mówię, ale dla was! Traktujcie i poddawajcie się, lub czyńcie...

— Jak Bóg natchnie — przerwał zamyślony przeor z westchnieniem. — Tak — dodał poglądając na pana Zamojskiego znacząco — traktować potrzeba, traktować będziemy, ale nie przymuszeni nożem na gardło, nie postrachem parci, nie złapani w matnię jak żacy, traktować będziemy godnie i jak na nas przystało. Niech Miller wyda was naprzód, niech nie postępuje z nami jak z dziećmi, które groźbą brać można, a naówczas pomówimy.

Z wyraźną niechęcią przeor słów tych domawiał, wyrzywały mu się one, jakby przemocą wyciśnięte, jakby z wzdrygnięciem wewnętrznym.

— Co wy na to, panie mieczniku?

— Ja, zawsze i wszędzie godzę się na zdanie wasze, księże przeorze — odparł Zamojski — bo zawsze i wszędzie to zdanie najlepsze i najzdrowsze; piszcie do Millera w ten sposób.

— Nim się to uczyni, ojcie Błęszyński, chodźcie z nami, rzekł Kordecki, do kaplicy i klasztoru, odzyskacie siły patrząc w oblicze świętej patronki, a ducha wam doda męstwo braci.

— Ja na śmierć gotów jestem, a Bóg świadkiem, że się jej nie boję — odrzekł zakonnik — ale mi srogi żal Jasnej-Góry, żeby ją w kupę gruzu nie zmieniła ta tłuszcza siepaczy.

— Ojcie! ojcie! a Pan Bóg? — spytał surowo Kordecki, zawsze swoją śpiewając piosnkę.

— A czyżesmy warci cudu?

— My nie; ale święte Jego ołtarze.

— Ma on ich wiele po świecie, a gdy ołtarz burzyć pozwala, to na karę ludzi. Jemu chwałę wiekiustą śpiewają Archaniołowie.

Ze spuszczoną głową, wolnym krokiem, wybladły więzień szedł powoli, a tu go wszyscy otaczać poczęli pytaniami, uzaleniem, ciekawością narzucając się natrętną. Odzyskał przytomność i trochę siły zakonnik. Widząc się między swoimi, nie chciał nadaremnie straszyc zamkniętych w twierdzy, a na zapytania ich odpowiedział tylko, że z listem przyszedł i z listem powróci.

Ten powrót, który Błęszyński uważał za konieczność, bo nim ocalał życie Małachowskiemu, wielu się wydał czem był w istocie — heroizmem; największe bowiem podobieństwo było, że oba poginą. Tak choć jeden mógł ocaleć; ale ksiądz Błęszyński dał słowo i pragnął męczeństwa.

Wielkie znów były narady, wielka wrzawa w defensorjum. Płaza przewodzca tchórzów, wystąpił powtórnie z radą poddania klasztoru, ale go Kordecki wprost ofuknął.

— Szukałeś tu waść, rzekł mu, schronienia, siedźże spokojnie, módl się i czyni co ci czynić dadzą dla wspólnej obrony, a nie mieszaj mi się do tego o co cię nie pytają. Ja tu jeden jestem naczelnikiem i wodzem, ja rządzę i rozporządzam, ja Bogu i ludziom za to co czynię odpowiem.

Usunęli się więc znowu bojaźliwi i już nie odzywali, a ksiądz Błęszyński z listem powrócił do obozu.

Ledwie kilka upłynęło godzin, aż i ksiądz Małachowski za nim się zjawił, w innej postaci, lecz nie mniej znękany swą niewolą; sił mu nie brakło, bo je oburzenie podwajało, cały w płomieniach, wstrząsał się, zrywał i pioruny Boże wyzywał na Szwedów.

— Nowy poseł, rzekł Kordecki ujrawszy go w swojej celi, gdzie się zgromadzała rada wojenna, i wyciągnięciem ręki, powitał ojca Zacharjasza.

— Co nam przynosisz ojczu?

— Toż samo co ksiądz Błęszyński, też słowa, też rozkazy, z dodatkiem, że jeżeli się nie poddacie, jutro śmierć nam... Miłler na to przysiągł.

Kordecki stauął wryty i wszyscy zamilkli.

— Nic nie pisze? — spytał.

— Nic. Dwa tylko polecił mi rzec słowa: jeśli się nie podda Częstochowa, wezmę ją szturmę, ale wprzód wy, przewrotni posłańce, wisieć będziecie.

Uśmiechnął się przeor dumnie i śmiało.

— Bogu dzięki! — rzekł.

Wszyscy się zdumieli temu wykrzyknikowi.

— Śmiercią, mówił Kordecki, nie może was ukarać, boby oburzył wszystkich Polaków w obozie, a gdyby to i uczynił, wy męczennicy byłibyście może zbawcami Polski, a krew wasza odrodzenia i oswobodzenia stałaby się zakładem. Ale nie... nie! czuje dusza moja, że nie padniecie ofiarą! Nie! Słowa Miłlera są dla mnie dowodem siły naszej! Dlatego rzekł: Bogu dzięki! Gdyby zdobycie było łatwe, pocóżby groził, pocoby szukał takich sposobów dla zmuszenia nas? Nie widzicież, że te fortele jak na dłoni ukazują iż nas pokonać siłą nie umie?

Pogodniejszy wyraz twarzy wszystkich, ~~z~~plastował, że zrozumieli przeora...; on kończył:

— Powiedźcie mi, ojcie Zacharjaszu, a obłąkane owieczki, kwarciani i inni Polacy, czy wspomagają Szweda?

— Stoją tylko, płaczą i patrzą, odpowiedział ksiądz Małachowski, ale i to zgroza, i to okropnie, że patrzeć mogą, a oręż im się nie zapali w rękach, a dusza z nich nie skoczy! wiecie co to jest obóz szwedzki. Nie! nie! wy go tylko widzicie z daleka z różnofarbnem, wesołem, jasnem, zborzyszczem ludzi; a w środku... to piekło!

I wstrząsnął się ze zgrozą i przeżegnał.

— Co jest w świecie rozpusty i brudu, to się tam złało jak do rynsztoka... Ale siła wielka i męstwo szatańskie, bo opile bestje, było bezrozumne, jak było idzie na śmierć.

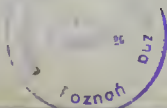
— Takie wojsko, odezwał się Kordecki, nie może zdobyć kraju! — może go opanować zdradą, strachem, może chwilowo go zalać, ale go zagarnąć — nigdy! Nie ma tam siły, nie ma żywota, nie ma myśli. Ślepa odwaga żołdaków, umiejętność wodzów nie dosyć! to nie są ludzie przeznaczenia, bo idą bez Boga. Karę Bóg tylko domierzył sromotną i pokazał kto niezgodnych zwyciężyć nas może — ale to pierzchnie jak obłok w dzień letni, gdy wybije godzina.

Nikt nie odpowiedział.

— Ojcie, dodał przeor, gdy spoczniecie, zanieście mu odpowiedź jedną, niech was uwolni, a będziemy traktować; powiedźcie mu, że życie nasze i wy i my wszyscy poświęcimy chętnie za sprawę świętą... Niech się stanie wola Boża.

Wniosek przeora, który z groźb przewidywał brak siły, trafiła do przekonania wszystkich: milczeli na wpół ubezpieczeni, wpół uspokojeni nadzieją, że Szwed mnichów wyda i traktowanie się rozpocznie.

Doniero po wyjściu wszystkich, gdy Kordecki sam z sobą pozostał, trzeba go było widzieć, by mieć pojęcie potęgi ducha tego, który walczył ze zwątpieniem



zawszad mu wlewaniem, słowy i czynami... Z bohatera, z wodza, u stóp krzyża przed którym pokłękł w pokorze, stawał się pokornym kapłanem; drżącym w obliczu Boga grzesznikiem. Ogrom odpowiedzialności, ciężającej na jego ramionach, przerażał go; truchlało serce, drżał cały, płakał i modlił się. A gdyby go równać cierpieniem; rzekłbym, że tak upadał na duchu Chrystus Pan, gdy się zbliżała męki Jego godzina, choć znieść był gotów męczeństwo.

Kordecki mężny przy ludziach, sam z sobą trwożył się nieraz; ten ogrom szwedzkiej siły, te zgodne wszystkich rady poddania się, to kraju nieszczęście, miotaly jego duszą... Ale gdy pomyślał, że Jasną-Górę splamią heretycy, że po wiek wieki powiedzą ludzie, zaświadczać dzieje, iż Kordecki i Paulini Szwedom skarb ten wydali; gdy nieprzyjaciela wspomniął, wszystko co on uczynił na ziemi polskiej przeciwko jej synom, na jej zgubę; mężtwo się odzywało, oburzała dusza, zrywał się z modlitwy i wołał:

— Lepiej umrzeć w obronie.

Walczył w nim człowiek słaby, z nieśmiertelnego ducha popędem; duch czuł, że wszędzie i wszystko potęgą swą złamać powinien; człowiek rachował, ważył i widział same niepodobieństwa. Lecz gdy wspomniął na cuda, które Bóg Chrystus uczynił po wszystkich świecie, gdy pomyślał o opiece Marji królowej nieba, gdy zliczył chóry zastępów anielskich i siły niewidoczne a potężne niebios... mężniał i krzepił się. I tak naprzemiany łyzy z odwagą, zwątpienie z męczeństwem i wytrwałością, bily się w sercu jego. Ale Bóg sam widział walkę, ludzie widzieli wodza-kapłana, mężnego i nieugiętego, który na wszystkie namowy, wieści, postrachy, odpowiadał stale:

— Nie podda się Częstochowa.

Dwóch tylko ludzi, w wielkiej liczbie obleżonych dorównywali mu duchem: miecznik Zamojski i Czarnecki, reszta z różnem usposobieniem, przechodziła ze strachu do zuchwalstwa, kryła bojaźń milczeniem, lub

objawiała ją bezwstydnie, wierzyła w klęskę i starała się ją zmniejszyć, oczekując z rezygnacją lub rozpaczą. Lecz wielki, wielki jest wpływ choćby jednego człowieka, co słowem jak dłonią olbrzyma, dźwiga serca i podnosi wysoko; czują ludzie wyższość, podbici nią milczą i wstyd im zeznać się słabymi w obliczu siły; pną się do niego, choć pozornie chcą mu dorównać. Taki był wpływ Kordeckiego, którego ukazania się dość było, by zmienić szmery niechętne, czasem w zawstydzone milczenie, czasem w chwilowy zapal.

Szlachta radaby się była bronić, ale wieść o wzięciu Krakowa, o zagarnieniu Wolfa, o pobycie stałym króla na Spizu i o mniemanych rakuskich posiłkach, których więcej się obawiano, niżeli ufano — odejmowały wszelką nadzieję; wszyscy wołali: *Finis Poloniae* i łamali ręce sam na sam, choć się krzepili dla drugich. Cóż powiedzieć o ludzie co szedł zmuszony lub zapłacony do walki, nie podniesiony do niej sercem jeszcze, u którego każdy posłuch znajdował wiarę; zarówno chan Tatarów idący w pomoc Janowi Kazimierzowi, jak rzeź połowy Polski przez Szwedów uknuta... Lud codzień się wahał, i oddawał, to nadziei niepewnej, to bezmiernej rozpachy, drętwiał znużony, lub szedł walczyć jakby szaleńcem zdjęty... Chwilami przed obrazem męźniał w kościele, podnosił się do gotowości męczeństwa, ale to były chwile tylko. Takie to zbiorowisko ludzi, taką garść miał pod sobą Kordecki, i z nią, potężną duszą, a wiarą, bronił się kilkotysięcznej sile, staremu wodzowi co życie spędził w boju, zdradzie, przemocy i groźbom...

XXXI.

Kordecki szedł korytarzami do klasztoru następującego ranku, gdy starzec zapłakany upadł przed nim na kolana; cofnął się zakonnik złękniiony i zdziwiony.

— Co to jest, spytał, czego chcecie?

— A! — zawołał stary zachodząc się od rzewnego płaczu, nieszczęście wielkie, nieszczęście, ja mówić nie mogę, pytajcie, pytajcie!! Tuż za nim w ślad biegł ksiądz Piotr Lassota, zmieniony łamiąc ręce.

— Co to jest? ubiegli twierdzą! zdrada! co się stało? spytał przeor strwożony.

— Nie, nie, przerywanym głosem rzekł ksiądz Piotr, nieszczęście, zbrodnia...

— Zbrodnia! tu! ale mówcież, Bóg z wami, co się stało? umarli męczennicy nasi?...

— Nic, nic, to nasze tylko nieszczęście.

— Cóż się stać mogło? zabito kogo?

— Zabito czy porwano, nie wiemy — rzekł ksiądz Piotr Lassota... Widzieliście Hannę, wnuczkę naszą...

— A i cóż się jej stać mogło?

— Znikła! zginęła! wczoraj wieczorem poszła do kaplicy... i nie powróciła.

— Przysięgam, to Krzysztoperski, to zemsta jego nademną! zawołał starzec, to on, to ręka jego...

— To być nie może, odparł przeor zadziwiony, tu, przy ołtarzu Boga, wobec niebezpieczeństwa; taka zbrodnia! to niepodobna! Ale jakże się to stało?

Oba Lassotowie nie byli w stanie opowiedzieć, nadbiegł przecie ktoś trzeci, sąsiadka Lassotów, pani Jadwiga Jaroszevska i ta lepiej rzecz opisać mogła.

— Handzia, odezwała się, bo stoimy przeddrzwi tylko, często wieczorami chodziła do kaplicy, gdy stary pan Lassota usnął; otóż i wczoraj nawet widziałam kiedy wychodziła, a już zmrok gęsty padał, pobiegła sama, i czekali jej, czekali, ani śladu... nie powróciła.

— Może gdzieś omdlała? potrzeba szukać.

— A! obiegliliśmy cały klasztor, przetrzęśli wszystkie katki, nigdzie wieści, nigdzie śladu.

— Gdyby była zabita, przypadkiem czy umyślnie, byłby znak jakiś...

— To Krzysztoperski, powtórzył starzec łamiąc ręce, nieszczęście mnie tu przywiodło; jakem go tylko

ujrzał, zaraz mi się serce ścisnęło... Czułem moją zgubę. Czemużem lepiej nie skrył się gdzie w lasy i nie umarł z nią razem z głodu... nieszczęśliwe dziecię... może ją Szwedom wydał...

I padł na ziemię, zachodził się a płakał; ksiądz Piotr chciał cieszyć, ale jak pocieszać było? Kordecki sam ujął pod rękę i chciał zaprowadzić do mieszkania, ale starzec już wrócić nie mógł tam, gdzie był z wnuczką wprzód, dobijało go wspomnienie, zaprowadzono go do celi księdza Piotra.

Tymczasem Kordecki, który przypuścić nawet nie mógł takiej zemsty, i nie śmiał o nią obwiniać Krzysztoporskiego, dziwnymi rozbijał się domysły i poszedł surowo milcząc na mury. Chciał spojrzeć w oczy obwionemu i wyczytać przez nie, co się działo w jego duszy. Jeszcze nie doszedł do baszty, w której spodziewał się znaleźć, gdy go spotkał na drodze.

Krzysztoporski był chmurny, dziki jak zawsze i zblakane miał wejrzenie, zadumę smutną na czołe, troskę w duszy widoczną, ale dnia tego udana czy prawdziwa radość błyskała mu ze źrenic; zdawał się jakby uspokojony, jakby nasycony. Pierwszy powitał przeora, który milcząc badał go wejrzeniem.

— Zszedłem tylko na chwilę z murów, żeby zobaczyć zapasy prochu nasze, ale ojciec Mielecki na stanowisku, wracam zaraz, on mi świadek, że dzień i noc na czatach, ani z nich schodzę.

Przeor patrzył jeszcze, Krzysztoporski mówił dalej:

— Na pierwszy znak do boju, jesteśmy w gotowości.

— Słyszeliście o wypadku? spytał Kordecki.

— O jakim? dosyć spokojnie ale spuszczać w dół oczy, odparł szlachcic. O księdzu Małachowskim i Błęszyńskim?

— Nie, o wnuczce pana Lassoty.

Krzysztoporski wargę oddał i brwi namarszczył.

— A cóż się stało? spytał.

— Znikła! rzekł Kordecki, rzecz niepojęta.

— Może zabita, cicho szepnął szlachcic.

— Wszak od tego nieszczęsnego traktowania nie strzelają...

— A któż wie, może się gdzie utopiła, rzekł Krzysztoporski, spadła z murów, zresztą tyle tu hałastu.

Przeor uważał nań bacznie, ale szlachcic w niczem zwykłego swego pozoru nie zmienił; że obojętnie to przyjmował, nie było dziwne.

— Panie Mikołaju, odezwał się po chwili namysłu przełożony, wiemy że Lassota i wy, byliście śmiertelnymi nieprzyjaciółmi...

— Byliśmy? Jesteśmy! odparł, ale cóż z tego ojciec?

— Wiecie, że was wszyscy o to zniknięcie posądzą?

— Czuję, że tak być musi.

— Jesteście spokojni na sumieniu? możecie przysiąc, że to nie wasza robota?

— Aby człowieka o zbrodnię posadzić, trzeba czegoś więcej niż nieprzyjaźni, potrzeba dowodów... a tu dowodów nie ma i być nie może.

— Jakże to wiecie? spytał chwytając przeor.

— Bo mi to dziś nie w głowie — rzekł Krzysztoporski zimno, nie taję żem rad iż Lassota cierpi, i jam cierpiał z jego ręki, ale to sprawa nie moja. Zresztą cóżbym z nią uczynił? Wiecie może, że to wnuczka mojej żony.

— Panie Mikołaju, Bóg nie szczęści nienawiści.

— Ale Bóg nie wymaga darowania winy, gdy za nią żalu nie ma!

— Owszem.

Krzysztoporski odwrócił się trochę i zmilkł, ruszając tylko ramionami.

— Co mi tam! rzekł po chwilce, niech sobie posądzają... jam nie winien.

— Stoicie na murach naprzeciw mieszkania Lassoty, widzieć musieliście jak wychodziła, nie macież poznańców, posadzenia na kogo?

— Ja na obóz szwedzki patrzę, nie na czyjeś tam

okna. To mówiąc zwrócił się na mur, a przeor odszedł wzdychając.

A tuż leciała szalona, z rozczochrałym włosem, z rozwinionymi chusty, jak piorun pędząc żebaczka, i wołała głosem wielkim:

— Sprawiedliwości! sprawiedliwości! kryminał, pod boki Matki Boskiej zbrodnia.

Minęła przeora, pobięła pod okno Lassoty, zająrzała w nie, po świeżym wilgotnym popatrzyła bruku, po drzwiach i pędem odedrzwi ruszyła w dziedziniec. Tu obróciła się, obejrzała, zobaczyła Krzysztoporskiego na murze, załamała ręce.

— On! zawołała donośnie, on!

I suchym wskazała nań palcem.

Krzysztoporski, który to usłyszał, wzdrygnął się mimowoli, obrócił — usta zaciął tylko. Stara nazad za przeorem spieszyła, ale w pół drogi miarkując się zawróciła znowu, zapuściła chustę, opamiętała i powolniej, powolniej coraz poszła usiąść pod oknem Lassotów. Tu wyjęła swój chleba kawałek zawinięty starannie, poczęła go całować i płakać, jakby naradzać z sobą i cicho szeptać. Nie, nie, to być nie może, on jej zabić nie mógł, ona się znajdzie, tu gdzieś ją skryć musiał. O! czuję, to jego sprawa! Biedne dziecko, za cóż ty pokutujesz jeszcze, za stare grzechy czyjeś, za dawne sprawy i zemsty! Ale Matka Boska ulituje się, to być nie może... ja ją odkryję. Biedne dziecko! powtarzała, tak zginąć, tak zginąć marnie! A! i ten biedniejszy może starzec... lepiejby mu śmierć, niż to ostatnie sieroctwo. — Płakała długo, aż jakaś otucha wstąpiła w serce, i ujrzawszy że się jej łzom i szalowi ludzie podziwiać zaczynają, zdobyła się jakby cudem na swoją wesołość codzienną, na skoki, na śmiech, oszukała wszystkich... zakręciła się i uciekła.

XXXII.

Zdziwił się wielce Miller zobaczywszy powracającego ojca Zacharjasza z miną niezmienną, z twarzą tą samą z jaką był odszedł, ani upokorzonego, ani znękanego, ani spieszącego, coby wieść nową dowodziło i upragnione poddanie. Błeszyński modlił się cicho i wzywał tylko chwili śmierci, bo ją mieli oba za nieuchronną.

Chmurną brwią i gniewem tem straszniejszym, że zaciętym, już nie wybuchającym na zewnątrz, przyjął Miller przyprowadzonych do siebie księży, otaczali generała wodzowie, ksiązę Heski, który na niego spoglądał z góry i unikał z nim rozmowy; Sadowski milczący i niekryjący swego wstrętu dla naczelnika, Wejhard naprzemiany pochlebny, uśmiechnięty, tajemniczy polityk, zręcznie umiejący poddać myśl swoją, nieprzyznając się do niej.

Był wieczór, a namiot Millera obszerny, w którym, wedle zwyczaju dla starszyny zastawiono stoły, przedstawiał widok malowniczy... oświecały go lampy kościelne i świece woskowe wyraźnie w zakrystjach jakichś jakby z katafalku zerwane, w lichtarzach ciężkich i wielkich; między obrusami znać było znowu bogato szyte ołtarzowe opony; na ścianach wisiały zbroje, miecze i oręż, bogate polskie kołczany, przepyszne kobierce herbowne, po bokach leżały aksamitne siodła z rzędami złocistemi, sadzonemi i różny sprzęt, widoczny owoc grabieży. Starszyna siedziała na kulbakach, na obozowych tłomokach, na ławach zbitych na prędcę; słudzy krzatali się z wieczorzą; kilku grało w karty i kości w milczeniu, niekiedy przerywając sobie przekleństwem; dzbany i fiasze krążyły. Wejhard był wszędzie; to coś szepnął, to się uśmiechnął, to podrwił z nieprzytomnych, a pochlebił każdemu, a sadził się na umizgi. Miller sapał milcząc na uboczu, spojrział gdy wprowadzono księży i wskazał na nich.

— Jutro rano szubienica, krzyknął, nie chcieliście pokoju, zburze to gniazdo papistów i balwochwalców, a wam śmierć.

Bleszyński i Małachowski już przygotowani do wyroku, ani się ulękli, ani nawet prosili i żaden nie rzekł słowa. Wejhard poglądał na nich z szyderską radością, Sadowski z politowaniem, inni nawet zajęci graczem popodnosili głowy, radzi zobaczyć, jakie wyrok śmierci uczyni na nich wrażenie.

— Spisać dekret, rzekł Miller, postawić szubienicę, a jutro rano niech ich powieszają.

Czekał czy się nie odezwą, milczeli; on gniew w sobie warzył i buchać nim poczynął, kilku Polaków przytomnych stali z boku, poglądając po sobie, ale dziwnie zmieniły się ich twarze, coś poszeptali i wyszli.

— Gotujcie się na śmierć — powtórzył generał.

— Gotowiśmy i dziś za wiarę, kraj i króla naszego umierać — odpowiedział Małachowski.

W drzwiach namiotu usłyszeli jeszcze tę odpowiedź odchodzący Polacy. Miller skinął ręką.

— Niech ich odprowadzą; wystawić szubienicę, a dekret posłać do klasztoru, może ksiądz przeor zechce się z murów widowisku przypatrzeć, zbliżyć ją do twierdzy.

Jakkolwiek Wejhard stale potakiwał i podmuchiwał Millerowi najgwałtowniejsze środki, i ten także miał za skuteczniejszy nad inne, sądząc, że Jasna-Góra upokorzyć się musi, ocalając swe dzieci poddaniem i on nawet wobec wszystkich nie śmiał ust otworzyć, tak widocznie ten wyrok śmierci wypiętnował się oburzeniem na twarzach przytomnych. Po oddaleniu się mnichów, pierwszy książę Heski odezwał się od niechcenia:

— Tym sposobem nie zrobimy tu przyjaciół dla Karola Gustawa.

— A w dodatku, będzie to — dodał przechadzając się Sadowski — złamaniem wyraźnych obietnic króla, bo uniwersały zaręczają bezpieczeństwo osób...

— Tylko nie buntowników! — podchwycił Miller.

— To są kapłani — rzekł książę Heski — ale zresztą, rób sobie generale co ci się podoba.

Wejhard milczał, szukał w nim sprzymierzeńca Miller, ale zgrabny hrabia, jak ujrzał, że wiatr z innej strony, wynalazłszy pilny powód jakiś, zakręcił się i uszedł.

Do wieczery wszyscy zasiedli milczący. Po chwili książę Heski znów obojętnie mruknął:

— Powiedz-no mi generale, czy istotnie myślisz tych dwóch zakonników powiesić?

— A czemuż nie miałbym tego zrobić.

— Możesz, to pewna, ale do czego się to przyda?

— Ha! zobaczymy.

— Tylu Polaków niechętnych mamy z sobą, są to sprzymierzeńcy siłą pędzeni tylko, cóż będzie potem?

— Albo się to ich lękamy!!

— Lękamy? nie zapewne, ale trochę przecie oszczędzić ich nie zawadzi.

Miller ramionami tylko ruszył.

— To gawieź przełękła; którą strachem prowadzić potrzeba, poznają, że Szwed nie przebacza.

— O tem już wiedzą podobno.

Rozmowa się urwała, i nikt więcej nie przemówił za zakonnikami. W obozie polskim, który szwedzkim był otoczony, bo Miller swoim pomocnikom nie wierzył, wielkie wrażenie zrobiła przyniesiona wiadomość o wyroku śmierci zapadłym na mnichów Częstochowskich. Wieczorem przyszli potwierdzając ją pułkownicy z namiotu Millera, którzy byli świadkami jego gniewu i groźby.

Już i tak fizjognomia obozu Polaków połączonych ze Szwedami, którzy nic wprawdzie nie działali, bo się od współuczestnictwa w tem oblężeniu wymówili z góry, ale zmuszeni byli towarzyszyć oblegającym, nie wesola była i wcale uie raźna. Stali oni nieczynni, sercem wiedzeni gdzieindziej; cześć Matki Boskiej zmuszała ich ując się za nią, siła nie dozwalała; potrzeba było milczeć z założonemi rękoma, patrzeć na zuchwale targanie się ludzi obcej wiary i z duszą zranioną boleć,

a nie ruszać krokiem. Dnie długie spędzali na bezczynnych narzekaniach, na domysłach, na obwinianiu wzajemnem, na klótniach i wyrzutach czynionych starszyźnie, na którą całą biedę zwalono. Jedni ciągle mieli na ustach jakieś uniewinniające ich przyczyny przejścia do Szwedów, bo czuli się winnymi; drudzy zagłuszyć pragnąc głos sumienia w sobie, hulali szalenie a smutnie; inni w milczeniu posepnem, z głowy spuszczo-nemi, poglądali obojętnie na wszystko co ich otaczało. Mała garść w Szwedach widziała zbawienie Polski. Lecz byli i tacy co tylko liczbą przemożeni, za liczbą poszedłszy, uciekać nie mogąc, narzekali na siebie, na drugich i kłóli Szwedów otwarcie, co wlaźło. Najmniej takich jak Kaliński statystów, otwarcie i skrycie sprzy-jali Szwedom dla wywyższenia i przyszłych korzyści osobistych.

W namiocie Mikołaja z Karmina Karmińskiego, zgromadzili się właśnie Polacy; Kuklinowski, Trupski, i kilku innych; siedzieli oni posepni grzejąc się u nanieconego ognia, dumając o rodzinach, o kraju i jego losach przyszłych, o sobie i położeniu w jakie wpadli; gdy Krzeczowski dowódzca jazdy i pułkownik Jan Zbrożek wpadli żywo, oba poruszeni i prawie w rozpacz. Za nimi w ślad nadbiegł Adam Komorowski. Wszyscy trzej należeli do tych, co się możliwie umieść dali, przechodząc na stronę szwedzką i szczerze już żalowali sromotnego poddania się. Krzeczowski wyglądał tylko chwili, by ze swymi odstąpić od najeźdźników. Zbrożek kłął panów i łajał, a Komorowski knował spisek, chcąc się z tej matni wydobyć. Wszyscy trzej zaognieni, pozzrucali z siebie opończe i Zbrożek pierwszy zawołał:

— Otóż i doczekaliśmy się, że Miller wieszać poczyna! Póki tylko holotę, tych olkuskich górników na szubienicę włókł, jak sobie chce; ale zasmakowawszy, bierze się już do zakonników... do szlachty!

— Albo co? — spytał Karmiński.

— Czyż nie wiecie? wszak Miller skazał już na szubienicę dwóch zakonników z Jasnej-Góry, Malachow-

skiego i Bleszyńskiego, których zachwycił przeciw wszystkim prawom; a karze ich za to, że przeor twierdzy nie poddaje!

— Jakto? — poczęli pytać inni.

— Ot tak jak wam mówię, jutro dekret się ma spełnić, księży Szwedzi powieszą.

Wszyscy na tę wieść stanęli jak osłupieli, spojrzeli po sobie, widać było na twarzach oburzenie, gniew, niechęć.

— A my to ścierpieć musimy! — zawołał Zbrozek — ha! samiśmy temu winni, było lepiej ginąć od Szweda niżeli psu temu pomagać, teraz dawszy się ująć w jarzmo, orzmy grób własny. — I padł na siedzenie. — Tak — dodał poruszony — wczoraj poczęli od chłopów, dziś mnichom, szlachcie takiej jak i my; a jutro może nam. — Tak będzie z zakonnikami, z nami, z obietnicami Karola Gustawa, z prawami naszymi, a potem z ziemią naszą i ze wszystkim. *Vae victis* mówili starzy, ale gdybyż choć zwyciężonym, tutaj *vae sub,ectis*... wszystkim biada.

— Ale to być nie może — przerwał Komorowski — żebyśmy my to ścierpieć mieli, dosyć że już nas splamili ciągnąc tu z sobą, chce jeszcze zbezczęścić nas, czyniąc niemymi świadkami zbrodni, a więc współnikami jej!... to być nie może.

Powstali i inni, a Stępkowski zawołał:

— Możemy niepozwoić na to, idźmy do Millera i manifestujmy się.

— Tak!! albo to sejmik Srodzki panie Cześniku? — zapytał Zbrozek — gdzież tu nasz manifest przyjmą?

Przepaszam przerwał Komorowski — przyjąć muszą; jeśli nie *ad acta*, to do głowy; powiemy mu, że tego nie zniesiem, położym manifesta nie nasze, ale Karola Gustawa i zreflektujemy go, że tym sposobem nie podbiją Polski, ale to co mają, stracą! To niegodziwość! to rozbój! nie jesteśmy w lesie!

— Narazim się tylko na wstyd nowy — rzekł Zbrozek — poszliśmy w niewolę, znośmyż ją; wszystko to

przewidzieć było łatwo, woleliśmy poddać się niżeli bić, dźwigajmyż niewolę i srom do miliona djabłów.

Zamilkli, a smutnej zadumy i zgryzoty wyraz zawisł na czołach posepnych.

— Ha! — rzekł Karmiński — nie wyrzekliśmy się przecie praw naszych poddając, mamy je zapewnione; jeżeli Miller braci naszych kapłanów powiesi sromotnie, pójdziemy wszyscy precz i od króla i od niego.

Zbrożek gorzko się śmiechał.

— Oho! — rzekł — nie czas się cofać! pijmy piwo któregośmy sami nawarzyli sobie. Nie czas!

— Jakto? zawsze czas — zawołał Karmiński — idźmy jutro wszyscy do niego; a powiedzmy mu śmiało prawdę: niech wojuje, ale zachwyconych zdradą nie znieważa, lub wara! Polska się ocknie.

— Już znieważył — odparł Zbrożek — wiecie jaką noc spędzili w obozie, wiecie co z nimi czynili żołdacy? Święta suknia i oblicze kapłana Bożego poniewierało się w steku hultajstwa. A to słudzy patronki królestwa uaszego! a to bracia nasi!

Karmiński pochwycił z kolka szablę i przypasał ją.

— Idźmy wręcz do Millera — rzekł — idźmy zaraz, natychmiast, jutro odejdzie oburzenie nasze, minie nas szal poczciwy, serca się wyziębią, rozmyślimy i strusim, gotowiśmy patrzeć na zbrodnie, lub zapóźno będzie by jej zapobiedz... kto Polak a katolik za mną...

— Jam uie katolik — odezwał się Trupski — ale co to ma do tego? idę, jeśli nie o kapłanów to o szlachtę i braci się upomnieć.

— Panowie — rzekł Komorowski — i ja z wami, kto sie jeszcze serca i czucia w tem zaprzedanin babilońskiem nie pozbył, z nami!

— Wszyscy! wszyscy! — zawołała starszyczna, i tłumnie wytoczyła się razem z namiotn; lecąc przez zdziwiono żołnierstwa szeregi do obozowiska Millerowskiego. Noc już była, generał ucztował jeszcze, gdy mu znać dali, że tłum Polaków z krzykiem idzie na jego namioty.

— Wpuścić rzekł z uśmiechem — panów Polaków. pewnie sobie podochocili, i chcą moim winem dokończyć za zdrowie Karola Gustawa.

Wtem podniósł się u drzwi płotek i weszli wszyscy posłannicy, a Miller poznał zaraz, że nie o *civat Carolus Gustavus* chodziło, bo oczy mieli łzawe a gniewem zapalone, miny dumne, postawy mezkie i twarze posępne.

— Panie generale — rzekł Adam Komorowski — przyszedliśmy do was zapytać, czy prawda to, żeś wydał wyrok śmierci na zakonników jasnogórskich?

— Tak jest! — odparł Miller dumnie — a wy jakim prawem pytacie mnie o to?

— Prawem ludzkości, prawem obietnic Karola Gustawa — rzekł śmiało Komorowski — to są szlachta i bracia nasi, to są, co więcej, kapłani naszej wiary, którą przyrzekliście opiekować się i szanować.

— To są buntownicy! — krzyknął generał.

— To są posłowie! — przerwał Zbrozek — i jako tacy szanowani być powinni!

— Wy będziecie mnie uczyć co mam czynić? zawołał w gniewie Miller — wy podwładni moi!

I nastawił się, jakby chciał rzucić na nich.

— Mospanie generale — odezwał się Komorowski — to nie Szwecja wasza i nie wasze regularne wojsko, ale szlacheckie w którym jest i siła orężna i znaczenie reprezentacji narodowej razem. Mamy prawo spytać co robisz, boś na placu boju tylko wodzem naszym. Jeśli dopuścisz się gardła na mnichach, odstępujemy cię wszyscy.

— Przysięgliście! mruknął zdumiony generał.

— Zmuszeni może, a niechetni pewnie... a wyż to nie łamiecie przysięgi? słowa Karola Gustawa, który przyrzekł szanować prawa nasze, prawo nie dozwala u nas świeckiej władzy tknąć kapłana.

Miller rozsierdził się i krzyczał:

— Potoście przyszli do mnie?

— Po to generale, i zapowiadamy ci, że ich powiesić nie damy, choćby do boju przyjść miało — rzekł stanowczo Komorowski. — Wieszając ich powieszysz spra-

wę swego króla, a żaden z nas jej pewnie odcinać drugi raz nie będzie. Nie jesteśmy niewolnikami, ale sprzymierzeńcami waszymi.

To powiedziawszy, Komorowski nie skłoniwszy się nawet odszedł, a za nim reszta. Miller się rozśmiał, ale śmiech to był gorzki; widział poniewczasie, że za daleko zabrnął, a wstyd mu się było cofać.

— Książę Heski — rzekł z cicha po wyjściu Polaków.

— A co generale? nawarzyłeś sobie piwa, jakże to teraz się skończy?

— Skończy się, że ich powieszę — odparł uparty Szwed — com powiedział to się stanie.

— Nie powiesz ich — rzekł książę Heski — bo to istotnie szkodliwemby było sprawie naszej; szukaj tylko furtki, którąbyś się wycofał.

— Cofać się nie będę. Polaków się nie boję, u nich wszystko na gębę, znam już tych krzykaczy! mówił gniewnie generał — będą gadać wiele, pokłócać się i nic nie robią.

— Ba! czasem przecie nie tylko krzyczą, ale się i biją! — przebąknął Sadowski — i dobrze...

— A, kiedy wszyscy jesteście tego zdania, żeby mniichów uwolnić i Polaków nie drażnić; czemuż z was nikt mi tego wprzód nie mówił? Wejhard pierwszy ten dekret doradził, jako najlepszy na nich sposób!

Książę Heski, który z wielą innymi nie cierpiał Wejharda, ruszył wzgardliwie ramionami.

— Generale, powinienes być do tej pory przekonać się co warte rady hrabiego.

— Cofnąć się nie mogę — zawolał generał do siebie; szukając już w myśli sposobu wycofania się. — Polacy pohalasują, i umilkną jak zawsze.

— Trafia się to — rzekł któryś z pułkowników — ale do ostatka ich doprowadzić, i szukać jakby umyślnie co najbardziej rozjątrzyć może, nie polityczna...

A Sadowski dodał:

— Jeśli wieść o tem gruchnie, a rozniosą ją szybko niechętni, cały naród powstać może przeciwko nam;

już same to oblężenie nieszczęśliwe popsuło sprawę króla, a co dopiero krok taki? Od czasu przyjsia naszego zmieniły się twarze, humory i serca Polaków dla nas. Bóg wie jaki skutek mieć będzie to niebezpieczne postanowienie!

— Ale jakże chcecie! żebym się tak wprost, z pieca na łeb cofał — rzekł zniecierpliwiony dowódca — radzicie zresztą!

Nikt z radą nie popieszał. Miller w widoczniejszym coraz pomięszaniu i gniewie chodzić począł, a powoli pułkownicy za helmy i kapelusze wzięwszy, wysłiznęli się z namiotu.

Nazajutrz rano, znacznie już opadł był gniew Millera, pozostał frasunek; noc zrodziła uwagi na skutkami zamierzonego kroku.

Ale jak się cofnąć było?

Z rozkazu wodza już naprzeciw klasztoru poczęto budować ogromną szubienicę, której widok przerażał załogę, zakonników i szlachtę.

Dano znać Millerowi. Kazał swoim zobaczyć co robią Polacy. Obóz polski cały był pod bronią, na koniach i w milczeniu zdawał się oczekiwać na coś.

Szwedzi obchodzili, patrzali, pytali, nikt do nich słowa nie rzekł. Na przodzie wodzowie w zbrojach i hełmach, koszulach i misiurkach, za nimi towarzysze i czeladź stali w gotowości. Miller zawahał się i spowolniał bardzo; posłał do klasztoru żeby się poddawano, odebrał odpowiedź, że pólki mnichów nie powróci, traktować nawet nie będą; polumał i kazał odłożyć spełnienie wyroku. Widocznem już było dla wszystkich, że zakonnicy sprawę swoją wygrali; Muller dekret wczorajszy starał się w żart obrócić i śmiał się ze strachu, którego narobił, nie mówiąc o własnej bojaźni. Posłał nawet około południa Kuklinowskiego, zapraszając zakonników do swojego stołu; ale wysłuchawszy tego osobliwszego wezwania, ksiądz Małachowski odpowiedział poważnie:

— Skazani już na szubienicę przestępcy, nie godni jesteśmy zasiadać u stołu z panem generałem.

— Jakto, nie pójdziecie?

— Nie pójdziemy! — odpowiedzieli oba.

Miller zjadł tę odpowiedź w żarcie, skrzywił się, ręką machnął, a dowiedziawszy się, że Polacy z koni już zsiadli, jeść podawać rozkazał. Nikt ze starszyny polskiej oprócz wiernego Kalińskiego, nie przyszedł dnia tego do Millera, warzyli sobie w kociołkach i garnuszkach kaszę. Obiad był smutny i milczący, a nikt nie zagadał o muichach, o dekrete, o Polakach; mówiono o rzeczach obojętnych, potem nadeszły pułhary, gra, szal, i wszyscy zapomnieli predko o chwilowym niepokoju. W obozie był tylko dany rozkaz otaczania twierdzy, opasywania jej, a że się bronić i odstrzeliwać nie mogli zakonnicy, bo pamiętali groźbę, że za pierwszym strzałem postów powieszać miano; polecono drapać się nawet na mur, zarzucać fossy i stanowiska coraz bliższe zajmować.

XXXIII.

Przez cały ten dzień jednakże, i w ciągu traktowania o niewziętych, Szwedzi z dział nie dali oguła, Jasna-Góra milczała, wojsko krzątało się, przybliżało, naigrawało i żywym łańcuchem obejmowało oblężonych. Kto wie czy stan ten zawieszenia niebezpieczeństwa, choć krwi oszczędzał, nie był cięższy do zniesienia od samej walki dni poprzedzających? Potrzeba było milczeć słuchając obelg, patrząc na postępy Szweda, który górę zajmował, rozsypywał się po niej, oblegał zewsząd fossy, upatrywał miejsc słabszych i jątrzył załogę łajaniem, szyderstwem, rzucaniem kamieni i wystrzałami ręcznej broni.

Pan Czarniecki uciekł z murów, bo nie mógł znieść tego widoku. Zamojski chodził z zaciętymi usty, obłąkany prawie od gniewu; załoga nawet i mnisi czuli

w sobie niepodobną do powstrzymania ochotę do boju... Widok szubienicy, o której przeznaczeniu wiadano, jeszcze bardziej rozjątrzył wszystkich i wznógł oburzenie, ale wnet dano znać z miasteczka, że odłożono spełnienie dekretu i posel przybył żądając znów zdania się twierdzy.

Kordecki samem tem naleganiem i postrachami coraz mocniej przekonany, że zdobyć jej siłą nie mogą, gdy tak kołaczą o traktaty nieustannie; odpowiedział jak wyżej wspomniano, zawsze jedną śpiewkę. — Odajcie nam wprzód posłów, potem zobaczymy.

Odłożenie spełnienia wyroku i poruszenie Polaków, o którym zaraz w twierdzy wiadano, dodało otuchy, okazując, że ksiądz Małachowski z Bleszyńskim bezpieczni są przynajmniej od śmierci.

Pozostawało mieć się na ciągłej baczności, pilnować, stać i czekać.

Z południa, pan Czarniecki, który do ścian izby przywykły nie był, ale i na murach bezczynny pozostać nie umiał, wyszedł jak mówił, trochę się przewietrzyć, a że go coś ciągnęło ku Szwedom, powołał z bratem księdzem Ludwikiem rozmawiając wstąpił na mur. Ale zaledwie tu wstąpił, aż się wzdrygnął; bo prawie pod samemi fossami i murami zwiłaja się gawiedź ze strzelbami i coraz to się który przymierzył do załogi jak do wróbla, lub kamieniem w łeb na zakonnika cisnął.

Kilku ciurów polskich, wychowalców kirchy, śpiewali pieśni heretyckie, naigrawając się kościołowi i obrazowi; głosy ich dochodziły do murów. Pijany jeden wreszcie żołdak podszedł aż pod samą basztę, u której stał Czarniecki, zmierzył do niego i wypalił, kula świsnęła mimo ucha pannu Piotrowi; ale w tejże chwili prawie rozjątrzeni częstochowscy, na całej linii dali z dział ognia i Szwedzkie ciury jak muchy zjadłe spłoszone, chmurą rozsypali się po górze całej. — Kordecki z Zamojskim na odgłos ten wybiegli.

— Co to jest! wszak rozejm! — zawołał przeor — na Boga! — co robicie?

— Ha! rozejm — krzyknął puszkarz Polak — a psia wiara sami poczęli, bo jeden strzelił do pana Piotra Czarnieckiego, już ciż nie damy się im zabijać bezkarnie.

Nie było rady: pan Piotr zagrzany już się zwijał po swojemu, i jak tylko z jednej strony dano ognia, zewsząd na znak ten odezwały się działa niecierpliwie, śmigownice i orgauki na murach. Potrzeba było naówczas widzieć Szwedów, jak kilkodniowem milczeniem twierdzy oswojeni, nagle przepłoszeni teraz, cofali się i spieszenie do stóp góry uchodzili. Trąby zwoływały zbiegów; ładu i porządku nie było w popłochu, a kule Częstochowian jakby spoczynkiem sił nabrały nowych, miotły żołnierza, wywracały budy, i jedna z nich strąciła szubienicę świeżo wystawioną. Inne waliły w ludzi spędzonych do sypania szafców i redut, w nieszczęśliwych górników i bliżej stojącą piechotę szwedzką.

Miller w początku rozjadł się jak zwyczajnie, gdy ogień usłyszał, chciał zaraz wieszać mnichów; ale też Polacy siedli na koń zbrojoi, jak gdyby znaku tego tylko czekali. W obozie wrzawa, gwar, bieganina, kłatwy i niepojęte zamieszanie. Szwedzi spieszenie się cofali do dawnego obozu, a kule za nimi: tu namiot upadnie. tam szereg ludzi rozsypie się wylękły i nie cały powróci do porządku, tam działo nacelowane, strzaskane drzewa obalą i ziemia zasunie mu paszczę. Trwało to długą chwilę.

Czarniecki zwijał się jak ryba w wodzie, wesół, rad. ochoczy; Zamojski wstrzymywał więcej przekonaniem niż uczuciem, przeor milczał. Nareszcie gdy się góra oczyściła, ustał ogień za danym przez Kordecckiego znakiem i do przednich czat wysłano gońca z kartką do Millera, tłumaczącą mu kto spokoju zerwanego był przyczyną.

— „Wieźcie posłów — pisał przełożony — rozejmy zrywacie zdradą, podkradacie się pod mury na ufnych wam a prawych nieprzyjaciół; możemy-że w takim stanie rzeczy traktować z wami? Co ręczy za dochowanie

warunków, gdy wszystko co zwyczaj i prawo uświęciło, depczecie? Traktuje się z dotrzymującymi po rycersku danego słowa nieprzyjacielem, nie z takim, który gorzej Tata, wszystkie umowy gwałci.“

Zmarszczył się Miller na niegrzeczne pismo, posłał wysledzić kto strzelał, przyprowadzono mu opilego rajtara, kazano go ukarać i na tem się skończyło dnia tego. Ale Miller poznawać zaczynał, że postępowanie jego złe przynosiło owoce; mnisi zyskali na oczyszczeniu góry z dokuczliwych natrętów, bo Szwedzi pierchnęli w dolinę, całą następną noc w strachu napaści i pilnem czuwaniu pędząc. Późno w noc generał namyślał się i radził, już do rady nie wzywając niefortunnego Wejharda; działa burzące z Krakowa nie nadchodziły, polowe nie wielką były mu pomocą, traktowanie i groźby na mało się dotąd zdały; potrzeba było więc innych chwycić się środków. Nie było już mowy o wieszaniu, a Sadowski korzystając z usposobienia Millera, z niepewności w jakiej zostawał; poddał myśl uwolnienia zakonników.

— Więcej ich tem sobie zjednacie — rzekł — niżeli ustraszyć groźbą. Strach to i obawa szwedzkiego okrucieństwa jest największą przeszkodą do poddania się nieprzyjaciela. Pokażcie im sprzymierzeńca, obchodźcie się z nimi ludzko, a zmienicie ich, wówczas załoga i zakonnicy nie potrafią się opierać.

Książę Heski był tegoż zdania, ale Wejhard, który przyszedł nieproszony na radę, bardzo się sprzeciwił wnioskowi; szczęście że Wejharda pomysły już bardzo były podejrzane Millerowi, i jeszcze go więcej skłoniło to. na przekór hrabiemu dla umartwienia, postąpić przeciw jego myśli. Stało się więc zuowu na tem i Miller przyzwalał żeby zakonników uwolnić.

Wejhard tylko zakrzyknął:

— Generale, gubicie najlepszą sprawę!

— O radę już was nie proszę — odparł Szwed dumnie — dość jej słuchałem.

Wrzeszczewic odszedł niby rozgniewany — ale wy-

ślał Kalińskiego na zwiady i do rady; a nie mogąc sam, działał przez niego.

Ksiądz Bleszyński i Małachowski siedzieli na suchym pniaku wśród gawiedzi, która im nie dawała się modlić, wzajemnie się przed sobą zrana wypowiadawszy, czekali śmierci, której pewni byli. Zaproszeni do stołu, wzięli to za rodzaj szyderstwa i niemniej wyglądali spełnienia dekretu. Żołnierz szwedzki, w którym starego rycerskiego ducha nie było, który nieczuć nie miał wielkości tych ludzi, w prostocie gotowych na męczeństwo, idących skromnie jak dzieci na śmierć bezczesną — chodził w kółko nich naumyślnie śpiewając, popychając jednego, to drugiego, podnosząc im blisko twarzy dymiące głownie, niby dla ogrzania, targając za kaptury, by odsłonić nagie głowy, szarpiąc za szkaplerze i nieustannie ich niepokojąc. Oni to wszystko znosili w milczeniu, z krwią zimną i rezygnacją bohaterów Chrystusowych.

W tem zbliżył się Sadowski, z wesolą twarzą kręcąc wąsa. — Myśleli, że miał rozkaz prowadzić ich na śmierć: wstali, spojrzeli na klasztor, jakby go żegnali i ojciec Bleszyński ukląkł.

— Miło mi — odezwał się po polsku Sadowski — zwiastować wam dobrą nowinę.

— Nie szydźcie z nas — zawołał Małachowski żywo — nie godzi się to mężom rycerskim, weźcie życie — ale nie dręczcie ducha, to męka gorsza śmierci.

— Nie szydę nigdy — rzekł Sadowski łagodnie — ale przyszedł istotnie zwiastować wam, żeście wolni.

— Wolni! — powtórzyli oba z niedowierzaniem i zdumieniem — a potem z żywą radością, i ojciec Małachowski zbliżył się szybko ku zwiastunowi dobrej nowiny. — Jakto!

— Tak jest! — general Miller wybacza wam npór i szyderskie traktowanie wasze, które było jakby dziecinną igraszką; idźcie i powiedzcie Kordeckiemu, niech się podda. Te słowa polecił mi wam od niego zwiastować; oprzeć się nie możecie, na cóż rozjątrzać silniejszego nieprzyjaciela?

Ale za ledwie im oswobodzenie ogłosił, już go tak jak nie słuchali ojcowie, oba zabierali się iść co żywiej do klasztoru, aby ich jeszcze nie podchwyceno, lub nie zmieniono rozkazu. Malachowski tylko pożełgnął ukłonem Sadowskiego i oba podnioswszy habitów, wzięwszy kije w ręce, odzyli i spiesźnie puścili się do Jasnej-Góry.

Wojsko przeprowadzało ich ciekawemi oczyma.

Uszedłszy kilkaset kroków, spotkali strzaskaną szubienicę, która dla ich męczeństwa zgotowana była, i każdy z nich wziął drzazgę na pamiątkę uniknionej niemal cudownie śmierci. Już i z murów widziałą częstochowka załoga idących księży, i głośny, wesoly okrzyk rozległ się na blankach, a zdala widać było Kordeckiego, którego wyciągnięte ręce zdawały się błogosławić i witać.

Brat Paweł płakał stojąc z kluczami u furty; rzucił on habit, który łątał, (gdyż to było zwykle wolnych chwil jego zajęcie — cały klasztor obszywał modląc się w swojej izdebce); — upadł na ziemię gdy ich zobaczył, ucałował ojców suknie i ściskając prowadził do klasztoru w uniesieniu i zapale niepohamowanym. Tu ich przyjęto jak męczenników i bohaterów. — O piękna to była chwila, gdy po przecierpianych boleściach, oklask pocziwych powitał zwycięzców, i musiało w nich zadrzeć serce ludzkie, choćby nie było świata i dumie, bo w oklasku tłumu, był głos Boży! — Mylą się ludzie, lecz lud się nie myli, on nic nie wie, dowieść swojego wstępu i swej miłości nie może, ale gdy kogo kocha, kiedy się kim brzydzi; głos Boży jest w tym pociągu lub wstręcie.

Łzami witano zakonników, którzy się pokornie za kłopotani wymawiali jak mogli od tej owacji; zwycięstwo ich, wytrwałość, męstwo, gotowość na śmierć była przykładem i podniętą dla obłożonych, przeor przyjął ich jak ojciec i brat, dziękując Bogu, że mógł powitać żywych z koroną męczeństwa.

— Nie mówcie mi nic — rzekł na wstępie — wiem że potęgą szwedzka jeszcze na was wrażenie czyni, że będziecie mnie skłaniać do poddania; zostawcie to

Braclawskiemu staroście i jemu podobnym; a razem pójdźmy przed ołtarz naszej Orędowniczki. To była zawsze pierwsza i ostatnia myśl Kordeckiego: — Módlcie się by prosić, módlcie by dziękować, módlcie gdyście cierpieli i gdy cierpicie, módlcie się, wiercie a pracujcie!!! a zawsze się módlcie, czynem, usty, sercem, myślą, życiem całym.

Nim doszli do kaplicy, co zapytań, co ciekawych badań wycierpieć musieli zakonnicy o Millerze, o wojску, o obozie. Próżno przeor natrętnych odpychał.

— To potem, to potem, wprzód się potrzeba pokłonić gospodyni naszej.

Zaśpiewano więc litanie loretańską do Królowej polskiej.

Dzisiejsza pobożność uśmiecha się podobno z litością uad tą formą religijnego uniesienia, którą tak lubili ojcowie nasi; piękna to przecież modlitwa! Z jak szczerym zapalem wyrwały się z duszy te nrywane wykrzyki, te pochwalne słowa, któremi strojono obraz Bogarodzicy.

Po odśpiewaniu litanii, zaprowadzono przybyłych do refektarza, gdzie za nimi szlachta hurmem się zaraz wciskać poczęła; wszyscy ciekawi byli historii dwóch zakonników, ciekawi poznać z ich ust bliżej Millera, obóz szwedzki i polski, siły ich i rolę, jaką tam grali rodacy oblakani, niby na uwiezi przyprowadzeni niewolnicy, co się bić nie śmieli, a na bój z braćmi patrzeli suchem okiem i nieczynną dłonią.

Dwaj księża przejeci potęgą nieprzyjaciela, mimo wolnie ją malowali, i marszczyl się Zamojski, widząc jak powoli wielkie czyni wrażenie opowiadanie ich na przytomnych. Przeor to także postrzegłszy, ujął za rękę ojca Malachowskiego i rzekł z cicha:

— Dajcie już pokój potędze szwedzkiej, a idźcie spocząć!

I tak z głodną ciekawością nie wiele zaspokojoną urywkowemi kilką słowy, rozeszli się wszyscy.

XXXIV.

Wśród tego niepokoju zniknięcie dziewczeczki, któreby w innych okolicznościach zajęło wszystkich, utonęło niepostrzeżone prawie; kilka osób tylko nad niem bolało, innym nie zostawało czasu i pomyśleć nawet o tem; grożące niebezpieczeństwo, czuwanie ciągle, każdego zwracało do bliżej obchodzących go przedmiotów; myślano o losie twierdzy, o napaści spodziewanej, o siłach do obrony. Stary Lassota w celi brata, lał łzy bezsilnie, modlił się i narzekał, a brat pocieszał słowami, co często więcej jeszcze boleść rozraniły, nie mogąc jej zlagodzić. Jest-że pociecha na takie straty? Niekiedy stary się zrywał, chciał iść, walczyć i dusić wroga swego, któremu przypisywał to nieszczęście, to znowu wzywał śmierci, to wymyślnie dręczył się przypuszczeniami o losie wnuczki i wzdrygał na to, co ją spotkać mogło, jeśli żyła. Uczyniono pilne poszukiwanie w twierdzy, wysłano po za obręb jej szpiegów, czy do obozu wypuszczonym kto nie był, czy z murów żywej lub zabitej nie zrzucono; ale śladu żadnego odkryć nie podobna było.

Codziennie Konstancja przychodziła pod puste okienko, siadała, plakała; całowała swój suchy chleba kawalek, a potem mrokiem poczyniała krążyć po zakątkach klasztornych, śledząc utraconej dziewczeczki; rozpytywała ludzi, badała ścian i bruków naopróżno. Wedle raz uczynionego ślubu, codzień na noc schodziła w fosę i tam na chłodzie, sparta o jaką cegłę odbita od muru zasypiała. Zmieniała tylko od niejakiemu czasu stanowisko, i pod basztą na której stał Krzysztoporski nocleg sobie obrala. Całą noc z uchem nateżonem na głos najlżejszy zdawała się podsłuchiwać, czekać, śledzić, pilnować; potem rano nazad wchodziła do klasztoru, odnosiła znalezione kule i nowiny obozowe, i rozpoczynała włóczęgę po zabudowaniach, jednego nie mijając kątką. Nie było nikogo, żeby nie spróbowała go wybadać, z kimby nie mówiła, o tym pamiętnym

wieczorze zniknięcia Hanny. Ale prócz kilku co ją już mrokiem widzieli przesuwającą się do kościoła, nikt nie postrzegł jej więcej potem, a żaden krzyk, żaden głos nie świadczył o spełnionym gwałcie. Stara żebraczka stała prawie przesiadywać zaczęła naprzeciw baszty Krzysztoporskiego, śledząc jego kroki; i ona także ściagała go podejrzeniem, postanawiała nie spuszczać z oka. Szlachcic wszakże nic po sobie poznać nie dawał, nie zmieniawszy się wcale ani na humorze, ani w postępowaniu zwyczajnem. Przeor polecił księdzu Mieleckiemu, aby go w długich samotnych godzinach badać próbował i nawracał na lepszą drogę; ale ojciec Ignacy nic z nim poradzić nie mógł; słowa odbijały się od niego, myśl począć nie mogła z żadnej strony. Krzysztoporski żołnierz tegi, gorliwy na murach dowódzca, zresztą ponury i skryty, niechętnie się wywnętrzał, a jeszcze mniej nawracania słuchał. Mówił czasem o życiu przyszłym. o sobie; ale za nic chwycić nie dawał: ksiądz prawil swoje, on swoje. Z kolei on i ksiądz Mielecki, ten dla modlitwy, on dla spoczynku krótkiego i posilku schodzili z powierzonej im baszty, i naówczas tylko tracili się z oczu, zresztą Krzysztoporski ani na chwilę nie ołchodził. Stara żebraczka napróżno uparcie za nim goniła wzrokiem: widziała go zawsze tylko słupem stojącego na murze z założonemi rękoma, z dumnie podniesioną głową. Niezwalczona jednak kilkudniową próżną strażą potajemnie co wieczór wracała do drzwi dawnego mieszkania Lassoty, tu w zagłębieniu muru, siadała w kątku ciemnym i z wlepionemi w Krzysztoporskiego oczyma, nieporuszona, spędzała długie, do nocy późnej godziny. Szlachcic zdawał się jej nie widzieć. Często też dowiadywała się stara do celi księdza Piotra, ale nigdy nie wchodziła do niej; posłuchała podedrzwiami, zrobiła krzyżyk w powietrzu, powstała chwilę i uchodziła szybko; jeśli głos starca ją doszedł, drżała jakby ją ta boleść przejmowała do głębi, i jeszcze gorliwiej potem biegła tropić kroki nieprzyjaciela...

W klasztorze ledwie kto wspomniał o tym dziwnym wypadku, który wobec wielkich zaprzętnień o losy Jasnej-Góry, mignął niepostrzeżony. Kobiety najwięcej o nim mówiły, a żebraczka wkradła się między nie, prosząc jałmużny, roznosząc medaliki i obrazki, i usiłując podsłuchać co też o tem sądziły.

I tego wieczora, gdy posłów wypuszczono z obozu, natrafiła na kupkę gwarzących niewiast, które począwszy od historii szubienicy strzaskanej kulą klasztorną, rozwodziły się nad strachami, nad powieściami o Szwedach, aż wreszcie przyszły do Hanny.

Była tam pani Jaroszevska, cała zawsze zajęta swojem dziecięciem i niezmiernie przełękciona, pani Skórzewska i żona tego szlachcica Płazy, który promotorem był do poddania się i strachu. Żona pana Płazy imieniem Agnieszka, mówiła najgłośniej i rozprawiała najżywiej. Nie bardzo już młoda, nie nazbyt też piękna, choć miała ślady wdzięków straconych na twarzy starannie pielęgnowane, chuda i słuszną, ubrana zawsze dość brudno i niedbale, choć z pretensją do stroju, błyskotkami; wyglądała raczej na cygankę niżeli na żonę szlachcica, jakim był pan Płaza. Bóg też wie skąd ją wziął pan Płaza! jedni mówili, że gdzieś poznał w mieście i wdowę już pojął po jakimś rzemieślniku, drudzy utrzymywali, że u niego wprzód służyła, nim się z nią ożenił. Znać też było pochodzenie na jejności, bo bardzo się nosiła ze swą godnością obywatelki i pani, o której co chwila przebąkiwała. W obecieściu jej, ruchu, mowie, zdawało się coś podlego: śmiała, swarliwa, mimo czterdziestówki natarczywie zalotna, miała powierzchowność dla wszystkich prawie odstręczającą. Nie było plotki w klasztorze, nie było wieści, o którejby nie wiedziała pani Płazina, którą opowiadając nie ubrała po swojemu na czarno. W każdym uczynku jak go poczęła rozbierać i rozdzierać, wyszukać musiała coś niskiego, brudnego, jaki powód nikczemny; rzekłbyś, że to była barwa, którą do swojej chciała odziać co ją otaczało. Pomimo to, pan Płaza tak ją z temi wszystkimi wadami milował, że

nawet na niepotrzebne załoty zamykał oczy i za złe jej mieć się nie zdawał, że jego pocziwe imię tak na bakier nosiła. Otóż i pani Jaroszevska bardzo zacna niewiasta i pani Skórzevska uczciwa matka rodziny, obie nie bardzo chętnem okiem poglądały na Płazinę, o której wiedziały co zacz była i zkąd wyszła; nie rade były też towarzystwu, ale jak się od niej uwolnić i odkaraskać? Gdzieś nie posiał wyrosła, napróżno ją kwaśno przyjmowano, rozsiadała się szeroko, gwałtem poczyniała rozmowę, do każdej się wmięszala, i choć ją czasem grzecznie, pięknie odsunieto, wracała zawsze niezrażona. A że to w klasztorze, w samotni, człowiek każdy nie był wybredny na towarzystwo, musiały panie żyć jako tako z sąsiadką i choć ze wstęptem czasem ją do siebie przypuścić.

Zgadało się tedy o Hannie, a pani Jaroszevska poczęła, cisnąć swego Jaśka do piersi, ubolewać nad jej losem.

— Takież to było śliczne — mówiła — pobożne, miłe jak aniołek. Bóg widzi, że ile razy przyszła a zagadała, to mi się potem czegoś aż słodko zrobiło, jakby mnie czysty duch nawiedził.... I gdzie to się mogło podziać?

— Już to prawda — odparła pani Skórzevska — że to niepojęta historia; nawet mój mąż powiada, że nic podobnego w życiu nie słyszał. To okropnie pomyśleć, żeby też tu, w klasztorze, nie było bezpieczeństwa!

A pani Płazina ruszyła ramionami.

— Co za dziw! Tyłe ludzi, różnej różności! Bóg wie co za jednych, po mnie aż ciarki chodzą, gdy trzy kroki wieczorem w dziedziniec samej zrobić przyjdzie!

— Ale gdzieżby ją tak ntajono? — mówiła pani Jaroszevska.

— Właśnie i mój mąż powiada, że to rzecz niepojęta — dodała pani Skórzevska.

— Albo to mało kątów w klasztorze, a taki nie wszędzie bo patrzali — poderwała Płazina — zresztą

czy to ją nie mogli za mury wyrzucić. To już darmo i mówić o tem.

Żebraczka słuchała z daleka.

— Ja się dziwuję kończyła Płazina — że nawet o tem gadają. A! zginęła to zginęła, co to za dziw, w takim zamieszaniu, tyle tu ludzisków różnych nacyj, Bóg wie jakich przybłędów.

— Ależ to — Chryste Panie! pod boki Matki Boskiej u jej ołtarza, to ujść nie może bezkarnie!

— Właśnie i mój mąż to powiada zawsze — kiwając głową dodała Skórzewska — to okropnie!

— A najlepiej o tem i nie mówić — żywo jakoś przerwała Płazina — no cóż wreszcie tak wielkiego? zginęła! mało to ludzi ginie, może zabita! kto to może wiedzieć!

Żebraczka, która pilnie nastawiła ucha, spojrzała na Płazinę, i gdy się panie porozchodziły, posunęła się o kilka kroków idąc za nią, jakby ją śledziła, chcąc widać dowiedzieć się gdzie mieszkała.

Nie rychło dostała się do miejsca; bo pożegnawszy sąsiadki pani Płazina, powoli bardzo ciągnęła sobie ku domowi, a po drodze nie było kogoby nie zaczepiła. Kłaniała się żołnierzom, zagadywała do ludzi klasztornych, poczyniała rozmowę niemal z każdym, uśmiechała się, wyciągała na gawędki, poprawując to czepek, to katankę. Mijając Krzysztoporskiego, który stał na murze, pani Jagnieszka tylko okiem rzuciła i potajemnie mrugnęła na niego, na co on nie odpowiedział ani skinieniem i poszła dalej przyspieszając kroku. Żebraczka kierując się drugą stroną podwórza, pociąguęła za nią, upatrzyła drzwi i powróciła nazad. W podwórzu spotkała księdza Kordeckiego, który właśnie z dwoma zakonnikami kierował się ku baszcie pana Krzysztoporskiego; to ją zastanowiło.

Przeor zbliżywszy się pod mur, wezwał dowódczy.

— A co? możecie znużeni, moglibyście spocząć — rzekł do niego — zejździe do mnie proszę. Krzysztoporski zawahał się chwileczkę i zszedł po wschodkach szybko.

— Bracie — odezwał się przeor — złe to nasienie nienawiści, z którego ziarna i żniwo nic potem. Rad-bym nic nie wiedział i niczemu nie wierzył, ale wszyscy uparcie na was intrygują, żeście sprawcą tego nieszczęścia pana Lassoty.

— Księżu przeorze — odparł z niechęcią i zmu-szonym śmiechem Krzysztoperski — dobrze ludziom gadać, ale niechże pokażą dowody.

— Mam nadzieję żeście niewinni, bo takiej zbrodni dla zemsty nie pojmuję, a pod ołtarzem Boga w ta-kiej chwili spełniona, straszną karę pociągnęłaby za sobą. Bóg cierpliwy, ale sprawiedliwy *patiens quia aeternus, patiens sed justus*.

Nie zmięszal się widocznie szlachcic.

— Czegoż odemnie żądacie, księżu przeorze?

— Podejrzenie trwa, oczyścić się z niego...

— Jakże się mam oczyścić?

— Są ludzie — cicho i z zakłopotaniem pewnem wyrzekł Kordecki — są ludzie, co uprowadzonego dziecka aż w izbie waszej szukać by chcieli...

— Jest to obelga dla mnie — rzekł Krzysztopor-ski — ale ja ją znieść muszę, chodźmy? I powiódł przodem idąc, do mieszkania swojego (pod basztę) przeor sam tylko poszedł za nim. Zebraczka, która się zastanowiła, w ślad aż do drzwi się przysunęła. Po wschodkach spuścił się Kordecki do ubogiej izby do-wódczy, która była pusta i smutna: trochę słomy w ką-cie, na niej rzucony kilimek, siodło, rusznica, dzban, misa na stole — sprzęt cały. Drzwi do izdebki dru-giej były zamknięte, spojrzął przeor na nie, a Krzy-sztoperski pospieszył je otworzyć, torując drogę prze-łożonemu.

— I tu spojrzycie — rzekł — a poświadczcie nie-przyjaciółom nienawiść moją.

Zakonnik milczał, spojrzął, odwrócił się i z prze-jęciem, z uczuciem wziął rękę Krzysztoperskiego.

— Bracie! bracie! pomniście na dzień sądu stra-sznego! na wieczność, na Boga, nie gubcie duszy dla

chwili... Jest-li w tobie nienawiść jeszcze, odpędźcie ją krzyżem świętym i pokutą a skruczą.

— Zdaje mi się, że nienawiść moja dostatecznie wyjaśniona — rzekł szlachcic z dną — zresztą Bóg nas osądzi.

— Rzekłeś! — Bóg osądzi — dodał przeor — ale osądzi srogo winnych i zatwardziałych w grzechu. Chcecie wiedzieć, jakie przekonanie wynoszę z tej izby w której śladu występku nie znalazłem, i z mowy twojej...

— Widzicie moją niewinność...

— Widzę żeś winien! — rzekł przeor. — Kto mi to mówi, nie wiem, ale czuję, że masz ten występki na sumieniu; sąd ludzki przekonać cię nie może, niema dowodów, ale Bóg!

Krzysztoporski raz pierwszy pobladł, zmieszał się widocznie, strasznie — zachwiał, zgrzytnął zębami, uśmiechnął się szydersko.

— Winien! — zawołał — winien! no! tom winien! myślcie jak chcecie, mnie dość mojego sumienia.

— Wkrótce nie dosyć, ale go ci będzie nadto — odparł przeor i wyszedł.

Krzysztoporski wychwycił się za nim, i jak obłąkany, jakby szukając na kim się pomścić, biegł milczący nie wiedząc dokąd, wpadł na mur i osunął się na ławę przy baszcie; głos go opuścił, wzrok zasunął, zdrewniał i osłupiał.

XXXV.

Nazajntz po uwolnieniu zakonników, poseł posłał gońić do klasztoru, a wszyscy w imię uczynionej łaski (bo tak zwał Miller darowane uwiezionym życie) domagali się zdania twierdzy. A wszyscy z jedną odchodzili odpowiedzią:

— Naradzi się zgromadzenie, da znać przeor. Kordecki zwlekał, każdą godzinę w ten sposób uzyskaną, licząc za wielkie zwycięstwo; w duszy miał przekonanie, że coś nagłego, niespodziewanego odpędzi Szwedów od Jasnej-Góry, wygna ich z Polski całej. Zamojski był także za przeciąganiem traktowania, jeden Czarniecki chciał walczyć, ale się już z tem nie odzywał. W pół dnia posłano do kwatery generała z prośbą, aby dwóch zakonników pozwolił wysłać do Karola Gustawa, pod tę porę znajdującego się w Mogile pod Krakowem. dla wyproszenia u niego innych, spodziewano się dogodniejszych warunków, w istocie znowu dla zyskania czasu.

Miller w tej prośbie dopatrzywszy celu zwłoki, bo by tymczasowo zawieszenie broni nastąpić musiało, odparł, że na to nie pozwoli; że ma sam pełną władzę do umawiania się z nimi, a gdy punkta ułożone i przyjęte zostaną, obowiązuje się ratyfikacją ich przez króla podpisaną i opieczetowaną zakonnikom dostarczyć. Pod pozorem tej odpowiedzi, wyprawiono znów do klasztoru Kalińskiego, który w przybranej roli trockiego o dobro Częstochowy człowieka, i gorliwego o całość miejsca świętego katolika przybył na Jasną-Górę. Przeor świadkami rozmowy z nim chciał mieć jak zawsze, przedniejszych szlachty i braci; wprowadzono go więc do Definitorium, gdzie, na jakie stało obleżonych. przygotowano przyjęcie dla pana starosty. Kaliński dumniejszy niż kiedy, mowniejszy i śmielszy, z pewną powagą zasiadł krzesło i począł mowę. Powtarzał w niej znane nam już argumenta.

— To szaleństwo, mówił, to jakieś obłąkanie na was padło, opieracie się już, dzięki powolności Millera, dłużej od Krakowa, choć z garścią tak małą! czyż nie dość? Wyglądacie posiłków? z kąd? od Chana? — I rozśmiał się szydersko. Denhoff i Wolf są w ręku króla szwedzkiego, cała mu się Polska poddała; ci jedni w pomoc wam przyjść jeszcze mogli; wojsko kasztelana Kijowskiego rozpierzchno, przerażone, działa

pozabierane, żołnierz wylękły! Miller dla waszego jedynie dobra skłania się traktować, ale jak skoro, mówię wam to poufnie, działa burzące z Krakowa nadciągną, nie pozostanie najmniejszej nadziei kapitulacji i układów. Myślicież, że wszędzie zwycięzki Szwed, tu tylko da się odeprzeć i ustąpi sromotnie? może to być? nie jestli to z waszej strony zarozumiałość ślepa?...

— Panie starosto — odparł Zamojski — Polska się jeszcze nieopamiętała.

Na te słowa Kaliński wprost rzucił się na Zamojskiego, z dziwnie imponującą miną i ostremi słowami.

— Mości panie Zamojski, to nie polski sejmik, żeby tu słowy szermować i gębą bić króla szwedzkiego; myśmy także Polacy, dbamy o kraj i jego losy, a przecież widząc stan nasz i położenie, oddaliśmy się pod protekcję Karola Gustawa. Porzuc waszmość zle i zgubne rady, któremi to miejsce święte o zagładę przyprowadzisz, któremi obłąkujesz łatwowiernych zakonników. Możesz że waszmość ze Strzelcza swego powrócić szkody, które wojsko szwedzkie zgromadzeniu i szlachcie przy zdobyciu uczyni? Te szkody na kilka mil dokoła sięgające, na wasze padną sumienie. Możesz że waszmość własnymi siłami nieprzyjaciela odeprzeć? Chceszli mieć na duszy krew tyłu, gdy się żołnierz rozzuchwali, i sukni, wieku, ani stanu patrzeć nie będzie. Innej, innej, nie pana Zamojskiego rady szukajcie, a radźcie rychło, póki Szwed się nie rozjuszy; dziś jeszcze tylko traficie z nim zgodą do końca.

— Mospanie Kaliński — odparł tymże tonem Zamojski, i chciał wrac gniewem dać naukę starości, ale przeor za rękę go ujął i przerwał mu:

— Wszystko to co mówicie, wiemy dawno, rady pana Zamojskiego szanujemy, ale największym doradcą naszym jest Pan Bóg i Matka Jego, do nich więc, za upor nasz, obróćcie wymówki swoje, jeśli chcecie. A o nasz dobro nie frasujcie się tak gorliwie.

Kaliński spadł nieco z dumnego tonu mowy, ale nadrabiając fantazją, rzekł jeszcze:

— A! jak sobie chcecie! zawsze Kassandrom lichu! nie trzeba prorokować nieszczęść, bo ludzie w nie nie uwierzą aż poczują. Róbcie więc po swojemu, mnie do tego nic; ja ręce umywam.

— Nie umywajcie rąk jak Piłat, rzekł Zamojski, abyście jak on winni nie byli.

I jużby może przyszło od tych słów do żywszej kłótni, gdyby nie zapukano do drzwi definitorjum, a brat Paweł pod pachą trzymając stary habit Kordeckiego, który latał, drugą podał list od Szwedów przysłany. Porwał go zaraz u drzwi Kaliński, że był otwarty, rzucił nań okiem.

— Ha! to zapewne są działa z Krakowa, lub wkrótce nadejdą, bo oto i list do was Wittemberga.

W istocie było to pismo naczelnego wodza, który poddać się nakazywał, nieposłusznym groził, a ręczył, że Szwedzi zdrady żadnej na szkodę Częstochowej nie knują. Przeczytał Kordecki i zamyślił się, jakby rady w sobie szukał, obrócił do Paulinów i po chwili rzekł do Kalińskiego:

— Wszakżem od dawna do traktowania się skłaniał. Któż winien, że je barbarzyńskiem postępowaniem zerwał Miller.

— A kto go rozdrażnił? — spytał Kaliński.

— Chyba pokora nasza! — odparł Kordecki.

— Powiedźcie, nmyślne podstępny...

— Panie starosto, do kogo to stosujesz? zawrzał Zamojski znówu, podstępem tylko idą Szwedzi i szwedzcy zwolennicy.

— Nie mam tu co mówić i robić, wstając zawinał się starosta, róbcie jak wam lepiej, lecz pomnijcie, że Miller nie przebaczy zwyciężonym, a zwyciężyć musi. To rzekłszy wyszedł, a gwar po nim i wrzawa wzbudzone słowy jego, powstały. Wszyscy bojaźliwsi naglili przeora, aby traktował; nie mógł się im opierać, spojrział na Zamojskiego w sposób znaczący i rzekł:

— Bedziemy traktowali, ale chcecież bym ratując was, wpuścił tu lutrów, kalwinów i katolików co się, żyjąc z niemi, ich bluźnierstw pouczyli?

— Niech Bóg uchwali od tego nieszczęścia.

— Chcecież, by święty nasz ołtarz zbezczęścili i splamili? Zamilkli razem.

— I ja pragnę pokoju, zgody, układów, ale mogę przystać na to, bym świętości nasze, jak Judasz Chrystusa, wydał za srebrnik spokojności? Godziż się ocalać życie, sprzedawać Boga i miejsce w którym tyle cudów zlewał na niewdzięcznych?

Nikt nie ośmielił się odpowiedzieć.

— Uspokójcie się dzieci, ciągnął dalej Kordecki, będę traktował, będę czynił co można, co sumienie pozwala.... Na tem stanęło; a przeor wyszedł do swej celi, dla pisania listu do Millera.

Kaliński powrócił tryumfujący jak zwykle; spotkał Wejharda w pół drogi niecierpliwego i ciekawego.

— A co starosto? spytał.

— Cóż? dałem mnichom pieprzu! odparł śmiejąc się poseł — wylażałem Zamojskiego, bo to on tam wszystkiego sprawcą i doradcą, i takiemu im napędził strachu, że się pewnie do wieczora poddada.

Wejhard znający chętnie samochwalstwo Kalińskiego i próżną jego butę, ruszył ramionami niezacznie.

— A parlamentarze? spytał.

— Tylko co ich nie widać.

— Ale nie bałamucisz, panie starosto? — rzekł Wejhard.

— Albożem kiedy zwiódł was? rzekł urażony nieco Kaliński. Przerażeni, przelekli, głodni, ledwie duch w nich; jeden Zamojski, że wie czem dla niego pachnie oddać się Szwedowi, ze strachu gotów się bić, ale go tam ani chybi zwiążą i w ręce nam wydadzą, a sami będą prosić zmiłowania.

— Myślicie tak?

— Pewien jestem.

— No, idźmyż pocieszyć Millera.

I pojechali razem, a w ślad prawie za nimi przyszedł i list Kordeckiego; ledwie że Kaliński sprawił się ze swego poselstwa, już i kartę od przednich czat

przyniesiono. Tryumfująco spojrział na nią starosta, i wąsa zawinał, jakby mówił:

— A co! nie grackom się spisał?

Wtem Miller rowinawszy list, spojrzawszy nań, uamarszczył się i rzucił nim o stół.

— To znowu żarty! znowu zwłoki!

— Jakto być może, po moich przekonaniach, perswazji, gdy tak zdawali się skonwiukowani...

— Zawsze oni jedni! rzekł Szwed, uparci a krnąbrni, jeszcze im jakieś widać świtają nadzieje, chyba nie widzą co koło nich?

— Sto razy im to przecie mówiliśmy...

— Nie wierzą!

Miller się zadumał znudzony.

— Ot przeczytajcie sami, rzekł. co piszą... że im ich załoga wystarcza, a nowej nie potrzebują, jakbym ja ich pytał, jak im lepiej? krętacze! A dodatek miły, dołożył, kwaśno się uśmiechając wódz, że naszego wyznania ludzi, a nawet katolików co służyli przeciwko Jasnej-Górze, wpuścić do niej nie mogą. Wykret papistów, zasłaniają się świętością, ale dość już tego błazeństwa, dość, jutro więc, szturm do klasztoru... To mówiąc powstał i wydano natychmiast rozkazy rozpoczęcia kroków zaczepnych na jutro, nie wysyłając już żadnej do klasztoru na list odpowiedzi. Miller wargę podgryzł, wąsa zakąsił, siadł na koń, wołać kazał puszkarzy, rozdać ładunki i zebrawszy radę wojenną, o świcie uderzyć. Kałiński z Wejhardem pospuszczawszy trochę nosy, odjechali na stanowisko.

Jeśli kto, to Wejhard do ostatniej był przywieziony niecierpliwości; pierwszy tej wyprawy doradca, bo bez niego byłaby odłożoną, a zatem niespełnioną została, musiał dźwigać na sobie wszystkie gniewy Millera; a cokolwiek wojsko ucierpiało, jemu na kark zrzucano. Obietnica jego każda, na nieszczęście zwodną była, czas się coraz przewlekał, grudzień poczynął, z nim mrozy, słoty, zimno dokuczliwe i pora nie do wojny. Potrzeba było kończyć, niepodobna odstępować ze wstydem a siłą twierdza zdawała nie do wzięcia, bo działa połowe

Millera nie starczyły, a Polacy nie chcieli mu pomagać. Wedle nauki militarnej, twierdza Jasno-Górska śmiało, jak ją zwał Miller, kurnikiem здаwać się mogła; a podług rachub ludzkich, już się zdać była powinna, jednakże stała niezdobyta, nienaruszona, nikt nie pojmował jak i czemu. Jakiś zabobonny przestrah, znużenie, bojaźń niewysłowiona, opanowywały Szwedów. Nie mało do tego przyczyniały się wieczorne rozmowy Polaków. To co mówili o świętości i sile tego miejsca, Szwedzi pojmowali czarami; a czary w owym wieku dla wielu straszniejszymi były od Boga; ludzie przestawali już wierzyć w niego, a bali się jeszcze czarów. Sam Miller nie wydając się z tem, już coś rozmyślał o czarach, bo pojąć mu było trudno, jak bez nich garść ludzi starych, słabych, znużonych, przełękłych, osamotnionych, stawić mogła czoło potężnemu wojsku.

Nazajutrz rano zagrzmiały znouu szwedzkie działa z obozu, otoczyło wojsko mury, a bomby poczęły lecieć na klasztor; wszyscy niespodzianie zbudzeni wybiegli z krzykiem i płaczem, a sama nawet załoga na chwile zmieszana została tą napaścią o brzasku. Kordecki był gotów; na pierwszy wystrzał działowy, pobiegł na mury z krzyżem w reku i przełęgwał nim cztery strony, obszedł powolnie swoich, a ujrzawszy, że kule halasne bardzo, szkody nie czynią wielkiej, wydał rozkazy, żeby się tylko bliżej podstępującym Szwedom ze szmigownic i organków odstrzeliwano. wielkich dział nie tykając.

— Patrzcie dzieci! mówił do zebranych, jak Matka Boska szatą swoją osłania nas; oto kule nad głowami naszymi lecą bez szkody, i przenoszą mury, lub padają bezsilne, chwala Pani niebios, chwala!

Wtem pan Czarniecki przypadł.

— Co Jegomość dobrodziej najlepszego robisz? a tożes nie kazał z dział strzelać! czy to prawda? czemuż? czy prochu mało?

— Kto wie na jak długo potrzebować go będziemy. odpowiedział Kordecki, a nie widzę konieczności od-

strzeliwania się działom; kule ich szkody nam nie czynią; dość odpychać podchodzących bliżej z ręcznej broni; gdy się Szwed ośmieli i hurmem cisnąć zacznie, wówczas z dział odepchniemy. To tylko jeszcze początek panie Pietrze, strachy na Lachy.

— No! wola wasza, rozkazanie pańskie jak hetmańskie, czyńcie wedle natchnienia, ja spieszę do moich ludzi, żeby choć na organkach dobrze grali, kiedy innego instrumentu użyć nie można.

I pobiegł chyżo na swoje stanowisko.

Szwed nie bardzo spieszenie i nie tak jak wprzód ochotnie następował, strzelał tylko z dział, w nadziei, że zapali dachy, że zniszczy mur i zrobi wylom, ale nadaremnie. Czy to nienumiejętność puszkarzy, czy cud Boży; kule warczały w powietrzu, lecz spadały nieszkodliwie; wrzał Miller i bił swoich, ale już nie jeden odpowiedział własną myślą jego.

— Cóż na to poradzić? to czary! to czary!

Nie chciał wódz dozwolić rozszerzyć się tej myśli i przyjmował ją śmiechem lub oburzeniem, pomimo to jednak coraz większej nabierała sily. Niektórzy ze Szwedów szli już widocznie niechętni, inni cofali się i wywijali od napadu na klasztorne mury; widać było zrażenie, bojaźń jakąś potajemną. Samemu Millerowi dziwne wieści do uszu dochodziły; śmiał się z nich ciągle, ale niespokojnem już okiem mierzył Często-chowę.

Jedni mu mówili, że widzieli nad klasztorem we mgłach rannych postać niewieścią płaszczem jasnym osłaniającą twierdzą i odbijającą kule; drudzy powiadali o starcu zjawiającym się nocą pod murami; inni jeszcze utrzymywali, że niewiastę i starca nad blankami, w powietrzu przesuwających się widzieli. Pogłoski te coraz większej nabierały wiary, przechodząc z ust do ust, świadczone się tym, to owym co na swe oczy widział, i przestrach powoli ogarniał wszystkich. Kilku starszyny tegoż dnia powtórzyli Millerowi wieści podobne, a skutek ich na wojsku był aż nadto widoczny — szemrało i szło z musu, z ukosa spozierając

tylko na twierdzę, milczącą cierpliwie, odstrzeliwającą się uiekiedy i jakby niewidzialną bronioną potęgą. Samo dział umilknięcie zdawało się podstępem, zdradnem jakimś wyrachowaniem. General objechawszy swe wojska i górę dokola, powrócił do namiotu zamyślony więcej niż kiedy, sam wątpiąc o wszystkim, bo rachubą ludzką nie mogąc pojąć, co się w koło niego działo.

Jakaś straszliwa atmosfera tajemniczości, cudu, otaczała nieprzywykłego do niej wojaka; czuł że ma do czynienia nie z siłą zwykłą żołnierzy, ale z władzą niepochwyconą, niewidzialną, niezbadaną, której dostrzedz nie mógł, z którą walka była próżnym wysiłkiem. Sto razy w duszy powtórzył wszystkie jakie umiał przekleństwa na Wejharda, który go tu przywiódł i naraził na wstyd niechybny, ale cofać się, tak daleko zabrnąwszy było niepodobna. Dalby był wiele za rozkaz, coby go ztąd odwołał; a tu trzeba było kończyć, trzeba było iść dalej a dalej.

Z kim? i jak? trudne zostawało pytanie. W starczyźnie obojętność widział, niekiedy spotykał opór, bo książę Heski, Sadowski i kilku innych, niewiele ceniąc posiadanie Częstochowej, nważając straty na jakie zdobyć narażało, spóźnioną porę, w ostatku wrażenie, jakie na Polakach szturm do świętego miejsca miał sprawić, byli temu przeciwni; u ludu zaś ta myśl czarów a dziwowisk sprawiała bojaźń niewysłowioną: niektórzy z oficerów nawet czuli już na sobie zaraźliwą jej siłę. Jeden Wejhard stał przy swoim i obiecywał kapitulację, a Kaliński drugi, gadał o nieuchronnem poddaniu, ale nikt im nie wierzył.

XXXVI.

Konstancja jak tylko kule polatywać zaczęły, wybiegła z klasztoru na stanowisko swoje, zbierać szwedzkie orzechy, jak je nazywała. Ale jakże zmieniona! trudno ją dziś było poznać, dawny szal całkiem ją prawie opuścił; opuściła drwiąca weselość, smutek ponury zastąpił jej miejsce. Starzy znajomi przypisywali to niepokoju o świętą górę i jej losy; strachu jednak wcale po niej widać nie było; bo się zwijała pod kulami prawie i urągała śmierci. Ale wieczorem odnoząc zebrane orzechy, gdy witała braciszka Pawła u furty, to nie po staremu piosenką lub żarcikiem, ale jakimś głuchem westchnieniem. W jej wejrzeniu pozostało dawne obłąkanie, ale usta już wymówić nie mogły tych szyderych słów, które wprzód tak ochoczo odstrzeliwała się wszystkim; niekiedy tylko jakby sobie przypomniawszy potrzebę utrzymania w swojej roli, rozśmiała się, zachciała pobaraszkować, ale wnet ucieła.

— Co to się stało naszej starej służce Matki Boskiej? — mówili ludzie z załogi — wszak to zpoważniała, gdyby inna kobieta.

— Jużci to ją gryźć musi ten Szwed. trudno żeby się nam wyszczerzała po dawnemu, mając go za pasem.

— Kostucho! — wolali — Kostucho! co tam slychać?

— Nic, panie Walenty, jeno tylko, że ci sie Szwedzi kłaniają, i proszą z sobą razem do Abrahama na ciepłe piwko.

— A przekłeta — odparł żołnierz z załogi — pocóż mi ją było pytać, znalazła język w gębie na odpowiedź; gotowa wyprorokować jak Janaszowi... Już to nigdy nikomu nic dobrego nie zapowiedziała, taka natura.

— To jej lepiej nie pytać.

I dali jej pokój, a Konstancja szła dalej rozdając kule po murach.

— Naści Jaśku, te kule szczęśliwe, dobrze strzelasz, otóż masz gościca, lada trutniowi ich nie dam skosztować; a pilnuj dobrze roboty około folwarku Matki Boskiej, żeby się gospodyni nie pogniewała.

— Na, i tobie Pietrze, wiesz, że taka kula co od Szweda. to najlepsza, tylko jak nią będziesz miał strzelać, przeżegnaj się....

I tak dalej idąc, po jednej, po dwie każdemu z ludzi dawszy, schodziła potem wschodkami ku kapticy się zwracając; tu krzyżem legła, pomodliła się i szła naprzeciw izby Lassotów usiąść a patrzeć na obroty pana Krzysztoporskiego. Od ostatniego jednak wieczora, gdyśmy ją widzieli podsłuchującą rozmowy pani Płazinej, czegoś się uwiązała do niej i zaraz potem starała się ją wśród podwórza zaczepić dawną wesołością swoją, pociągnąć usiłując gadatliwą babę.

— Dobry wieczór pięknej pani — rzekła kłaniając się nisko — wszystkiego dobra życzę jasnie wielmożnej pani. — Nazwanie piękną i jasną, wstrzymało panie Płazinę, trafiając w jej słabość, nadeła się jejmość i stanęła poważnie.

— Bóg zapłać moja kochana, chodź za mną, to ci kawał chleba dać każę.

Stara powłokła się przysuwając do rozmowy, którą rozpocząć pragnęła.

— Cożto, że JW. pani dotąd nie widziałam, wszak to podobno tu od początku obłęzenia?

— A tak ci moja kochana, ale ja w kąciку sobie siedzę, i nie właczę się między tę drobną szlachtę....

— Sprawiedliwie pani powiada, tu takiej różności nzebierało się, siła wszelkiego narodu, a zaraz widać, że to JW. pani nie przystoi lada z kim się bratać.

— A ty tutejsza, moja kochana?

— O! mnie tu znają od lat trzydziestu, sługa Matki Boskiej, Kostucha, teraz zostałam chorąży w naszej załodze i wojuję ze Szwedami.

Płazina się rozśmiała.

— Jakto? he! to i ty wojujesz?

— Jak zwykle starszyzna! ja im kule daję, sama się schowam, a oni strzelają. Alboż to baba ma już w kącie siedzieć?... Orzeszki im noszę...

— Jakie orzeszki?

— Kule, to się rozumie JW. pani.

— Gdzież je bierzesz?

— A, za twierdzą.

— To ty wychodzisz?

— Wchodzę i wychodzę kiedy chcę, mnie wolno, i do miasteczka czasem idę, może JW. pani czego potrzeba?

— Nie! nie! ja mam wszystkiego podostatkiem, pytałam się tak tylko, z ciekawości.

— A JW. pani daleko ztąd mieszka?

— O! kilkanaście mil.

Tak gawędząc szła stara aż pod izbę pani Płazinej, ale tu jej nie wpuszczono; poszła jejmość po chleb sama i wyniosła go żebracze.

— Czyż to JW. pani i sługi nie masz, że mi sama nawet wynosisz? albożem ja tego warta — zakrzyknęła Konstancja.

— To bo takie nieszczęście — odparła szlachcianka — że nas tu ledwie samych przytulili, gdzież było myśleć jeszcze o sługach, choć to ja do tego nie przywykła z mała, żeby sobie służyć sama.

— To zaraz widać! amóżebym ja JW. pani czasem choć wody przyniosła, posłużyła czy co?

Pani Płazina zamysliła się i rzekła:

— Już to prawda, dobrzeby to było, bo i ludzie mojego męża wszyscy na murach cały czas.

— Jeśli JW. pani pozwoli, jeśli jest dzbanek...

Znów pomyślała Płazina i powiedziała: — To potem, potem — a zbywszy ją odprawiła ode drzwi. Kon-

stancja długo bardzo snuła się około tego mieszkania, jakby je opatrywała; nareszcie odeszła ku Krzysztoporskiemu i stanęła tu na czatach.

Szlachcic od ostatnich odwiedzin Przeora, siedział jak przybity na ławie, ni ręką ni głową nie biorąc się do boju, kule przyjmował jakby ich nie słyszał, poruszał się machinalnie i bezprzytomnie; ksiądz Mielecki jak mógł go zastępował.

— Co to waszeci — pytał go — czy nie chory?

Aly Krzysztoporski nie odpowiadał nic, a w nocy jak utrapieniec po murach się wałęsał, do dowództwa, do obrony jednak, wcale nie odzykując ochoty.

Naprzeciw Szwedów stanie, piersi nadstawi, oko gdzieś puści i stoi nieruchomy; gwizdnie kula jedna, druga, aż go Mielecki szarpnie.

— Co to waszeci jest? czyś szalony?

— Hę? — pyta Krzysztoporski, osłupiałą wlepiając źrenice w niego, i nic mu nie odpowie.

Z liczby osób, które najbardziej zdawało się zajmować zniknienie dziewczeczki, był Stefanek Zamojski syn miecznika, chłopak pod wąsem, który w początku bardzo latał, gdy się zrobiło to zamieszanie. Państwo Zamojscy stali w zabudowaniu klasztornem tak, że ich okna wychodziły w podwórze od okna Lassotów. Syn Miecznika towarzysząc mu na mury i razem doglądając matki, często się przez dziedziniec przechadzał i często widywał dziewczynę z żebraczką; skłonił się jej kilka razy, przemówił słów parę, jak to bywa w takich razach, że się znajomości łatwo zawiązują, a młodemu oku piękna twarzyczka nie ujdzie. Stara Kostucha napatrzywszy, że się rad przechadzał podle okienka, zaraz poszła pytać kto to taki? i nie uspokoiła się, aż jej powiedzieli, że to miecznikowicz Zamojski. Pokiwawszy głową, dała stara pokój, ale tegoż wieczora przestrzegła Hańdzię, żeby nie wyglądała jak Stefanek przechodzić będzie, bo się ludzie mogą śmiać z tego.

Hanna zarumieniła się bardzo, zaczęła wymawiać przed starą, ta rąb jej sukni całować, i tak popła-

kawszy się rozeszły. Teraz błądząc po podwórkach, spotkała Kostucha miecznikowicza i wstrzymała go.

— Paniczku, kochanku!!

Zamojski stanął szukając grosza.

— E! nie o jałmużnę tu chodzi, Bóg zapłać!

Chłopiec się zastanowił i wzrok w nią wlepił bawdawczy. — Był to dorodny młodzian, jak to dawniejsza młodź cała, raźna, kwitnąca, krew z mlekiem, co to jej ani myśl brudna, ani żadne zwierzęce nie skalało pragnienie; nie zwiędniał przed czasem, aż miło było na niego spojrzeć, aż wesoło z nim pomówić, bo jak twarz uczucia były świeże i myśli czyste i serce poczciwe. Syn posłuszny i pokorny dla rodziców, choćby mógł zapragnąć większej swobody, nie wyrывał się do niej, a rygor w jakim zostawał u ojca, przyjmował wdzięcznie, bo wiedział, że ta opieka rodzicielska choć czasem ciężka, zawsze w skutkach zbawienna; matki czułe serce płaciło mu zresztą z naddatkiem maleńkie przykrostki życia. Prawda że miecznik uważał go zawsze za młokosa, ale sposobił na męża, chciał posłuszeństwa, ho nauka jego była na całe życie potrzebną; a za młodu nieugięta dusza, podwójnie cierpi, gdy w gorzkich życia kolejach ulegać będzie musiała.

Stara popatrzyła zbliżka uważnie na chłopaka, a potem wskazując mu okno mieszkania Lassotów:

— Szkoda jej! — rzekła — szkoda!

Stefan się zarumienił, zmieszał.

— Nie trap się kochanku — przerwała staruszka — a cóż to za dziw, że ty jej żalujesz, kiedy ja także obca, com ją ledwie znała, a płacze.

Młodzieniec milczał.

— Czegoż chcecie? — spytał wreszcie.

— Jak wam imię? — przerwała żebraczka.

— Stefan.

— Dobrze i poczciwe imię, był król tego imienia, bardzo tęgi człowiek. Wiecie co panie Stafanie, ona za mury nie wyszła, to pewno, ani ją tu zabito. Byłby znak świętokradztwa...

— Gdzież być może?

— Otóż to Bóg wie jeden, Krzysztoporski drugi, i ktoś może trzeci...

— On? mówicie?

— On, on — odparła stara — już ja śledzę i dochodzę, ale sama nie dam rady, ot wiecie co? pomóżcie mi... Patrzajcie pilno we dnie na Krzysztoporskiego i na szlachciankę tu jedną... na Płazinę. Płazów okna z waszego piętra przez dachy stajen widać. Nie widzieliście kto tam do nich chodzi?

— Do Płazów? — nie mam ja tam czasu patrzeć.

— A Krzysztoporskiego u nich nie widzieliście kiedy?

— Był zdaje się parę razy.

— Z samym czy z samą?

— Raz z nim, drugi raz, przypominam sobie, coś z Płaziną szeptali...

— A kiedyż to było, przed zniknięciem?

— O! tego już nie pamiętam!

— Oj! żebyżście choć teraz popatrzeć chcieli, a powiedzieli mi, czy z sobą konszachców jakich nie mają.

— Chętnie moja pocziwa starucho! ale my podobno nic nie zrobimy. — I sięgnął do worka skwapliwie.

— Dajcie mi pokój paniczku ze swoją jałmużną, najlepsza jałmużna to dobre słowo... Spójrzcie czasem i pomyślcie o biedaczce Handzi, to mi stanie za złoto. A jeśli co odkryjecie, jak wam się myśl jaka przez głowę przewinie, nie róbcie hałasu, ino mi ją powiedzcie.

To powiedziawszy, odeszła zostawując go zdumionym tą troskliwością; po chwili odszedł on do matki, ona do księdza Lassoty się zbliżyła.

— Mój księżuniu, a co? — odezwała się, — niema śladu?

— Jakiego?

— A! o tej biedaczce.

— Niema! a niema! — odpowiedział ksiądz — głowę łamiemy, a tu stary kona i niema go nawet po-

pilnowac komu z miłosierdzia. Bardzo, bardzo brak nam tego aniolka.

— A! a komużby go brak nie było! — zawołała stara — ja cndza, a płaczę, a chodzę jak oszalala.

Ksiądz Lassota z litością się uśmiechnął, pomyślawszy. — Dawnoś ty już taka, moje serce!

— Powiedźcie mi jeszcze, księżunin — rzekła cieszniej, wstrzymując go za habit — gdzie stoją szlachta Płazowie?

— Gdzie? a to ci na co?

— Nic, tak sobie, ale gdzie?

— Stoją na dole za stajniami, gdzie dawniej była stolarnia i skład przed obłożeniem.

— A wiele tam izb?

— Do czegoż ci to wiedzieć?

— Zachceiście, zwyczajnie świta we łbie! ale nie bójcie się, mówcie, wszystko to na dobre wyjść może.

— Cóż mają Płazowie do nazej Handzi?

— Ot, nie pytajcie, a mówcie lepiej, ile tam izb i jakie? Ksiądz Lassota ruszył ramionami.

— Prawda, że ci w głowie pstro, moja stara!

— No to pstro, ale powiedz ile izb, albo to ci co szkodzi jegomościuniu, dobrodziejeczku kochany.

— Lepiejbyś się pomodliła i poszła spać! — odparł śmiejąc się ksiądz Piotr i tak ją odprawił.

Kostucha widząc, że ją o nieprzytomność i obalamucenie posądził, ukloniła mu się i odeszła pomyślawszy: dowiem się ja od braciszka Pawła. I pociągnęła do fôrty, przy której nie był gdy wchodziła, bo go zastępował Rudnicki, a on odnosił habit połatany księdzu Przeorowi.

Teraz już wrócił do swojej izdebki, wśród stukn a hukn dział i śmigownic, szyjąc i śpiewając na cale gardło: *Omni die, die Maria* ...

I na stoliku rozłożywszy przed sobą suknię księdza Stradomskiego, z igłą wręku, ze wzrokiem w nią wlepionym, zdawał się myśleć głęboko, jak ją na polach

zregulować, by śladu nie było podarcia, gdy Kostucha drzwi otworzyła.

— Dobry wieczór księże Pawle...

• — Ba! żebyż to księże — wesoło odpowiedział zagadniony — ale to tylko braciszku!

— No, i to przyjdzie.

— A igły są?

— Są, i jakie paradne, chodziłam umyślnie do samej Brzuchańskiej, i mówiłam, żeby dała prawdziwych norymberskich dla was; nawet bałam się tu idąc oddać ich księdzu Ruduickiemu.

— Co ty wszystkich dziś księżysz! — odezwał się śmiejąc brat Paweł — on taki ksiądz jak ja... prawda że profess, ale wszystkoż jeszcze bez kaptura... No dajże mi te igły, daj — niecierpliwiej dodał — byle tylko dogodne, jakich mi potrzeba, a uchaż dobre?

— Ale nie dam, aż mi coś powiecie.

— Oho! jest szust, a cóż ci powiedzieć, może której dusza wychodzi z człowieka?

— Ale nie księże Pawle...

— Zawsze mi się przypochlebiasz tym księdzem! Jak wie z której beczki zacząć, no i cóż ci tam tak wiedzieć pilno?

— Proszę księdza Pawła, ci państwo Płazowie, wszak ich ksiądz zna?

— Płazów? ha? a! wiem, wiem, pozawczoraj zaszyłem mu fałd w żupanie, co się był opruł, ślicznie mnie o to prosił, no, i cóż Płazowie?

— Oni podobno bardzo lichy mieszkają?

— Co? gdzie? lichy? dlaczego lichy? ot to! mają dwie izby porządne gdzie była stolarnia brata Antoniego, a w dodatku spiżarnię naprzeciw, a ze spiżarni jeszcze na strychu izdebinę w murach na składzik...

— Izdebinę, mówicie? — spytała staruszka.

— Ale ba! dawajno igły, możeś zgubiła?

— Ot są, ale gdzież ta izdebina?

— Ot! gdzie? okienkiem na dziedzińczyk przeciw murów od zachodu! Jakbyś to nie wiedziała! Co się tak rozpytujesz? czy kraść myślisz?

Stara zaniemiała, ksiądz Paweł spojrzał.

— Cóż to tobie do tego?

— A tam kule szwedzkie mogą dojść? — spytała.

— Czemu nie? drogi nie pytają, a jak pani Płaznej faszę z masłem rozbiją, nie straszna ruina i nie wielki lament.

Stara podumała i odeszła, brat Paweł rozpoczął śpiew i łataninę księdza Stradomskiego, i zamyślił się, zamyślił, boć było o czem: trzeci raz jedno dziury zaklejał.

XXXVI.

Na drugi dzień po rozpoczęciu na nowo kroków wojennych, już nie mógł wytrzymać pan Czarniecki, śmigownicami tylko i organkami opędzając się hałasem, a na wielkie działa spoczywające patrząc, zakasał poly, pokręcił wasa i ruszył do księdza przeora.

Tu znalazł i Zamojskiego.

— Ksieże przeorze dobrodzieju — rzekł na progu, trzymaliśmy jak mogli, ale dalej chyba nas każesz powiązać; pozwól dawać ognia z dział, bo Szwedzi jak muchy na miód pakuja się nam pod nos, cierpliwości nie staje; *attandem* znowu ich możemy kropnąć bez pozwolenia, bo w człeku krew nie woda, gra; a nieposłuszeństwo *tempore hostilitatis* nie potem, więc lepiej nam pozwól!

— Chyba w ostateczności — odparł przeor — zawsze z pana Piotra gorączka. Nie życzyłbym się spieszyć, pamiętajmy że się bronimy tylko, żeśmy z mui-chów żołnierze.... śmierci niczyjej nie pragniemy, byle nam pokój....

— Otoż to — rzekł Czarniecki — ażeby nam pokój dali to ich tłuc potrzeba *et fortiter*.

— Ale nigdy na życie ich nastawać nie powinniśmy, byle się opędzić: nie zapominajcie że gdy knsze okazały się w wojnach XII. wieku zbyt śmiertelnem narzędziem, to koncylium lateraneńskie użycia ich zakazało, aż w następnych dopiero krucjatach, gdy z uie-wiernemi do czynienia przyszło...

— Ojcie a dobrodzieju, tu nie o knsze idzie, całkiem inna sprawa! Co nam tam do lateraneńskiego koncylium... Przytem a toć to niewierni, ba gorzej bo odstępcy... więc pozwalacie huknąć?

— Na miły Bóg, kochany panie Pietrze, bez tej zawziętości, bez tej szparkości. Ja wódz wasz i ojciec, proszę! każde biedne ludzkie życie co tu sie zakończy, na mojem sumieniu, nie obarczajcie go!

Czarniecki głową pokręcił, ramionami ruszył, szukał widocznie argumentu, a nareszcie rzekł cicho:

— Stań się wola Twoja! Jednakże nieuchronna rzecz, że nam strzelać przyjdzie; Szwedzi nas opasują, gruchoczą nam mury, a my mamyż stać i patrzeć?

— No to sobie strzelajcie — odparł przeor, a Zamojski dodał:

— Dawać ognia, dawać ognia, więcej dla strachu, niż żeby padali... bo drażnić i tak podrażnionego nieprzyjaciela, uie polityczna i szkodliwa. Już i tak Miller patrząc na swego Herna, którego kosą nasi tak dobrze podcięli, złością sie zajada.

— Wszak tylko po brzuchu go drasneli! — zawołał pau Piotr — co u licha! i jeszcze się skarży.

— Nie mniej pewnie ducha wyzionie.

— Zdaje mi się, że to sztuka Janasza Węgrzyna, który niech w Bogu odpoczywa, bo żołnierz był dobry, a ja na mury pospieszę.

— I ja z wami — dorzucił Zamojski chwytając czapkę — czas mi do moich.

— Zapewne, chodźcie, chodźcie a żywo, załódze ducha dodacie, nie szkodzi!

Ale na ten raz przynajmniej załoga ducha nie potrzebowała. nabrała go spoczynkiem, wlał widok szu-

bienicy oburzenie, rozgrzewały się serca ciąglem zapatrywaniem na niezmordowane męstwo Kordeckiego. — I dzień to nie był bez ofiary, niestety! Jak gdyby wszystko miało być cndownem w tem obleżeniu pamiętnem, nawet kule rażące ludzi w twierdzy, zdawały się ręką niewidzialną skierowane, ku jakimś niepojętym celom. Wprzód jeszcze czterech Janów, (między nimi Jan czyli Janasz Węgrzyn) padli od kul szwedzkich; dnia tego trzech znowu młodzieży imieniem Janów działa nieprzyjacielskie położyły trupem. Ktoś to postrzegł i uwagę zrobił, aż co było Janów na murze zbiegać poczęło, a że to imię u nas pospolite, znalazło się dosyć przepłoszonych. Dano znać Kordeckiemu, wyszedł spiesźnie, znalazł w podwórce jeszcze owych wylekłych Janów, nie wiedzących co począć z sobą; zbliżył się do nich i spytał:

— Czegóście to z murów zeszli, kochani bracia? Żaden do strachu przyznać się nie śmiał.

— Wiem — kończył powolnie, wiem że bojaźń was ogarnęła! Zamiast zazdrościć korony Janów męczenników, wy unikacie śmierci wybranych, wołąc życie mierne strachem przedłużyć, niż żyć na łonie Bożem i w pamięci ludzkiej. Cóż za dziwny objął was przestach? Nie jest-li to najwyższem szczęściem poledz w obronie wiary i kraju? Idźcie jeśli chcecie wstyd wasz ukryć, myśląc że losu z ręki Bożej wyznaczonego unikniecie.... idźcie i płaczcie nad słabością waszą....

Ale po tych kilku słowach, nowy duch w nich wstąpił: zawstydzeni, zagrzani, ruszać się, rozbiegać na stanowiska poczeli, i odważnie dotrwali w boju. Dzień ten ze wszech miar szczęśliwym był zresztą dla obleżonych. Kule szwedów, czy to że się już byli przejęli mniemanami czarami mnichów i źle je kierowali, czy cudem łaski Bożej, ciągle leciały po nad mury, lub padały w podwórce i trzech tylko ludzi ubiły. Ogień zaś twierdzy był przeciwnie nadzwyczaj trafny.

Ciągle na myśli mając owe czary, ciągle o nich prawiąc, obawiając się ich coraz mocniej, Szwedzi

nieopatrznie, tchórzliwie, przymusem tylko działali. Na baterji północno-wschodniej z pośpiechu czy nieopatrzności proch rozsypany pięciu puszkarzom oczy wysmalił, a Cekwart stojący przed nią, w tejże chwili z działa ubity został. Wypadek ten gorzej jeszcze ich potrwożył, tak, że mimo poduszczeń Millera, mimo dodawanego ducha i wódki, ku końcowi dnia ogień zwolniał widocznie i był raczej postrachem samym, niż niebezpieczeństwem. Oficerowie nawet unikali zbliżenia się do murów, popychając naprzód żołnierza, a żołdacy szli opieszale, spędzeni, odstępowali szybko. Wyłomu pożądanego zrobić było niepodobna. Miller, który i sam od tego przesadnego strachu nie był wolny choć się wyśmiewał z tchórzów, odjechał zawczasu i ciężko zadumał pod namiotem. Wejhard tylko dojeżdżał, pędził, groził, zachęcał i wiodąc za sobą wszędzie Wachlera, który mu słabsze miejsca wskazywał, chciał coś dokazać, a nie mógł. Jakkolwiek niedowiarek, przecież się jeszcze nie wyrzekłszy katolicyzmu, i w głębi pamiętny wiary swojego dzieciństwa, począł i on wątpić o sile ludzkiej, a przypuszczać jakąś inną potężniejszą. Kaliński także milczał i stojąc z boku, już nawet w rady się nie wdawał, pocieszał tylko powtarzając:

— Niech-no działa z Krakowa nadejdą.

— Jeśli tak celnie jak te strzelać będą — odezwał się Wejhard — nie wiele na nich zyskamy. To coś niepojętego panie starosto.

— Istotnie panie hrabio, to jakieś czary.

— Któżby w nie mógł nie wierzyć — odparł pan Seweryn, a hrabia?

— Ja! nie wiem tak dalece, *sunt, non sunt!* to wątpliwa!

— Zdaniem wielu uczonych — ciągnął dalej Kaliński — a zwłaszcza autora *Młota na czarownice*.

Ale Wejhard nie słuchał już, coś ważył i myślał.

— Nie jest-li to rzecz niepojęta ten opór i nasze mazgajstwo!! Wziąwszy Poznań, Kalisz, Kraków, Warszawę, stanąć przy Częstochowie?

— Rzecz jest istotnie zastanowienia godną, ale też zima, ale...

— Żadne ale niesłusz, silniejsi jesteśmy niż wprzód, czemuż tu bezsilni?

Ruszył ramionami i pojechali nieodstępni towarzysze do Millera, jemu ducha poddawać! Tu zastali nową rzecz. Czaty rozsypane do kola i podjazdy szwedzkie schwyciły wracającego z Prus pana Piotra Śladkowskiego, podkomorzego rawskiego, i przywiodły go do obozu. Pan podkomorzy jechał sobie spokojnie, niedbając na Szwedów, bo sądził, że jako adherent szwedzki, wszędzie będzie miał wolny pas. Ale ciury, którzy się radzi byli obłowić, a myśleli, że to jaki poseł lub szpieg, wzięli pana podkomorzego z całym jego dworem i przywlekli przed Millera.

Był to człek jak mówią, kuty na cztery nogi; ze Szwedami mówił po szwedzku, z Polakami po polsku, a sercem po staremu ciągnął do swoich więcej. Gdy więc Miller jął go rozpytywać, począł się skarżyć i wynosić swoje przywiązanie do Szwedów.

— Panie Generale — rzekł z oburzeniem — cóż to? czy bezpieczeństwa w kraju nie ma dla nas poddanych króla JMci Karola Gustawa I. Jako mnie śmieli zatrzymać pańscy żołdacy?

— Co waszmość chcesz? to wojenny czas!

— Ale ja człek spokojny.

— A któż waszmości wiedział, coś za jeden?

— Pokazywałem pas Duglass'a?

— Oni bo czytać nie umieją; nie wieleś na tem ucierpiał, że trochę zboczyłeś, a dla mnie to się dobrze stało.

— I postraszyli mnie i zmitrężyli mi drogę

— A ja mówię, że to się dobrze stało; waćpan świeży człowiek, zrobisz mi tę grzeczność i pójdziesz jutro do tych upartych mnichów. Ja z nimi głowę tracę, a mam litość nad nimi, dawnobym mógł ich zniszczyć z kretesem a żal mi. Powiesz im waszmość żeby nie szaleli, że cała Polska nasza, że się poddać muszą.

— Ale panie generale, cóż ja tam poradzę?

— Poradzisz waćpan, poradzisz, poświadczysz co się dzieje, naklonisz ich, waćpanu lepiej uwierzą.

Pan Sładkowski dziwnie jakoś brwiami ruszywszy, wasa pokręcił.

— Wszak w Prusiech wszystko dobrze? wszak Szwedzi wszędzie górą.

— A jakże! panie generale, a jakże! tak jest! powtórzył Sładkowski.

— No! powiesz im to wszystko.... powiesz i przemówisz z dobrą ręką, żeby się poddali.

— Prawdę powiedziawszy, jestem nawet dawno znajomy księdzu Kordeckiemu...

— Tem lepiej, więcej da wiary waszmości. Hola! klasnął Miller w ręce; teraz musze waszmości przyjaść i kazać ci dać kwatere w Częstochowie.

Zaprzątnieto się tedy przyjęciem pana Sładkowskiego; ale gdy go poczeli badać o swoich, o fortunę oręża szwedzkiego, o to i owo; prawil im banialuki i androny, platał się, bałamucil i nadewszystko zaklinał, że był wiernym bardzo poddanym króla Karola choć nie wiele mógł wiedzieć, bo jeździł na Żoławy za interesem własnym, unikał posterunków i wybierał kraj spokojny. Miller widząc go tak jakoś nie zaopatrzonym w nowiny, pożalował nawet, że go do klasztoru posłać umyślił, ale pomyślał sobie: — lepiej taki, że nowego człowieka zobaczą a od niego co postyszą, niech jedzie. Kaliński uprzejmie się ofiarował do towarzystwa, ale podkomorzy grzecznie odmówił, dowodząc, że sam na sam z księdzem Kordeckim jakoś to lepiej pójdzie. Wejhard odjechał z nową nadzieją, a Sładkowskiego rajtarowie zawiedli do miasteczka Częstochowej, gdzie u Hijacynta Brzuchańskiego dano mu mieszkanie. Nazajutrz rano miał po niego przysłać Miller, dodać mu trebacza i wyprowadzić na Jasną Górę. Ledwie się uwolnił od Szwedów podkomorzy i poczul

swobodnym, rozmarszczyło mu się czoło, i zaczął rozpytywać gospodarza ostrożnie.

Dowiedział się wszystkiego co się tknęło obłożenia i z weselszą twarzą do snu poszedł.

XXXVIII.

Nazajutrz rano był to siódmy Grudnia wigilia do Niepokalanego Poczęcia Marji Panny. Przeor od rana w nowej sukni, zbliżeniem święta rozjaśniony, poddawał ciągle nadziei, mówiąc do swoich:

— Matka Boska na dzień swój, da nam otuchę i radość, ale wszyscy dziś pośmemy po staremu jak to pościli ojcowie nasi, suchotami dzień cały do wieczora, wieczorem grzanką chleba i trochę piwa posilimy się, i tak oczekiwać będziemy nroczyści.

Wszyscy tedy, aż do starców i dzieci, pościć postanowili tak, że nawet po kuchniach ognia nie rozpalano. Szwed rano nie ochoczo brał się do dzieła i nie rychło przebudził, a w klasztorze sposobiono się do obrony, gdy trębacz dał znać o poście. Był to pan podkomorzy Śladkowski, któremu Miller był dał wprzód naukę, jak i co ma mówić; polecił mu naglić mniichów, aby co rychlej dla własnego bezpieczeństwa poddawali się, a podkomorzy zaklinając się na swą miłość dla Karola Gustawa; wszystko spełnić przyrzekł.

Zaprowadzono go do księdza przeora, który z niemalem powitał go zdziwieniem.

— A co waszmość tu porabiasz, spytał, czy także ze Szwedami?

— Jeśli nie z ochoty i dobrej woli, to z musu, księżu przeorze; wczorajszego dnia, wyobraźcie sobie, jechałem spokojniutecznie z Prus do Żoław, gdzie do panów Wesłów miałem interes, aż tu rajtary szwe-

dzkie, niech ich Bóg pokarze, ulapili mnie jadącego drogą, i dostawili jak włóczęgę jakiego do obozu.

— Otóż to przyjaciele Szwedzi, rzekł Kordecki.

— Kwitowałbym z przyjaźni, ale cóż robić; a Miller, jak mnie wzięli, kazał, niby to lepszy od drugih, świeży człowiek, iść waćpauów namawiać do poddania, dowodząc... ale to już wiecie zapewne.

— Ba! i sto razy nam to powtórzono, rzekł przeor, kochany podkomorzy, a nie macie tam co nowego i lepszego od tej starej piosenki o Karolu Gustawie

Sładkowski się bacznie obejrzał; stali obok pau Zamojski, Czarniecki, dwóch jeszcze szlachty, ze trzech księży; pocmokał i zdawał się wahać.

— Ej! kiedy to widzicie z tym djablem Szwedem nie żartować.

— Możecie nam przecie zaufać, przerwał Kordecki, a macie co nowego?

— Ba, możeby się znalazło! — z uśmiechem odparł Sładkowski.

— No to mówcie, a śmiało, a naprzód siadajcie, my dziś pościm wigilią na chwałę Matki Boskiej szczerym postem, ale dla was znajdziemy co przekąsić.

— Albo to ja także nie chwalca Matki Boskiej — żywo zawołał podkomorzy — nie róbcieź mnie heretykiem, ja z wami, z suchotami jak i wy wszyscy, księżę przeorze.

Kordecki się uradował, aż mu oczy zabłysły.

— Ej! — rzekł — gdyby tak wszyscy i wszędzie razem szli a śmiało.

— Nie bylibyśmy sobą, przerwał Sładkowski, u nas niezgodą życie stoi, a to pokaranie Boże...

— Prawda, ale mówcież proszę, co tam mówić macie.

— Długo tak mówić nie mam co; minęła szwedzka godzina, pocichu szeptał Sładkowski, poczęło się wszystko dla nich na nice obracać; albo się bardzo myłę, albo dziś właśnie zawiązuje się przeciwko nim konfederacja. Spotykałem dużo ludzi po drodze, od Krakowa,

od Mało-polski, nowiny zewsząd jedne, noga się Szwedom powija.

Kordecki złożył ręce, wstał żywo i zawołał ze łzami:

— Bogu dziękować! Bogu dziękować! ale mów, rzekł miarkując się i zbliżając się ciekawie do Śladkowskiego, mów, mój podkomorzy.

— Od Krakowa słyhać, kończył przybyły, że nasi już radziby się do swojego rodzzonego pana wrócić i powoli ku temu mierzą, bo im ci złote góry naobiecypowali, a i ołowianych nie dają. Pieniędzy Szwed nie ma, skoro tylko Kraków wziął, zaraz zmienił *facies*; już nie dysumuluje, ani publicznej ani prywatnej własności nie szczędzi; w wielkiej Polsce ba i w malej i po całym kraju, nie myślą wcale bronić nas, jak to solennie przyrzekali, ale razem z Kozakami łupią i grabią... Wojska ich szlacheckie majątności najeżdżają, łupią klasztory i kościoły, zabijają, gwałtuja. I Kwarciiani już sobie coś myślą na to patrząc, bo i oni nie kto, tylko szlachta jak i drudzy.

— Byłoby to prawdą! — zawołał Zamojski uradowany — łaska Boża! lepsze upamiętanie, cboć późno...

— Tylko cicho, cicho, mówił Śladkowski, nawet *inter nos*, nasi już raz Szwedom potłukli *certissime*...

Kordecki uśmiechnął się.

— Ależ to przynajmniej nie fałsze nam z za rękawa trzęsiecie?...

— Bóg widzi, że prawda szczerza. Wczoraj w wielkim byłem kłopotcie, gdy mnie Miller o nowiny zagadnął, bo się przed niemi z tem niewygadać. Zbywałem ni tem ni owom; ale wam, mówię jak jest; jeśli Bóg dał potrzymać się dotąd, potrzymacie i dłużej, a Szwed niechybnie odstąpić musi, bo go w plecy polaskoczą...

— A cóż o królu Jegomości słyhać?

— Jeszcze go nieboraka nie wyciągueli z tej dziury, ale chybaby Bóg nie łaskaw, żeby widząc starania

wszystkich, nie poszedł z nami! pójdzie, i powoli do kupy się zebrawszy...

— Utniemy, utniemy jak Bóg miły, Szwedom po tebinkach, przerwał wyrzucając czapkę, pan Piotr Czarnecki. Ot! i przy nas sława, żeśmy pierwsi uwierzyli w siebie, to jest prawdą a Bogiem mówiąc, przy księdzu przeorze.

— Dajcie mi pokój! żadnej ja sławy nie chcę, ofuknął Kordecki, prócz sławy sługi Bożego... ale mówcież no, mówcie panie podkomorzy, bo aż serce rośnie was słuchać.

— Wittemberg trzymał w Krakowie deputatów od wojska i z nich ich odprowadził, ba i sami poszli powąchawszy, że ich pieniędzmi ze sreber kościelnych kontentować miano. Koniecpolszczycy tylko co przedziej przyszli, coś tam zachwycili grosza, reszta tylko obietnice. Jakoś opatrzyli się w czas, że tych pieniędzy brać się im nie godziło, bo słyszeli niezmierny skwierk ubogich zakonników, księży, mniszek, u których zakrystje pozabierano. I szwedzka owa pierwsza skromność bardzo się odmieniła, nie skrycie już, ale jawnie, nietylko kościoły, ale i domy szlacheckie z wielkiej dla nas przyjaźni rabują.

— Można się tego było spodziewać! — rzekł przeor.

— A z kmieci, ciągnął dalej Sładkowski, bez braku i miłosierdzia, eksakcje nieznosne, pieniądze i strawne wyciągają, czego i kupcy krakowscy, żydzi po niemiecku przebrawszy się, Szwedom dopomagają; a Wittemberg nietylko ich nie karze, ale jeszcze do tych usług animuje.

— A dosyćże tego wstydu i spodlenia! — krzyknął Zamojski — na rany Chrystusowe! a dosyć! Czyż i na to będziemy jak trusie milczeli, żeby coś nie oberwać, żeby się nie bić, i wolemy być plazowani przez galganów, niż w pocziwej walce życie położyć!

— To też się rzeczy bardzo od niedawna zmieniły — mówił podkomorzy rawski — jak się wszyscy postrzeegli, że co się spodziewali opieki, to dostali wypiekę. Deputaci wojskowi nie czekając ćwierci, poszli słysząc

z Krakowa precz ku Słomnikom. Już tam ich próżno trochę gładzły Duglass chciał hamować po niewczasie. I panowie hetmani o ojczyźnie myślą i wszyscy także gromadzą się i radzą, by nieproszonych pozbyć z domu gości.

— Więc i my możemy mieć nadzieję, że o nas nie zapomną! — rzekł w uniesieniu Kordecki.

— Gruchnęła slyszalem wieść koło Krakowa o oblężeniu, gdy po działa przysłał Miller, (mówili mi to na drodze, zwłaszcza pan Stocki od Krakowa jadący) wielu się naradzało czy nie iść tu w sukurs, ale stało na tem, że Matka Najświętsza sama swej rezydencji obroni...

— I ludzka pomoc nie byłaby zbyt cenną — rzekł Zamojski — jeśli nie miejscu to krajowi, który patrzy i uczy się z czynów lepszych, co ma dalej poczynić...

— Z tem wszystkiem, zakłopotawszy się, nagle przerwał jakby opamiętywając Sładkowski, co mam powiedzieć Szwedowi, który mnie tu posłał?

— To cośmy mu zawsze odpowiadali, rzekł Kordecki, że załogę mamy jak to sam wie *propria experientia*, dostateczną; cudzej nie przyjmujemy, a dla traktowania, prosimy żebyśmy mogli wystać dwu zakonników do samego króla szwedzkiego.

— Trzebaż przecie żebym i ja co zrobił, niespokojnie przerwał podkomorzy, bo mnie gotowi uchowaj Boże. podejrzewać... wymyślcie co panie mieczniku.

— Kiedy wam już komedję grać przyszło, odparł Zamojski z niejakim wstrętem, ulóżcież sobie sami dialog. własną inwencją lepiej spamiętacie.

Sładkowski zamyślił się nieco i rzekł:

— Ha! co będzie to będzie, powiem mu żeście uparci, kiedy on armatami nie pokonał, trudno żebym ja racjami was zmógł, a tymczasem, dodał, zwlekajcie a zwlekajcie, może się i króla naszego rodzzonego doczekacie.

— Króla!... daj to Boże! — westchnął Kordecki — nie on to nas opuścił, aleśmy go rzucili; ujrawszy

swoją Polskę w rękę Szweda, wyrzekł się nas jak złych dzieci; a! gdyby powrócił, inaczejby poszło wszystko... ale otucha w Bogu.

— I w dłoni naszej, dodał pan Piotr Czarniecki brzękając o szablisko. Gdyby się nam tylko zbyć fałszywych przyjaciół, nieprzyjaciółom rady damy.

Wtem i pan Sładowski zegnać się począł i odchodził, a nowiny błyskawicą z ust do ust poleciały po załodze. Wszyscy je wzięli za dar Matki Bożej, w wigilię Jej święta, przysłany obrońcom czci Jej i ołtarza. Sładowski wprost udał się do Millera, któremu stawił się smutny i zmęczony.

— No, cóż tam waszmość począł z mnichami? spytał ciekawie dowódca.

— A cóż! twarde głowy, rzekł Sładowski z niechęcią, ani z nimi gadać, ani ich przekonać, wzięli mnie zwyczajnie za waszego posła, a wiedząc o głosnem mojem przywiązaniu do króla Karola Gustawa pierwszego, ani słuchać nie chcieli, com im prawić, darmo ochryplem.

— Jakże? to i wam nie wierzą? Ale cóż myślą? w co ufają?

— Prawdę rzec, panie generale, najwięcej ufają w opiece Najświętszej Pauny.

Szwed splunął ze złością.

— Głupi bałwochwalcy! głupi papiści! — zawołał.

— A potem, kończył Sładowski, nie wiem w co zreszta, ale zdają się dobrej myśli i serca nie tracą...

— To rzecz niepojęta! widział kto co podobnego! — wpół do siebie zamruczał generał. — Dwóchset ludzi w obmurowanym kurniku, miałyby się uragać dzie więciu tysiącom! To coś nadludzkiego... to szaleństwo...

— Przytem, rzekł Sładowski, mnichy zatwardziali, dumni... ani gadać z nimi nie można...

— A Zamojski?

— Zamojskiego ledwie widziałem.

— Daż wam mówić, — przy ludziach, czy sam na sam!

— A! była ich tam kupka, ale starszyzny...

— No! więc chcą wojny! rzezi! gruzów! będą je mieli i krwawą wojnę, wykrzyknął znowu Miller. Co ehwila dział się spodziewam z Krakowa, dziś odebrałem wiadomość, że są już blisko, a idzie ich sześć ciężkich i tysiąc dwieście piechoty eskortuje; tam ich przecie zgniotę.

— Ani chybi, panie generale, rzekł podkomorzy, tylko piechoty brakło, prawdę powiedzieć i większych dział; jak te zagrają, zaraz się wyłom zrobi, a byle trochę mur nadwerężyć, zaraz się poddadzą.

Wtem słodkiem marzeniu zostawując Millera Sładkowski, wyjechał z pasem od niego do miasteczka, i stanął na chwilę znowu u pana Hijacynta Brzuchańskiego mieszczanina częstochowskiego. Męczyło go to, że nie mógł dać wiedzieć do klasztoru o idącej piechocie i działach, ale jak było teraz do twierdzy się dostać? Spojrzał na swojego gospodarza. Pan Hycyn^t. inaczej pan Jacek Brzuchański, jak wszyscy mieszczenie ówcześni, miał niepoczesną powierzchowność, zbiedniony, wytuzany, zmęczony szwedzką stacją, wychudły, wyglądał jak z krzyża zdjęty. Obejrzał go pan podkomorzy bacznie, a z tej miny sądząc tchórzem i przyjacielem Szweda, nie wiedział co począć. Wtem pan Jacek do stóp mu się uklonił.

— JW. panie, rzekł, prawda to żeście byli u naszych ojców i dobrodziejów, jak się tam biedaki mają w klasztorze?

— Byłem! at! zachcieliście, jakże się dobrze mieć mają w tych opałach! poszaleli, nie chcą się poddać!

Mieszczanin ruszył ramionami, pokiwał głową.

— Alboby to było co lepszego jakby się poddali?

Sładkowski patrzył w oczy bacznie; nareszcie oburącz chwyciwszy odwagę i polecając się Matce Boskiej:

— Słuchaj-no waszeć, jak tam waści zowią?

— Jacek Brzuchański, JW. panie, mieszczeniu częstochowski i malarz.

— O! i malarz waść! i malarz! Obejrzał go je-

szcze; zbliżył się i rzekł po cichu: Pytaliście o ojców, chcecie im służyć?

— Ja? rzekł śmiejąc się pan Jacek, co i pytać, to nie pierwszozyna!

— Kochasz wać Matkę Boską?

— JW. panie, a któżby Jej nie kochał? zdaje się, ja nie żaden zdrajca. Szwedzi mi ot tusiedli! (pokazał na gardło), na różniebym ich piekł.

— A może kto słyszy?

— Nikogusieńko nie ma.

— Pójdź-no jednak obejrzyj. Każ mi konie kulbaczyc, na wsiadaniu się rozmówimy.

Pan Jacek, którego już piekło, pobiegł, powrócił chyżo z błyszczącym okiem, a uczuwszy potrzebę upewnienia pana Sładkowskiego, który się zdawał powątpiewać o nim, szepnął mu:

— Od czasu jak się poczęło obłęzenie, sześć razy już byłem w klasztorze z nowinami.

— Jak?

— Przebieram się za Szweda.

— Z waści Szwed.niepoczesny.

— Jest ich różnego gatunku.

— A zkądże odzienie?

— Mam tu opoja w domu, to go zetnę miodem, że leży gdyby kłoda, a sam wdziawszy jego hajdawery i zbroję, choć mi w nich jak krowie w chomacie, idę pod mur...

— No! kiedyś wać taki. pójdźże jeszcze raz.

— Jutro zaraz, raniuteńko, bo rankiem najlepiej, póki Szwedzi oczy przetrą, ale z czymże? Prawdą a Bogiem już od dwóch dni leżą u mnie listy z konwentu krakowskiego od ojca Antoniego Paszkowskiego, do ojca przeora.... to razem się i to zaniesie.

— Powiedz im, że sześć dział z Krakowa, i tysiąc dwieście piechoty, już blisko, niech o sobie myślą, a mają się na baczości.

Tak się obrachował pan Sladkowski, że ledwie to powiedział, zaraz na koni i poleciał co tchu w swoją drogę mimo obozu...

XXXIX.

Ranek w dzień Niepokalanego Poczęcia N. Panny Marji, wielkie święto i odpust w Częstochowie; jakby dla dodania wesela uroczystemu obchodowi, ukazał się jasny i pogodny. Przymrozek pobielal dachy i pola a słońce rozbiwszy mgły gęste, wstało błyszczące, miłym, niespodzianem ciepłem, ogrzało ziemię zastygłą. Lekkie tylko obłoczki uciekały z wiatrami, ostatnie gońce ciemnych chmur co się już za widokrąg ku Olsztynowi skryły.

W obozie ten sam zakręt i ruch co dnia poprzedniego; w klasztorze święto jak gdyby Szwedów nie było, i goreją od brzasku lampy po ołtarzach, wonne kadzidła rozchodzą się pod sklepieniami sinemi obłoki, księża śpiewają hymny:

*Qualem Maria te canam
O Virgo, flos o Virginum...*

Lud korzy się przed obrazem. Jak na tej modlitwie wszyscy są pobożni, wszyscy zdają się Bogiem i niebem oddychać; czemuż to tylko chwila w życiu przełotna!

Kordecki miał mszę ranną, bez swej infuly, bez pastorału, jak prosty kapłan, bo później zamiast nich, trzeba było wziąć helm i laskę wodza, i modląc się stać w obronie twierdzy. Tylko na wielką mszę, na uroczystą sumnę, musiał wystąpić jako opat w oznakach swej godności i przełożenstwa, a kto na niego spojrzał, tak widział spokojnym w Bogu, że pomyśleć musiał: — On czuje, że nas nie zwyciężą!

Lud powoli przywykał wierzyć Kordeckiemu, bo nigdy żadne jego nie zawiodło słowo, wszyscy się raczej na niego, niż na Zamojskiego oglądali. On tu hetmanił, a hulawą jego był prosty krzyż drewniany.

Wszystko przysposobionem było tak, żeby nabożeństwo nie cierpiało wcale na położeniu obleżonych, by było świetne jak zawsze; pielgrzymów tylko brakło. Kaplica była pełna, ale kościół nie tak nabitý i dziedzińce próżne, a działa towarzyszyły muzyce na wieży i śpiewom w chórze i głośnym organom swym hukiem posępnym i złowrogim.

Gdy się to dzieje w kościele, na murach chodzą ludzie, kolejają się mieniają do kościoła; każdy był na mszy, pokłakł przed obrazem w to wielkie święto i powrócił rzeświejszy, dopiero po duchownym posiłku kosztując pokarmu; post bowiem dawny polski wigilią oznaczający, kończył się dopiero z nabożeństwem, i lud go jeszcze do dziś dnia w ten sposób zachowuje. Stał na murze pan Czarniecki, koronkę odmawiał, węża kręcił i przysłuchiwał się, rychło na wotywę zasygnują; gdy pijany szwedzki żołnierz poczał się zbliżyć pod mur, wzięto go zaraz na cel z rusznic, ale rychło postrzeżono, że coś białego krył za nadrą i mrugi a migi różne czynił.

— Albo to psi figiel szwedzki, albo to poseł — rzekł pan Piotr — dopuścić go.

Aż tu gdy się zbliżył lepiej i poczęli twarz rozpatrywać, mimo przyczepionych wąsów, poznali pana Jacka; ten nawinął papiery na kamień i cisnął je na mur, udając wcale nie źle zuchowatego żołdaka, gdy prawdziwi Szwedzi z za figury, wpadli nań z krzykiem i wrzawą. Chciał nadrobić miną, chciał potęmi uciekać, ale mu się nieborakowi nie udało, bo co najgorzej, języka tych szoldrów nie umiał, i tak go w oczach Czarnieckiego wzięli, który aż za czuprynę się pochwycił nie mogąc go ani obronić, ani odstrzelić, bo się bał, żeby i panu Jackowi się nie dostało. Szczęściem papiery, które niósł, były już w klasztorze; a z niemi Czarniecki pobiegł do zakrystji.

— A co nowego?

— Aj! źle dobrodzieju! Jacka malarza złapali, gdy papiery na mur rzucił, ale otóż i one.

— Nic mu się nie stanie, żal mi biedaka, bo go poturbują — rzekł przeor — ale go ani obwieszą, ani zabiją.

— A co wiedzieć czy tego nie zrobią?

— Nie zrobią! — powtórzył przeor — Najświętsza Panna go obroni, wiele Jej wizerunków rozeszło się z rąk jego po świecie. To dzień Jej chwały, ona go ocali, ale dawajcież te pisma.

W tem uderzono we wszystkie dzwony na sumnę, lud cisnąć się począł co żyw do kościoła. W obozie polskim znowno oczy zwrócone na świątynię — oni bez nabożeństwa, bez oblicza Bożego, odepchnięci, wygnani; schwyciło ich za serce, bo co to pobożnemu posłyszeć dzwony, pomyśleć, że się tam modlą, a nie móżą pójść z wiernymi razem! Prawda, mówią, że wszędzie Bóg przyjmie cichą modlitwę, ale jaka dla człowieka różnica, modlić się na sam, a z braćmi! Tu jak wilgotne drzewo gorejesz powoli, tam w ognisku płomień cię ogarnia, pobożność cudza podnosi, skupiają się westchnienia, zlewa się pieśń w jedną i czujesz Boga, że cię nysłyszał. I Polakom i Szweda, serce zabilo do dzwonów, zataśknili za kościołem. Fara w miasteczku była zamknięta.

— A! mówili, czemuż my tam pójść nie możemy?

— Czemużbyśmy nie poszli? — rzekł któryś.

— Bo nas nie wpuszczą.

— Puszczą, wszak do kościoła!

— Próbuje!

I tak gronkiem co było pocziwszych, nuż przez szwedzki obóz do bramy.

— Ojcie Pawle (bo go niemal każdy znał) puść do ołtarza Matki Boskiej.

Ojciec Paweł wyrzał i rzekł: — E! to tak! wczoraj to zęby na nas ostrzyli, sposobów szukali, a dziś puść ojcie Pawle. Przyszła koza do woza, ale z tego nie będzie nic, nie godni jesteście, módlcie się sobie

do szwedzkiej chorągwi. Jeszcze mi będziecie co szpiegować dla Millera.

— Ojcie Pawle, a godziź się to tak braci czernić?

— Darujcie kochani braciszku, ale ja w was swoich nie widzę, bo u was nie Imię Marji na chorągwiach powiewa, ale szwedzkie korony.

— Dajcie znać księdu przeorowi, wszak na sumnę dzwonią, każe nas wpuścić.

— Prawda na sumnę, ale nie dla was.

— Prosimy, ojcie Pawle!

— No! no! kiedy tak prosicie, postójcież, pójdę do przeora.

I wszedł do zakrystji. Kordecki listy jeszcze czytał, gdy mu ksiądz Paweł doniósł o kwarcianych.

— Puszcząć! — zawołał — bronić chwały Bożej, zamykać kościół chociażby grzesznikom, a czy to się godzi? puszczaj bracie, puszczaj co rychlej!

— Na Boga! — krzyknie ksiądz Mielecki, który się do mszy ubierał a może to szpiegi i zdrajcy!

— I ci nam nie zaszkodzą, gdy idą w imię Marji, Ona nie dopuści, otwieraj furtę i prowadź prosto do kościoła.

— Ale księżę przeorze — rzekł Mielecki.

— Myśmy przed wszystkim kapłani, mój ojcie — odpowiedział Kordecki — a sił niebieskich nie przemogą oni, ani zdradą, ani siłą ludzką.

Puszczono tedy kwarcianych po kolei, imiona ich spisując, aż nadszedł jeden, czarny jakiś, nosa płaskatego, ust szerokich, smagławy, ale mu mimo tego z maleńkich oczu pocziwie patrzyło; coś miał wszakże tak cudzoziemskiego w sobie, że się aż brat Paweł zachnął.

— A! a waszmość kto taki? — spytał.

— Azulewicz, Mehmed Azulewicz.

— To Tatar! — rzekł któryś z kwarcianych.

— Co? Tatar! — zakrzyknął ksiądz Paweł porywając się — ratujcie! a wy tu po co?

Rozśmiał się Tatarzyn, białe zęby pokazał, ale i duszę w tym uśmiechu.

— Tatar, nie Tatar, ale taki Polak jak i drndzy, choć nie katolik, puście i mnie, przynajmniej z pocziwymi ludźmi pogadam, a może — dodał — żałować tego nie będziecie.

I jakąś taką miał pocziwą twarz, że brat Paweł, choć się sobą bornkał, nie wiedząc co począć, nie chciał go od furty odegnąć. — Ale cóż przeor na to powie? — rzekł zcicha.

— Puście go, to nasz! pocziwy człowiek! — zawołało kilku — ot, zachciało mu się widzieć waszą twierdzą, bo mu serce gra, że się w niej tak dobrze bronicie; nie odpychajcie go, albo to zapomnieliście, że Tatarzy najlepsi sprzymierzeńcy nasi?

— A to prawda! — rzekł brat Paweł — ale jednakże wypadałoby spytać przeora.

— Na moje słowo — odezwał się Komorowski — puście go, niech i on zobaczy nasze nabożeństwo.

I przekonany, a raczej zmiękczony brat Paweł, drzwi mu otworzył.

Wnet po klasztorze gruchnęło od ucha do ucha:

— Tatar przyszedł, Tatar!

Po nabożeństwie, wszyscy cisnąć się zaczęli ku niemu aby go zobaczyć, i Kordecki z ciekawości zbliżył się. — Pan Azniewicz (był to sobie bardzo a bardzo pocziwy litwinisko), chodził po blankach w czasie nabożeństwa; gdzie drndzy czapkę zdejmowali i on ją uchylił, zresztą rozpatrywał się, a nikt mu patrzeć nie bronił, oglądał się i dziwował.

Trochę zniespokojony tym oglądem Kordecki, podszedł ku niemu z innymi.

— Panie Azniewicz — rzekł — chodźcie do nas, przekazać co Bóg dal.

— Dziękuję księdzu przeorowi.

— Znajdziemy coś i dla was.

— Już ja jadłem z rana; najlepiej nakarmiliście mnie ufnością z jaką tu wpuszczony zostałem, dziękuję wam za nią szczerem sercem. Jużciż to i Tatarzy litewscy

jednej matki dzieci z wami; nie myślcie byśmy bardzo Szweda kochali. Chciałem i ja widzieć cuda wasze, nasze Mułły nie potrafiliby nic podobnego. Dziw! dziw! takiej obronić się potędze.

— Nie naszą to siłą — odparł Kordecki — jest ktoś wyższy i większy co nas wspomaga.

Tatar głowę skłonił i rzekł z nniesieniem:

— Niema Boga ino Bóg...

Resztę formuły zjadł przez grzeczność i w duchu jej tylko dokończył.

— Brońcie się — dodał — a obronicie!

Na to słowo głośno wyrzeczone, poczęli się cisnąć do niego.

— Tak! tak! — rzekł Azulewicz — mury dobre, lud jest i ochoczy, żywności i prochów nie brak nic, za co się macie poddawać?

— Jakże myślicie? potrafić się utrzymać? — spytał Kordecki.

— Jeśli tak jakeście zaczęli, dokończycie, to niezawodna! Ani myślcie o poddanin, podpiszą wam warunki jakie zażądacie, a złupią was potem do szczętu. Szwed przysięga nie dla siebie, dla ludzi, aby ich złapał; patrzcie jak po kraju pustoszą, choć całość jego oprzysięgali...

— Wiemy już o działach burzących, które idą na nas z Krakowa, i o piechocie co im towarzyszy — odezwał się Kordecki — ale wola Boża!

— Nie strachajcie się ino! Działa nie zawsze trafnie biją, tu już dowody macie, że im pod górę strzelać się nie ndaje; piechota przyjdzie, to ją taki strach opanuje jak tutejszych, a mróz, deszcz, szrony zwalą z nóg. — Kordecki tylko, że Tatara nie uściskał, a pan Czarniecki słuchający z daleka, chciał zaraz wypić z nim za pomyślność oręża jasno-górczan, ale Azulewicz nie nie pił.

Kwarciani odchodzili, i on się z nimi wysunął.

Ta przypadkowa bytność jego, nowiny przyniesione

przez Śladkowskiego, listy księdza Antoniego Paszkowskiego z Krakowa, w których donosił o szwedzkich w stolicy wiarołomstwach i zdzierstwach, tak poddały ochoty do boju, że mimo dział z Krakowa i piechoty, wszyscy wołali, że się do śmierci bić i bronić będą.

Samo święto, modlitwa i pieśni, swą władzą tajemniczą przyczyniły się do wzbudzenia nowej w obłączonych odwagi. Możnaż bo słuchać tych potężnych wyrazów naszej modlitwy codziennej, podnoszących do niebios, stawiających człowieka wyżej świata i śmierci, wyżej mocy ziemskiej, a nie uczuć w sobie, że piekło nawet nie przemoże tych, których Bóg osłania!— Gdy wśród nieszpornych modłów, przyszedł psalm odmawiany dnia tego (CXXVI), jakże natchniony poeta do serc wszystkich przemawiał nieśmiertelnemi wyrazy, co wyrzeczone przed wieki, jęk piersi ludzkich zawsze najdobitniej malują, wlewając otuchę, głosząc łaskę nieprzebraną Boga dla grzesznika, zwiastując miłosierdzie. I brzmiały pod sklepieniem, jakby dla naciśnionych umyślnie zastosowane słowa:

„Surgite postquam sederitis, qui manducate panem doloris....”

Beatus vir qui implevit desiderium suum ex ipsis; non confundetur, cum loquetur inimicis suis in porta.“

(„Wstańcie po spoczynku, wy co spożywacie chleb boleści....”

„Szczęśliwy mąż co napełnił kołczan strzałami temi, nie będzie upokorzony, gdy z nieprzyjacielem stanie u bram swoich.“)

I powtórzone pierwsze słowa pieśni brzmiały także prawdą wieczną:

„Nisi Dominus aedificaverit domum, in vanum laboraverunt qui aedificant eam.“

(„Jeśli Bóg sam nie wzniesie domostwa, próżno pracują budując go ludzie.“)

Czuli wszyscy, że tylko przez wiarę, przez opiekę Bożą, silnymi być mogą; zapomnieli, że ich otaczały, dźiał paszcze, setne wrogów chorągwie i nieprzyjacielskie zastępy.

Matka Boża, niebieskim płaszczem spokoju otulała owce swoje!

KONIEC TOMU TRZECIEGO.

TOM IV.

XL.

W dzień ten uroczysty, mało kto ze znajdujących się w twierdzy nie był na nabożeństwie, mury nie ledwie porzucone broniła opieka Boża; ani przyszło Szwedom na myśl, w tej chwili przypaść na nie. Uważano, że dźwięk dzwonów, śpiewy i muzyka, od czasu jak między nich puszczono wieści o czarach, robiły dziwne na żołnierstwie wrażenie. Zdawało im się, jakby to wszystko oznajmowało jakieś przygotowanie do niewidzialnego na nich działania. I nie tyle może huk dział Jasno-Górskich, co dźwięk trąb, śpiewów a dzwonów wystraszał. Niespokojnem okiem poglądali na górę, szli ku niej opornie, a gdy obok nich padali niektórzy od postrzałów, patrzali jakby niedowierzając, że od kułi polegli i szukali śladów innego rodzaju śmierci.

Pobożni i opieszali, wszyscy dnia tego zeszli się przed ołtarze; jeden może Krzysztoporski pozostał na murach, a gdy osierocony Lassota o kulach włókł się do kościoła, pan Mikołaj z za węgla bastjonu, patrzył tylko na kaplicę jak w teczę; rzekłbyś, że się obawiał władzy, która tam mieszkała.

Ojciec Mielecki ciągnął go z sobą, odpowiedział mu :

— Ja się i tu pomodłę, źle wszystkim mury opuszczać. — Ksiądz Ignacy głową pokiwał.

— Żle i to — rzekł — kiedy żołnierz Matki Boskiej do swej Pani w taki dzień się nie modli, ej! panie. Mikołaju, porachuj się z sumieniem, coś ci ono swędzi!

Rozśmiał się stary dumnie, krzywo, dziko:

— Dajcie mi klecho pokój — rzekł — co ci tam do mojego sumienia, gorzej będzie jak wam grzbiet zaswędzi od szwedzkich razów.

Ksiądz Mielecki odwrócił się, ruszył ramionami i poszedł, zostawując go samym.

A gdy się rozeszli żołnierze, przemknęła się pani Plazina mimo stanowiska, uśmiechnęła się, pogroziła; Krzysztoporski namarszczył na nią groźnie i poszła.

Do kościoła!! W kościele nie modlitwa jej była w głowie: policzyła wszystkich, obejrzała suknie, oceniła stroje, temu kiwnęła głową, drugiego zawabiła okiem, trzeciemu się uśmiechnęła, a książkę wzięwszy na wywrot, udawała że czyta, choć oczyma i myślą biegła kto wie gdzie. Gdy wzrok jej padł na starszego Lassotę, obejrzała go też uważnie, jakby pragnęła poznać, lub się go obawiała.

Konstancja klęcząc u drzwi, żadnego jej obrotu nie straciła z oka; każde ruszenie zapisała w pamięci i czatowała na nią jak na pastwę; potem rzuciła się krzyżem na zimną posadzkę.

— Matko Boża — modliła się po swojemu myślą i słowy cichemi — Matko Boża, ty jedna wiesz boleści moje. Jam na twoim oltarzu złożyła pociechę, której nie jestem godna: powróć stratę starcowi, pociesz jego siwiznę, nie daj zwycięstwa tym, co nfają w siebie, a zeszliz politowanie na sługi swoje... Matko Boska, zmiłuj się nad nami!!....

I łzami zwilżyła kamień kościelny.

Długo tak, długo leżała na modlitwie, aż się całe skończyło nabożeństwo, i wszyscy rozechodzić poczęli, potem o kiju pociągnęła się ku pustej izdebce Lassoty, ku murom. — Chciała się spotkać ze Stefankiem, ale ten był przy ojcu czy matce; chciała pomówić z Plaziną, ale ta debrawszy sobie towarzyszek, poleciała

zajrzeć w oczy kwarcianym i opatrywała Tatara. — Siadła więc stara u muru pod okienkiem, gdzie śliczne owe dziecię chleb jej dawało, i tak pozostała do wieczora. Już się miało na zmierzch, gdy nagle powstała, pomyślała chwilę i jakby coś postanowiwszy, poszła wprost tam, gdzie stał Krzysztoporski.

Był sam jeden — ksiądz Mielecki śpiewał niespor w kościele. Na widok żebraczki, jakby go niepokój jakiś ogarnął, zbliżył się do wschodków wiodących na mur, i chciwie w niej zatopił oczy.

Ona podeszła śmiało ku niemu.

— Mikołaju — zawołała znajomym mu głosem, na który się wzdrygnął... — nie omyliłeś się, cień to znajomej tobie! cień zgryzot twojego sumienia.... to ja!

Krzysztoporski drżał jak przykuty do miejsca.

— Widzisz — mówiła stara — co zemną uczyniła pokuta: obłąkaną, szaloną żebraczkę, pośmiewisko ludzi... Ale w duszy dała mi spokój...

To ona! to ona! — dziko oglądając się powtarzał szlachcie zdumiony.

— Tak, to ja, żona dwóch mężów, zła matka, zła żona, zła córka, grzesznica... Wielem ci winna, wiele! Tyś mi był tyranem, ale niewola u ciebie upamiętała szaloną. I gdy przyszła chwila oswobodzenia, znalazła mnie gotową do pokuty... widzisz pokutę... Szalona w życiu, postanowiłam szaleństwo okazywać do śmierci i być pośmiewiskiem ludzi. niepamiętna w dostatkach na nędzę, postanowiłam jej szkosztować i wypić ją do dna, rokosznica. zabiłam cię... zalotnicy głodem i wlosiennicą! Niegodna żona... wyrzekłam się świata, rodziny, aby siebie ukarać a Boga przebłagać: nie mam domu, schronienia, dachu, co dzień napraszam się śmierci... Widać pokuta nie skończona jeszcze.... Bóg do siebie wziąć mnie nie chce.

O! szaleliśmy panie Mikołaju... kiedyż to i tobie przyjdzie opamiętanie!

— Idź sobie! idź sobie precz! — zawołał Krzysztoporski stłumionym głosem... — czego mnie prześladowiesz? To głos twój, a postać straszna, inna... idź maro!

— Nie mara jestem! nie! żywa żona twoja, pokutnica u świętych progów! Mikołaju! wiecznież mścić się będziesz? wiecznie nienawidzieć! wiecznie potępienia szukać? Nie dość ci grzechów starych i twoich i tych, do których mnie wiodłeś, jeszcze chcesz głębszego piekła!

— Idź precz! idź precz! — coraz głośniejsze wściekłością prawie wołał Krzysztoporski — idź, lub strzele...

— Strzelaj! o! strzelaj! zginąć to mi nie wielkie nieszczęście!... Coś zrobił z Hanną, wnuczką moją?

— Ja? z Hanną? ja! ktoci to... — niedokończył, odszedł kilka kroków, i zawrócił znown.

— Precz włóczęgo! precz mi maro!

— Nie pójdę! nie! będę cię prześladować, nękać, nie dam spokoju, musisz mi Hannę powrócić... Nie mnie, nie mnie, bom się ja dzieci wyrzekła, za grzechy moje ofiarując je Bogu, nie będąc godna ich piastować i niemi się cieszyć; nie mnie, bo ona nigdy wiedzieć nie będzie kto jej jestem... ale jemu...

— Jemu! jeszcze ma litość nad nim! a nademną — nikt. — Nad tobą nikt — nie zlitują się Bóg ani ludzie, boś mściwy jak szatan... boś zgubiły na duszy...

Krzysztoporski się rozśmiał.

— Dziś wszyscy się modlili, padali czołem, tyś stał i milczał i śmiał się... Nikt ci nie da litości ziarnka, boś ty jej nie dał nikomu... Oddaj mn Hannę...

— Jemu! Czego ty chcesz odemnie! idź precz ko-bieto!

— Chciałbyś? nie pójdę... nie dam ci dnia ani nocy... oddaj mu Hannę... zły starcze...

Krzysztoporski w ostatnim gniewie i rodzaju obląkania porwał za muszkiet, w głowie mu się zawracało. — Stara! strzele!

Konstancja rozśmiała się swoim obląkanym głosem dawnym i nszła.

On pozostał cały się trzęsąc, zgrzytając zębami i miotając się jak w chorobie. Ojciec Mielecki, który w tej chwili nadszedł, znalazł go tak dziwnie poruszonym, że nie mógł pojąć co mu się stało. Na widok

księdza, rzucił muszkiet przecie, usiadł i zwiesił łysą głowę na ręce...

Ucichło, noc czarna trochę przyniosła spokoju. Ksiądz Mielecki odszedł znowu do północnego chóru... Krzysztoporski pozostał, chodził rozogniony i niespokojny. Wśród szumu wichrów, ciągle mu brzmiały słowa: oddaj mu Hanne!... — oddaj mu Hanne!... Konstancja umieściwszy się w fossie pod murem, powtarzała te wyrazy drażniące go nieznośnie.

Jak tylko ksiądz Mielecki powrócił, szlachcic zszedł do izby swojej, której małe okienko w fossie było skryte. Ale i tu ledwie zabłysło światelko, w kraciatej strzelnicy, ukazała się twarz pomarszczona Konstancji, która po ceglach wybitych wdrapała się na mury, zaśmiały jej oczy zagasły, otwały usta zapadły i głos począł powtarzać: oddaj mu Hanne! — Krzysztoporski jak gdyby go męczyli szatani, rozplomieniony chwycił rusznicę z kąta, zmierzył i dał ognia... Ale łatwo jej było się uchylić, i jeszcze się dym nie rozszedł po izbie, głos znowu odezwał się znany: — Oddaj mu Hanne! zbrodniarzu! oddaj mu Hanne!

Stary zgasił światło i wyrwał się na mur.

Tu znowu głos ten prześladował go do ranka.

Nazajutrz rano Krzysztoporski w gorączce i szale leżał na pościeli....

XLI.

Działa grzmieć poczynają; Szwedzi nie dając poznać, że wielkie dwudziesto-cztery funtowe kartauny i kolubryny nadeszły im z Krakowa, powolnie strzelali do klasztoru, ustawując je tak, aby z Jasnej-Góry wydać ich nie było, chcąc potem nagle paszczami tych strasznych pomocników gwałtowny ogień rozpocząć. Wszystkie teraz nadzieje Millera były na tych dzia-

łach i Wejhard podtrzymywał je znowu, kręcąc się koło generała, petakując jego marzeniom, rękując, że za pierwszym wystrzałem poddadzą się zakonnicy. Miłler milczał wzgardliwie. Napróżno usiłował go sobie znowu pozyskać niezwykłą gorliwością Wrzeszczewic; kręcił się, zabiegał, pracował; generał to obojętnie przyjmował, przypisując mu zawsze swoje strapienie i zawody.

Nierychło wielkie owe spiże ustawić potrafiąco, wzięło to całe dwa dni czasu, choć dniem i nocą pracowano. Zastłaniając tymczasem robotę, z mniejszych puszczano kule ze sznurami i szmatami smołnemi dla zapalenia dachów, ale straż i woda stały na nich ciągle; ledwie się płomyk ukazał, wnet go załano.

Przysposobiono co chyżej baterje z koszów, a nawet z worków wełną nabitych, dla wielkich dział krakowskich. Cóż gdy i tu Miłlera wściekłość porywała, bo rachując na zasoby jego Wittemberg nie przysłał mu prochów, a działa wielkie tyle ich brały, że zapas generała nie na długo mógł wystarczyć. Cała nadzieja była w tem, że po jednym dniu szturm, albo się obłożeni zdadzą, albo się wyłom zrobi. Wachler ukazywał gdzie mury były najslabsze.

Kordecki ze starszyzną Jasno-Górską wiedział już o nadciągających kartaunach, ale nie miał potrzeby głosić o nich załodze, by ją niemi więcej ustraszać; naradziwszy się więc po cichu, rozkazawszy co słabsze miejsca przygotować na wypadek wyłomu, aby natychmiast mógł być zarzucony; czekał spokojnie woły Bożej.

Ale przez dwa dni milczeli owi zastraszający przybysze; ustawiano je, sposobiono im łoża, sypano baterje, zwożono prochy i kule, urządzano dyłowanie, a że umarzej ziemi nie łatwo było ruszyć, szła robota opornie.

Tymczasem smołne wieńce, kagańce, kule ogniste leciały na klasztor, aby zakryć przed zakonnikami gotującą się na nich niespodzianą napaść, stokroć od wszystkich poprzednich niebezpieczniejszą.

W klasztorze spokój i pilność. Tak czwartek i piątek minęły, w sobotę rano wszyscy byli na jutrzni, gdy potężnym głosem ryknęły kołniby ustawione już przeciw murom kościelnym. Kordecki był w chórze, zadrgnęło mu serce słysząc ten huk straszliwy, ale nie z bojaźni — trwożył się o mężstwo swoich towarzyszków, pewien będąc, że sam łaską Bożą wsparty, wytrzyma. Czarniecki pierwszy, za nim Zamojski wypadli na mur. A tu już załoga przerażona stała złękła, jakby ostatnią godzinę wybili jej działa. Po trzy kar-tauny nieustannie zionęły ogień i kule od strony północy i południa. Pan Piotr, któremu odgłos ten dodawał serca, Zamojski co się umiał podwajać czynnością. rozdzielili się przewodnicząc ludowi do zagrożonych ścian. Widok dwóch mężnych wodzów nie tracących odwagi zawstydził, rozochocił, każdy chciał dziewięć, że niebezpieczeństwem gardzi.

— Kto żyw na mury! kto żyw na mury! — rozlegało się wszędzie.

I dzieci, kobiety, niedołęgi, biegli niosąc kamienie, ziemie, belki na zabijanie wylomów w kortynie; wyrostki zbierali upadłe szwedzkie pociski, i dziwiąc się ich ogromowi, odnosili puszkarzom.

Zamojski posłał po syna. Matka go zegowała, tuląc a błogosławiąc jedyne dziecko; ale stary wojak zażądał mieć u swego boku, i młodzian przyszedł ochotnie.

— Nikt z nas od poświęcenia życia nie wolny — rzekł mu ojciec — dajemy przykład.. stój Stefanie na murach i służ jak możesz

Za dzieckiem i matka przybiegła, z podziwieniem ujrzeli wszyscy dostojną matronę, stojącą u boku męża i syna. Nie pierwszy to był przykład podobny, ale lży z oczu wycisnął, gdy poważna matka, jęła w jedwabnej swej sukni razem z ludem nosić z podworców kamienie i ziemię.

Obejrzał się Zamojski, łza zakręciła mu się w oku, w sercu podwoił się zapal...

Dzwony biły, muzyka grała... widok bohaterskiej garści był cudowny. Ten lud pobożnem uniesiony uczuciem i zagrzany odwagą nieludzką, ci mężowie pomieśzani z kmieciem w obronie wspólnej świętości; a obok w kaplicy w przestankach gromów, rozlegający się donośnie śpiew nienstraszonych mnichów i modły beznamiętnych. Najbojaźliwsi nawet nabierali serca i palili się w tem ognisku, Czarniecki wołał:

— Czemuż i ja tu nie mam syna, czemuż nie mam z sobą żony, i oniby dali taki przykład jak Zamojscy! ten człowiek we wszystkim mnie prześciga!

Kordecki jeszcze się modlił, zdał swą władzę na dwóch dowódców, leżał krzyżem... to także był bóg, ściągał on pomoc z niebios...

Po mszy, po loretańskiej litanji, wystawiono prze-najświętszy Sakrament, i Święty Boże, rozległo się szeroko jękiem błagalnym... Przeor zbliżył się do ołtarza, ujął w ręce złocistą Zygmunтовską Monstrancję, i szedł za kościół.

Dokąd? — On z Panem panów, z Bogiem do koła twierdzy przechodzi, wojując chórmi aniołów, które mu towarzyszyły. Z za dymów ujrzeł Szwedzi krzyż złocisty i chorągwie, i księży białym pasem idących za murami. Kordecki ze łzą w oku, z Bogiem na sercu, jak męczennik idący na stracenie za wiarę, powolnie postępował wśród dział grzmotu. Za nim nieliczni towarzysze, bo reszta była na murach i przy działach, szli równie podniesieni duchem jak on; niebezpieczeństwo ich upajało... Wszędzie po drodze processji, padali na twarz przed Bogiem obrońcy klasztoru... Kordecki błogosławił... Kule wlatywały nad jego opromienioną głową; a gdy się zbliżył ku ścianie południowej, ogromne złomy murów, cegieł i gruzn, poczęły się sypać na processję. Nie zastanowił się Kordecki, czuł on, że idzie z wszechmocnym i wśród rumowisk, wśród strzałów, przeciągnął spokojnie i cało...

Żadnego z ludzi ani padające do koła cegły, ani kule, ani murów oblany, nie zadrasnęły nawet. Ob-szedłszy dokola przeor i jego towarzysze wrócili do

kościół, gdzie wystawiono przenajświętszy Sakrament, aby Bóg uienstanną blagany modlitwą, zlitował się nad niemi. Oprócz czuwających tu kilku starców, wszyscy zresztą wyszli do dział, do baszt, na kortyny. Sam przeor, chcąc rękoma służyć i być przykładem, począł znosić w polach habitu kamień i ziemię nakopaną.

— Ojcie przeorze — zawołał ujrzawszy to Zamojski — do czego to czynicie? obejdziemy się bez was, lepsza nam wasza modlitwa...

— Modlitwa modlitwą, a praca pracą — odpowiedział powolnie Kordecki — niech i moje słabe ręce na coś się przydadzą, znają się one z robotą od dzieciństwa, bo nie próżnowały.

I z cicha westchnął, musiał młodość wspomnieć.

Starszyna niespokojnie oglądała się na strony; mury w wielu miejscach pękały, kule coraz lepiej kierowane, tu i owdzie więzły w ścianach, rozbijały długie okna, wyszczerbiały szczyty; każdy krzyk zwracał oczy, oznajmiając jakąś stratę.

Miedzy dwoma mocnymi basztami, kortyna, na którą całą swą siłę wywarli Szwedzi, choć od wierzchu nadłuczona, od spodu jednak wytrzymywała; łątano ją worami ziemi, drzewem, gruzem i co się znalazło pod ręką. Trzech tylko ludzi stracili oblężeni, kilka koni w stajniach zabiły kule, a między niemi wierzchowca Krzysztoporskiego; dwa koła armatnie zdruzgotano od północy.

Po tym pierwszym wybuchu, który trwał do południa, trąbka zwykła parlamentarzy zagrała u bram. Kordecki wystąpił na galerję.

— Chcecie się poddać? — zapytał trębacz Szwedzki — chcecie się poddać?

— Musimy się namyśleć do jutra — odparł przeor — dajcie nam czas do rana.

Trębacz odjechał z odpowiedzią. Miller zwiedziony raz jeszcze, bo poddania pragnął, myślał że mu się już upokorzą.

— A cóż? — spytał swego posła.

— Proszą o czas do jutra.

— Chcą swojej zguby! — zakrzyczał — więc ognia! ognia!

Po wszystkich baterjach rozlegał się ten rozkaz zniszczenia i śmierci, stanęli u dział puszkarze, poczęły lecieć kule.

Przeor stał z Zamojskim w miejscu, gdzie się najbardziej obawiano wylotu, od północnej strony; kierowali wytrwale działami twierdzy, odpowiadającami powolnie na wysilony ogień Millera. U dział tych był puszkarz Niemiec, druh Wachlera, niejaki Halmer, Niemczyuem zwany, który tylko, że obowiązek swój pełnił; los przyjaciela ustraszal go nieco, wziął się był raźniej do dzieła, ale już znowu ostygł. Zamojski kilka razy go upominał, nadaremnie; kule powierzonych mu armat padały zdaje się umyślnie skierowane tak, żeby szkody Szwedom nie czyniły. Na częste strofowania odpowiedział ponuro:

— Alboż wszystkie trafiać mogą? Szwedzi lepsi od nas strzelce, a widzicie jak chybiają.

Zamojski znówu dnia tego zagrzewał go jak uogł, Niemiec pomrukiwał, a swoje robił, aż uprosił Miecznik Kordeckiego, żeby do Niemca przyszedł.

Przeor popatrzał na niego, a widząc jawną opieszałość i niechęć, uderzył po ramieniu Halmera.

— Bracie? czy ci co Szwedzi obiecali za to, żebyś ich oszczędzał?

— Mnie? mnie? — spytał Niemiec trochę przełękły.

— Tak, tobie! powiedz mi, może i my na podobną zdobędziemy się nagrodę...

— Co odemnie chcecie — opamiętywając się rzekł Niemczyn — Pan Bóg kule nosi.

— Jeżeli się nie poprawisz, gniew toż Boży dotknąć cię może.

Ruszył ramionami puszkarz, staął w milczeniu, a przeor zostawiając go myślom własnym, odstał z Zamojskim. Lecz zaledwie odeszli kilka kroków, gdy krzyk dał się słyszeć, kula padła niedaleko Niemczyna, rozpękla się i obłam jej silnie w nogę uderzył przekupionego

puszkarza, który powalił się chwytając za miejsce ranione. Wszyscy go natychmiast otoczyli, jęto się opatrywać ranę bo skwierczał strasznie, ale okazała się tylko silna kontuzja.

Kordecki sam przykląkł, rozwinął szmaty, przyłożył plaster z rozmarynu i wina. A tu i traciszek Jacenty aptekarz, już z szarpią i słoikami biegł do niego. Trojskliwe staranie wszystkich, pokora, z jaką sam przełożony pierwszy pospieszył na posługę cierpiącemu, łączyły mu wycisnęły z oczów... odważył się spojrzeć na nogę swoją, przekonał się, że znak tylko siny na niej pozostał od uderzenia, spróbował stąpić i począł gorąco presić, żeby mu dozwolno na nogi powstać. Rozżarzony gniew malował się na jego twarzy, posunął się ku działom, w milczeniu spojrzął na dyłowanie pod niemi, kazał je podnieść wyżej, kwadrans przyłożył, ważył obejrzał; dał ognia... Pierwsza wypuszczona kula zabiła puszkarza na baterji nieprzyjacielskiej, pan Zamojski w ręce klasnął; drugą wysadzono wóz z prochem... Szwedzi stanęli stropieni... właśnie prochu im brakło! Miecznik nie posiadając się z radości, dobył sakwy i odliczywszy na dłoni kilka sztuk złota, wsunął je w rece Niemczynowi, ale ten dziękując za nie, z lekka odsunął datek.

— Za to nie godzi się brać zapłaty, że się spełnia powinność, choć późno — dodał po cichu.

Zagrzany zemstą i gniewem nie dał się odnieść, nie spoczął, dopóki wszystkich dział łoża nie poprawił i nie rozpatrzył ich kierunku.

Dzień się ku zachodowi nachylał z wielką obleżonych pociechą, bo ciężki był dla nich i długi; był to pierwszy prawdziwie srogiej napaści, i widocznie grożącego niebezpieczeństwa, szwedzi jawnie gotowali się do szturm, co po drabinach, po kozłach przyrządzonych i innych przyborach poznać było łatwo, zawiodły ich jednak nadzieje. Jakkolwiek szkody zrządzone w klasztorze i znużenie było wielkie, choć trzysta kilkadziesiąt knł narachowano wypuszczonych na klasztor. ranne nabożeństwo, dobry przykład starszych,

gorliwość przeora, dodawały serca. Już Szwed układał się na spoczynek po tem wysileniu, a w klasztorze spokoju nie było; tu trzeba było szczerby w murach załatać, na jutro się sposobić i czuwać.

Pan Piotr Czarniecki nad wszystkich był rozegrzany i wesół: chodził, kręcił się, żartował, wydawał rozkazy z uśmiechem, uczył się działa mierzyc, ludem kierował, ścisnął, zachęcał, słodził trud dobrem słowem i podziałem pracy. Ile razy kuła klasztoru szarpnęła szeregu Szwedów, tyle razy płasnął w ręce, podskoczył i cieszył się jak dziecko, przemawiając dobitnie, jakby go nieprzyjaciel mógł słyszeć.

Już zmierzchno, gdy Niemczyn Halmer przyszedł do niego o kiju; wiemy, że pan Czarniecki Niemców zgoda nie lubił; i zobaczywszy go kułającego, miał już ochotę powiedzieć: — A dobrze ci tak szło — Ale mnuszek przerwał te wyrazy na ustach.

— Wiem — rzekł tajemniczo — tylko tego nikomu nie mówcie, od kogo macie — że jutro od zachodu będą bić; Wachler im rozgadał, że tam mur najslabszy da się ująć, zasposóbcie się z tamtej strony.

— Pan Jezus przy dziecięciu! zkażcie ta gorliwość — zawołał Czarniecki — ale nie balamucisz niemczuniu, kochanku...

— Jutro zobaczycie i przekonacie się...

Pan Piotr głową pokręcił, Niemiec się zbliżył i pałcem na obozowisko wskazał.

— Widzicie — rzekł — jak się Szwedzi u namiotów grzeją, ognie sobie porozpalali wygodnie... albo to nie można z dział do ognia uderzyć i trochę ich przepłoszyć?

— Otóż to mi człowiek choć Niemiec! — zawołał pan Piotr — w to mi graj! zaraz im tu zaśpiewam na dobranoc, dobry jesteś do rady.

I z młodzieńczą ochotą posunął się do dział żywo, poczęli je zaraz z Niemcem razem nastawiać i gdy najmniej spodziewali się Szwedzi, strzał z twierdzy rozpędził ich od ognia i zniósł spoczynek.

Kordecki na pierwszy odgłos przybiegł na mury.

— Co to jest panie Czarniecki?

— Nie, mości księżę przeorze, igraszka, Szwedzi z nas kpią, musieliśmy im pokazać, że z nami po dziecinnemu wojować nie można. — Gdzież to, kto widział żeby nieprzyjaciół pod działami twierdzy ognia sobie rozniecał; grzeją się jakby w domu, musieliśmy ich trochę mores nauczyć. Niech marzną, kiedy na Matkę Boską nastają.

— Ale panie Piotrze, toć noc, i namby wytechnąć się godziło.

— A waszmość to odpoczywasz? — spytał Czarniecki — prawda, że nie? — Otóż i my za jego przykładem dziś przynajmniej spać nie będziemy. Mamy dosyć do roboty.

— Cóż takiego?

— Ba? ot to poczeziwe Niemczysko.

— Co poczeziwy Niemiec? — rzekł śmiejąc się przeor — i pan to mówisz kochany panie Piotrze! cóż za szczęśliwa odmiana?

— Pokazuje się, że są ekscepcje... długo naszym powietrzem oddychał, poszło mu to na zdrowie, wypoczeziwał... Otóż Halmer mi mówi, że z Wachlera namowy, jutro od zachodu uderzą, trzeba zachód umocnić.

— No! to potrzebujecie rąk, a więc i mnie z sobą weźcie — ohotnie odezwał się Kordecki — byłem północnego chóru nie chybił, służę do czego mnie użyjecie.

— Wasza rzecz kierować a modlić się, nasza, spełniać rozkazy — odparł pan Piotr — bądźcie spokojni, tylko mi dacie ludzi.

— Niezawadzi — rzekł Kordecki — gdy i ja z wami będę; słowem was rorgrzeje, zaśpiewamy sobie razem piosnkę jaką pobożną.

— A! uchowaj Boże! Szwedzi by naszą krzątanię wyszpiegowali, a tego nam wcale nie trzeba... cicho! szal i swoje zrobić.

— No! to pomodlim się po cichu!

— Tak, godzinki do Opatrzności.

Gawędzili tak, a działa kilka razy po całej linii

ścian zagrzmiały, dopóki pomarзли Szwedzi nie wygasili ogniów przy namiotach roznieconych i nie usunęli się troche w dolinę.

XLII.

W obozie, dzień to był samych dziwów dla Millera, który co chwila utwierdzał się w przekonaniu, że jakaś siła, co ją zwał czarami, wspomagała zakonników. Ludzie jego choć się z tem głośno nie odzywali, wszyscy wierzyli w owe czary Częstochowskie: Polacy im ciągle mówili o sile świętości, a w naszą świętość nie wierząc, sprawę Bożą przypisywali mocy nieczystej. Od dawniej oblegających przeszła już ta myśl odbierająca im odwagę, do nowej piechoty i puszkarzy nowych. Gruutowali się w niej uienstannie szwankami jakie ponosili; mimo wysiłón, mimo potęgi swojej; było coś uderzająco niepojętego w szczęśliwym oporze malej twierdzy, ledwi słabo obsadzonej, takiemu wojsku, wodom i działom. Kolubryny i kartauny ogromnemi kulami bijąc w ściany klasztoru i mury obwodowe, nie wiele przez dzień zrzadziły im uszczerbku, a Miller musiał już rachować, na ile dui podobnego ognia prochy mu wystarczą. Posłano po nie znówu aż do Krakowa, oprócz strat w ludziach, w starszyźnie, śmieiej wdzierającej się pod mury dla zachęcenia, strat, które były bardzo znaczne, poniesiono szkodę wielką przez wysadzenie wozu z prochem, który był dla nich tak drogi.

Rada wojenna zebrana w namiocie Millera, smutną miała postać; siedzieli pułkownicy chmurni, znużeni, zawstyżeni, generał ledwie się odezwał; Wejhard wsunął się, stanął w kącie na uboczu, nie bardzo życząc sobie podbudzać gniew dowódcy. Rada i robota zarówno szły upornie. Co dalej? szturmować? ale czy na długo prochów wystarczy?

Z szyderskim uśmiechem na ustach, który źle pokrywał wewnętrzny niepokój, Miller siedział gryząc wąsa, ruszając się niekiedy żywo, jakby coś pomyślał i mówił do siebie; to się przechadzał, to na ławę upadł. Książę Heski flegmatyk, poglądał na niego rzucając z kubka kośćmi o stół dla zabawy; bo nikomu gra nie była w głowie.

— No, panowie — odezwał się Miller — a co będzie dalej?

— Albo nie zaczynać — rzekł Heski — albo począwszy, kończyć potrzeba; ale jak?

— Kończyć! kończyć! dobrze to mówić! i jaćbym rad! żołnierz się nudzi chłodem, głodem, zimą, a ci mnisi utrapieńcy.

— Wyznajcie — przerwał Heski — że się dzielnie bronią, aż miło patrzeć.

— Matacze! zuchwalcy! — wołał generał — ale to darmo!

— Panie generale — odezwał się Sadowski — za coś potrzeba liczyć fanatyzm ich i załogi, człowiek się nim podwaja; z takimi ludźmi walczyć nam chłodnym i rozważnym prawie niepodobna.

— Ba! — rzekł Miller — jeszcze i to dodaj (przerwał sobie śmiechem szyderskim niby), że tu są czary widoczne; nasi żołnierze mocno w to uwierzyli.

— Czary! — rozśmiał się Sadowski — to tylko imię inne, rzecz też sama...

— Ale cóż powiecie, że nieustannie prawią o pokazujących się w powietrzu postaciach, o jakichś zjawiskach. Na co tu długo szukać czarów, wszystkie nasze klęski niemi się chyba dadzą tłumaczyć, kilka tysięcy walecznego wojska, zwycięzców, walczą z dwómaset włóczęgów i zbieraniny, walczą tyle tygołni — i darmo!

— A Boga! — zawołał z kąta Wejhard — tegoby jeszcze nie stawalo, żebyśmy i my sobie temi ohozowemi plotkami głowy nabijali. Cóż to za dziwy? pan generał był ci zanadto powołnym. zbyt wspaniałomy-

ślnym i miałeś mało dział... wlekło się traktowanie. potem słabe napady... ale dzielniej uderzywszy...

— A dzień dzisiejszy?

— Ogień był źle skierowany!

— Znajdzie się przyczyna.

— Panie generale, wzięto ich z północy i południa, a tu właśnie przeciwnie, od wschodu należało się wysilić; trzeba było wszystkie działa na jedną ścianę użyć, i burzyć nie budowle, po których nam nic, ale jedną korynę wszystkimi kartaunami.

— Dobra rada, hrabio, szkoda że późna!

— W sam czas, Wachler zbieg klasztorny...

— Szpieg pański, dodał Miller przerywając.

— Jak go chcecie zwijcie, zaręcza, że zachodnia ściana nie wytrzyma i dnia pod ciągłym ogniem. Tu się obrócić; do tego mamy w klasztorze puszkarza u dział ich przekupionego; traktujemy tajemnie z załogą... Wodzowie się nie poddają; ale motłoch nastraszywszy i nadzieją łupu ujawszy...

Miller niecierpliwiąc się, ramionami zżymał.

— Waćpan jesteś papista, odparł, a mówisz o ujęciu Indu katolickiego nadzieją łupu tego, co za świętość uważają!

— No! to ująć ich nadzieją nagrody innej, ocalenia życia...

— Z motłochem się wiązać brudna sprawa! zdobędę i bez tego pomocnika, któremu się wstydzil. Takie spiski zawsze i sromotne i zawodne, pan to wiesz najlepiej.

Wejhard się zmarszczył.

— Przecież, rzekł, z łaski mojego Wachlera wiemy o zachodniej ścianie.

— Zgoda na tę ścianę zachodnią, ale kto wie, może i na nią próżno dzień stracimy, a co gorzej prochu dosyć; od zachodu jednak ani kościolowi nie zagrozim, ani..

— Panie generale, tu o korynę chodzi, nie o kościół.

— Zgoda więc jeszcze raz, z zachodu! Każ hrabio wcześniej działa przewieść, dyłowanie porobić, szançe sypać noc całą. Żeby się nasz lud nie zmęczał, bo mu i tak dosyć, spędzić koniecznie z wiosek, z Rądzin, ze Mstowa, ze Dzbowa, zkad chcecie i gotować baterją.... Jutro po nabożeństwie uderzym.

Że to tego nabożeństwa u lutrów nie bywało dotąd w niedzielę, mocno mu się zdziwił Sadowski, który miał religijnego ducha; on, książę Heski katolik i Wejhard spojrzeli na Millera.

— Albo to myślicie, że i my wiary i nabożeństwa nie mamy, zawołał Miller czytając zdziwienie w ich oczach, predykant jest, w szopie zgromadzim lud, potrzeba żeby im wybił z głowy te czary, o których tak w obozie głośno. Na duchu upadli. Fanatyzm na fanatyzm, i my też swoich zagrzejemy na papistów. Ale wara potem gdy do szturm przyjdzie! Dadzą się we znaki! W obozie radzili, w klasztorze noc całą zeszła na przygotowywaniu się w cichości.

Światelka tylko drobne robocie przyświecają; cisza, ledwie rozkaz jaki donośniejszym nieco ozwie się głosem, i słychać łoskot upadających kamieni, sypiącej się ziemi; wrą w kotłach wody, a kto żyw cegłę nosi i muruje koło ściany, żeby wierzchy jej wzmocnić. Mularze i nie mularze noszą cegłę, obrywają wczorajszych ruin, rozbierają wewnątrz przymurki i szkarpy stare, a dodają obwodowym ścianom. Nie brak tu ochotnika, bo i szlachta z czeladzią cegłę nosi, nosi wodę, wapno rozrabia, i kobiety się kręcą posługując. Kordecki usiadł na kupie kamieni, różaniec w rękę i głośno się modli, niekiedy ustanie, weźmie jakiś ciężar, przyniesie go ukradkiem niepostrzeżony, położy i znowu usiedzie, niby dziecię które nika oka starszych, zabronioną chwytając zabawkę. Luni księża noszą otwarcie kamień i wodę; wtem uderzyła godzina północnego chóru i wszyscy odeszli, i słychać z kościoła szmer czuwających na modlitwie. Wśród nocy i ciemności, jak ten odgłos ma w sobie coś uroczystego; niby szum lasu co z niebem rozmawia, niby wielkie morze co od

wieków gra pieśń smętną a tajemniczą. Starcy się modlą, świat zasypia; oni jedni kołaczą do nieba westchnieniem za śpiących w grzechu, za znużonych żywotem, za obojętnych dla Boga. Słabe światło kilku żółtych świec oblewa twarze pokryte tęsknotą, zapalem, smutkiem, rozjaśnione weselem, przyobleczone skrucną.

Dziś jeszcze dodaje temu obrazowi straszliwej uroczystości śmierć, która ich otacza.

Na dole, pod nimi, w kościele, stoją trzy ubogie trumienki białe, poległych, trzema czarnemi całunami pokryte. To już zwycięzcy... tamci wojują jeszcze! Na dole wśród cieniów, widzieć blade twarze żołnierzy, świecące wśród ciasnych ram ostatniego ich przytułku; obok na całunie trupie głowy i kości; w górze w białych płaszczach modlą się bracia śmierci za żywych i umarłych; za nich, za siebie, za wszystkich. Amen! rozległo się i szmer odchodzących słychać w gmachu osamotnionym; umarli pozostali sami na straży, a przy nich jeden tylko mnich zakapturzony powoli odnawia poważne wyrazy, łańcuchem tęsknoty łączące dwa światy.

Dominus custodit te, Dominus protectio tua, super manam dextram tuam. Per diem sol non uret te, neque luna per noctem. Dominus custodit te ab omni malo, custodit animam tuam Dominus...

(„Pan strzeże ciebie, Pan opieką swoją, nad prawicą twą. Za dnia słońce nie będzie ci dopiekać, ni księżyc przyświecać nocą. — Pan strzeże cię od wszelkiego złego, Pan duszy twojej strzeże...”)

Nad pracującymi jeszcze powstał ranek mglisty, powolnie z osłon wilgotnych, rozwijając świat senny, smutny, szary, jesienny. Na murach stali jeszcze ludzie, ale już dzieło nocy było szczęśliwie dokonane. Przeor, co pierwszy kamień położył z krzyżem świętym, ostatnią też cegłę przezegnał.

— Na chwałę Twoją Panie, na upokorzenie nieprzyjaciół wiary świętej.

— Amen! odkrywając głowy, odezwali się wszyscy. I szedł wzdłuż ściany, kropiąc mury wodą święconą, a modląc się.

Cóżby to powiedzieli ludzie, którzy wierzą tylko w potęgę kul i siłę pięści? spojrzawszy na wiarę, z jaką kroplę wody rzucił na głazy, pewien że je pokrzepi rosą niebieską, że je spoi i uświęci. Coby to rzekli rachmistrze i matematycy i ludzie oręza, widząc z jakim usposobieniem bezpieczeństwa stanął lud za tą tarczą słów i rosy?

A przecież, choć niepojęte, choć nieodgadnione, i słowa miały siłę i woda ta moc miała; mocą modlitwy co Boga z niebios sprowadza potężniejszego nad wszystkich. A śmiech szyderski, a zdumione niedowiarka oko, nie odjęły temu dziełu Pana, pobłogosławionemu z niebios, mocy niebieskiej.

XLIII.

Błysnęła nadzieja i Szwedzi raz pierwszy po przybyciu pod Częstochowę, uczuli potrzebę modlitwy; Miller sam ich poprowadził i rozkazał wcześniej posłusznemu predykantowi, żeby im starał się wybić z głowy dziwny postrach, dziwnie upartą myśl czarów; przeciw którym szli niechętni a rece im opadały. Całe wojsko niemal zatoczyło się pod szopy i namioty, w których naprędce nakryto stoły i postawiono krzyże. Kilku katolików spoglądało zdala na to osobliwsze nabożeństwo, w którem nie było namaszczenia naszych uroczystych obrzędów; raczej tęsknota za wiarą niż sama objawiła się wiara. Pobożność lutrów zimna była jak nauka, która ją natchnęła, mówił predykant rozumnie, pięknie, moralnie, ale to był człowiek mówiący

do ludzi głosem chłodnym rozumu, nie kapłan, natchniony posłannik Boży, otoczony tajemnicą i świętością.

Tu wszystko tłumaczono, wszystko mieć chciało jasnym, dowiedzionem, obrachowanym, pewnem; a do tej tak niby oczyszczonej duchownej strawy, przyłożywszy usta, czułeś, że cię nakarmić nie mogła, bo była czczą i pustą, bo człowieka nasycić chciała ludzkim, gdy on boskiego pragnie.

W Częstochowie brzmiały dzwony, śpiewy i organy, lud padał na twarz ze starą pieśnią rzewną, prostą a wielką, przed tajemnicą ołtarza. Tu wszystko osłaniała tajemnica, i słowo kapłana wiodło przez nią wprost na jasne stropy niebios, do Boga. Tu inaczej biły serca, wzdychały piersi, modliły się usta; tu cud otaczał, Chrystus umierał, krew jego łała się na świat i potęga dobrowolnego męczeństwa łamała ziemskie i piekielne mocy.

Jeszcze się było *Święty Boże!* nie skończyło i nie odśpiewano *Przed oczy Twoje Panie*, a już z zachodu, jak Niemiec wyprorokował, kupili się Szwedzi. Pan Zamojski widział sokołim wzrokiem między niemi Wejharda i Wachlera, jak wskazywali na mury, jak kierowali działa, i uśmiechnął się do pana Czarnieckiego.

— A co, rzekł radośnie pan Piotr, który szklanke grzanego piwa kończył, a co mieczniku dobrodzieju, nie dobrześmy zrobili, że mur podwoili przez noc, ot jak się szoldry krzątają... psubraty...

— *Crimen atro carbone notandum*, odparł poważnie miecznik, to widoczna była zdrada, *inchoata, sed feliciter*, przez nas za łaską Bożą unikniona. Oczywiście wiedzieli co się u nas dzieje, ale *in opere bellico*, całą rzecz na tem, by zapobiedz.

— I zapobiegliśmy.

— *Insipiens a se ipso occiditur!* sami tu zęby postracą i głowy, a nie dadzą rady.

— Ognia! dawajcie ognia, a raźnie! wołał pan Czarniecki.

— Nie wywołujmy wilka z lasu!

— Ze strzelbą na ramieniu, kpię ja z wilka. Wtem i działa potężnie się odzywać poczęły, ale naprędce zrobione baterje, ustawienie ich liche, kierowanie nie-dbałe, nie wiele w początku zastraszały. Strzelali i co chwila przerywali ogień, kierując kartanuy na nowo. Ogromne ich kule to się w mur pakowały, niewiele mu szkodząc, to po dziedzińcach rozbijały bruki, to gdzieś krokiew nadłamywały z wielkim trzaskiem a małą stratą.

Miller kazał sobie rozbić namiocik, patrzył i gotował się dowodzić do szturmu, ale do południa i dobrze po południu, mur ani się nadszczerbił, ledwie go gdzie-niegdzie skrobuęli. Zestawili działa inaczej, toż samo, puszkarze poglądali po sobie, oczyma mówiąc:

— A co? szatana taki mają!

Wejhard lata i krzyczy, wodzi Wachlera, grozi, płaci, mur jak stał tak stoi. Po kilku godzinach różnych próbek postrzegł już Miller, że się na nic nie przydadzą, że jeśli nie weźmie strachem, nie weźmie i siłą. Umysłnie posłuchał Wejharda aby mu miał czem dokuczać i posłał zaraz po niego; miał minę gniewną razem i szyderską.

— A co hrabio! wyłom?

— Robimy go.

— Jak myślicie, wiele też miesięcy robić go będziemy?

Na to pytanie Wejhard z niecierpliwością odparł:

— To rzecz puszkarzy nie moja.

Czary, nie czary, łagodząc się, ciągnął dalej Miller, powiem ci hrabio, to coś dziwnego; mamy szpiegów, mamy zdrajców, zmowy, wiemy z której strony mury słabsze, a jak się weźmiemy do rzeczy, ani ukąsić. No, cóż dalej poczniemy?

— Panie generale, to do mnie nie należy.

— Przepraszam hrabio, tyś mnie tu sprowadził pod ten kurnik zaklęty, na tę lisią jamę, tyś mi zaręczył, że dość huknąć by się poddali. No, cóż dalej?

Wejhard kręcił się jak w ukropie.

— Nie moja wina, że żołnierza bies opetal czarami jakimś, reki się podnieść boją... to z polskiego obozu nanoszą im tych strachów... Wszyscy aż do starszyzny potracili głowy, cóż z nimi począć?

— Czy to i do mnie przymówka?

— Niech Bóg uchowa, szybko poprawił się Wejhard, ale mnie to boli, że pokutuję bez winy.

— A któż tedy winien? ja? spytał Miller.

— Któżby to mógł pomyśleć nawet?

— Życie zjadłem w boju, dobywałem dosyć fortec, wiele widziałem dobywanych, nic podobnego mi się nie trafiło... Bez wody, bez rzeki, bez jeziora, bez nadzwyczajnych skał i ścian, prosty okop z przymurkiem jak na żarty! Jest się czego wstydzić! A z kim do czynienia? z mnichami, kroćset djabłów panie hrabio, wolalbym tu nie przychodzić!

— Juściż odejść tak z kwitkiem nie możemy.

— A! i to pytanie! dodał stary wódz, z tego co dotąd widzę, nie o wielebym się zakładał.

— Jakto! zakrzyczał Wejhard, dozwolilbyś generale uznuchwalić się im, dać przykład całej Polsce. Na Boga, toby było zgubne!

— A mogeż stać tu pod Częstochową?

— Ale tu kilku dni dosyć.

— Cóżemy uchybili, że tyle czasu stojemy darmo?

— Bez parlamentacji, bez próbek, wprost kaźcie zasypywać fosę, sprowadzić tarany, drabiny i do szturm! Walić mury, tłuc, strzelać i na mur siłą

— Tęgi z hrabiego projekcista! ale pomów z żołnierzem, któremu głodno w brzuchu, zimno w piętach, a strach za plecami, czy tego dokona. Ognia nawet w nocy rozpaścić nie można, żeby się rozgrzać... a w dodatku (uśmiechnął się niby) czary!

— Ale cóż te czary generale, to bzdurstwo, to dzieciństwo!

— Wybijże je z głowy gawiedzi, rzekł Miller, a po

chwili: Któż wie, coś to tam i prawdy w tem być może? Są rzeczy niepojęte, sam to widzę.

Wejhard się uśmiechnął, Miller naperzył.

— Waćpan widze w nic nie wierzysz?

— We wszystko prócz czarów.

— Do zobaczenia! i pożegnał go skinieniem, a sam siadł pod namiotem, zdała patrząc na kościół, na mury, na swoich, smutnie zamyślony.

— Dwóchset ludzi! mnichów garść, mówił w sobie, i ten gołębnik! co u licha! miałłabyin moje laury położyć na tem śmieciuku? To oszaleć można! to coś niepojętego! ten mi mówi, że w nic nie wierzy. Darmoby wszystkich szal ten nie opętał... jest coś... jest... siła niewidzialna... Działa, ludzie, wojska, sztuka, doświadczenie, wszystko na nic. Śmiech ludziom odejść z niczem. Nie ścierpię tego! Całą siłą! całą siłą! Ha! jak dziś, jak wczoraj! i cała siła na darmo!

Rzucił ręką ku murom.

— Wściec sie potrzeba! żeby szczerba, żeby dziura... jak z żelaza! To kłamca ten Niemiec... od wschodu byłbym przynajmniej kościół zniszczył i obalił, niechby runął tylko bok jeden, poddałiby się. Wejhard ma rozum pałacowy nie wojenny, to dworski liżyłapa, zwiódł mnie i zwodzi. On wszystkiego przyczyną. Z gniewem, ze złością patrzył jeszcze Miller na swoich, którzy szli nie idąc, wracali; strzelali bezskutecznie i zdawali pędzeui na gwałt, zbliżać do twierdzy. Tysiące drobnych przeszkód nieustannie przerywały szturmy przedsiębrane; tam łoże armatnie się zepsuło, obsunęła kartanna, ówdzie wóz z prochem zagrzazł, kuła klasztorna zabiła puszkarza, dano rozkaz niezrozumiałe i spełniono niezręcznie, słowem wszystko szło nic potem; a żołnierz na wszystko jednem odpowiadał słowem: czary! czary! Ciury szwedzkie, Finlandczycy i inni tak już byli znuzeni tym bojem bezkorzystnym, a w ciągu nocy niespokojem i chłodem, że Miller im nazajutrz dać musiał wypoczynek. Śnieg już chwilami poczynał ziemię pokrywać, mróz chwytął, robota każda

stawiała coraz cięższą, generał odstąpić nie chciał; w nocy jeszcze stężała ziemia na ćwierć łokcia. Żołnierze głośno sarkali i przeklinali.

Złożono znowu radę wojenną; każdy z pułkowników zdanie swoje objawił, jeden Wejhard nic mówić nie chciał. Książę Heski radził natychmiast ustąpić. Sadowski chciał później świeże wojsko przysłać, jeśliby koniecznie szło o posiadanie Częstochowej, a samym ku zimie uciekać; inni wymyślali różne środki zdobycia, nie mogące się zastosować; Miller wysłuchiwał wszystkiego w milczeniu.

— Uchodzić! — rzekł — nie, to być nie może, przyszliliśmy, trzeba swoje zrobić. Spędzić ludzi, sypać szanice nowe, fosy ziemią zarzucać, nie czekać wyłomu, próbować strachu....

— Ziemi zamarzłej nie ukąsić — rzekł ktoś.

— My jej nie będziemy kopać, na to ludzi ze wsi zbierzemy, niech sobie robią co chcą.

Wszyscy zamilkli widząc upór Millera; on już dawał rozkazy, Wejhard tylko cicho szepnął:

— Istotnie rozporządzenia generała doskonałe.

— Obejdę się bez pochwał — odparł Szwed ponuro.

Czech usnał się kwaśny. W Częstochowie przez mieszczan choć przepłoszonych trochę przypadkiem Brzuchatkiego, choć wylekłych przez kwarcianych do kościoła chodzących, dowiedziano się zaraz o zamiarach Millera. Kordecki nie tracąc serca, wytrzymałszy tyle, spodziewał się i reszcie podolać; wezwał także swoich wiernych a stałych i radził.

Wszyscy jednomyślnie nad środkami tylko odparcia szturm, namyślali się. Pan Zamojski, który od początku oblężenia wziął z biblioteczki klasztornej Karlińskiego *) i nosił go pod pachą, począł sypać spo-

*) Jestto niewielka książeczka wielkiej wartości, dla dziejow wojny, języka i obyczajów, za mało dotąd znajoma. Nosi tytuł: *Spraw y postępów rycerskich, y przewagi, opisanie krótkie. z naukami w tej zacnej zabawie potrzebniemi,*

sobami obrony najwymyślniejszemi jak z rękawa. Czarniecki słuchał i wzdychał, bo mu tego zazdrościł, a czytać nie bardzo lubił.

— Wszystko to dobrze — rzekł po chwili — ale tak na mój rozum. co tylko kole, bije, siecze, odpycha, pali, smali, piecze, a co pod ręką, wszystko na nich dobre, użyjemy co się nawinie. Dziś nam dali fryszt, korzystajmy z niego, przysposabiamy się.

— A Bogu dziękujemy.

— To swoją drogą zawsze — rzekł Czarniecki.

Zamojski trochę był markotny, że długie jego czytanie w łeb wzięło kilką słowami pana Czarnieckiego, a że kochając się wyścigali zawsze i emulowali z sobą, jał znowu liczyć sposoby odpychania.

Czarniecki wąsa kręcił, wzdychał, słuchał, aż mu i dokuczyło.

— Wiec tu panowie sobie radźcie, swadźcie — rzekł — a ja pobiegnę na mur, i każe tymczasem znosić co się trafi.

Przeor nic nie powiedział; postrzegł Zamojski także, że tu więcej czynu i ręki niż słów potrzeba, rzucił książeczkę i zawołał:

— Macie słusność panie Pietrze, do roboty!

— Ot tak kochany mieczniku! — radośnie wykrzyknął Czarniecki — na mur, sposobmy. co jest, potem sobie przy kominku spokojnym czasem przeczytamy książkę, co też ona pisze, a teraz.... a! zachcieliście, nie święci garnki lepią.

Ze zwołanym ludem stanęli zaraz do roboty.

Co było gdzie pozostałego rumowiska, kamienia, dylów, kntych dragów, zebatych kruków, żelastwa, broni, drzewa różnego, wszystko poczęto ściągać, aby na wypadek zbliżenia się do foss nieprzyjaciela, powitać go uczciwie. W dziedzińcu ustawiono kotły do

Lwów, 1599, 4to. Przepisana Hieronimowi Sieniawskiemu przez Stanisława Karlińskiego, Medyka i Alchimistę, ale i żołnierza dobrego. Są to niektóre szczegóły jego awanturniczego żywota... Język przecudny.

grzania wody i smoły, mającej się zlać na oblegających.

Żołnierz trochę odpoczął, a kobiety i czeladź posługiwała; rozdzielono te nowe środki oporu tak, żeby je mieć wszędzie pod ręką; najwięcej tam gdzie nadkruszenie murów i płytkość fossy spodziewać się napadu dozwalała. Cały dzień Boży na tem upłynął.

Nad wieczór przysła ze swej kryjówki Konstancja do klasztoru i przyniosła wiadomość o przygotowaniach Szwedów, spędzeniu ludzi z Rędzin, Dzbowa i ze Mstowa, którzy z płaczem i jękiem, opierając się jak mogli, szli pod płazami żołdaków kopać szanice i ziemię nosić bryłami. Żebraczka wlokła z sobą podarek zwykły, fartuch kuł pelen; a rozdzieliwszy je pomiędzy załogę, posunęła się zwykłym trybem naprzód pod basztę Krzysztoporskiego, w której go nie znalazła, bo chory jeszcze leżał, potem powitać puste okienko, z którego na nią patrzyła Hanna, nareszcie ku mieszkaniu Płazinej.

W mieszkaniu szlachcianki, znalazła ją za stołkiem nad kufelkiem w towarzystwie drugiej jakiejś kobiety; szeptały coś z sobą tajemniczo na ucho. Zobaczywszy starą, Płazina ofuknęła ją, zamknęła drzwi i odpędziła precz. Konstancja nie zrażona poszła zaraz w drugi dziedziniec, na który wychodziło okienko z górnej izdebki, i stanęła tu tak, żeby z niego widzianą być mogła. Długo kręciła się, chodziła, ale nic nie widziała, coby ją na ślad jaki naprowadzić mogło. W okienku na górze tylko, małeńkie oddechane kółko, wśród zamrożonej szyby, mówiło, że tam ktoś siedział.

Smutna powłókła się nazad pod basztę i zdziwiona ujrzała na niej Krzysztoporskiego, który wywłókł się nie mogąc znieść zamknięcia, ale błady był i złamany, a oczy mu się iskrzyły jak ślepie wilcze po nocy. Ona zobaczywszy go, siadła na wschodkach.

— E! dobry wieczór panie Mikołaju!

Zmilkzał stary choć się wzdrygnął.

— A co Hanna? myślicie że już śladu nie mamy, że nie wiemy gdzie ona?

Zastanowił się Krzysztoporski.

— Idź precz stara, idź... nie męcz mnie do ostatka dość wzięłaś mi życia.

— Upamiętajże się, a nie dość ty nabrałeś zdrowia i żywota ludziom? Hannę odzyskamy, a ty na starość wstyd i hańbę nosić będziesz.

Krzysztoporski przywłókł się bliżej wschodków.

— Pójdiesz ty precz? — spytał ze złością.

— Precz! wszakżem to ukochana twoja — rozśmiała się stara — ulubiona Kostusia.... spojrzij i poznaj, to ja.... której rozplatałeś i splatałeś kosy, całowałeś usta i oczy.... o! to ja!

— Nie.... nie — rozśmiał się gorączkowo starzec — nie, pamiętam tamtą.... Gdybyś nią była, jeszczebyś bałamuciła do ostatniego ciura szwedzkiego i zwracała głowy głupcom, co by ci wierzyli.

— A ktoż mnie pierwszy załotności nauczył?

Przerwała się rozmowa.

— Idź sobie! daj mi pokój! — wołał pan Mikołaj.

— Jak ty drugim, tak ja tobie, żona twoja zostanie z tobą.

Rozjadł się Krzysztoporski.

— Idź opętana do djabła!

— Nie bluźń i nie warcz. panie Mikołaju, jeśli ja to i ty i oboje razem, oboje.... oddaj Hannę.... oddaj Hannę, ty wiesz żem uparta, nie odejdę.

— Jam jej nie widział, ja nie wiem!

— Kłamiesz! ty i Płazina wiecie o tem.

Na te słowa chory i drżący szlachcic siły odzyskał i za muszkiet pochwycił, widocznie przestraszony; ale Konstancja nie czekając strzału uciekła i wprost pobiegła do przeora.

— Ojczel! dobrodzieju! — zawołała całując jego skaplerz — każcie sznkać Hanny, wnuczki Lassotowej u Płazinej, a prędko.... bo jej gotowi co zadać!

XLIV.

Po jasnych dniach poprzedzających, nastąpiły zwykłe u nas mgliste i ponure; drobny deszcz, mrok, śnieżek gęsto prószący, niezgłębione ciemności białe, obwisły nad obozem i twierdzą. Obłężeni nie mogli rozpatrzyć się o kilka kroków, nie mogli wiedzieć o przygotowaniach nieprzyjaciela, jego obrotach, zbliżaniu się i strzelać nawet na los musieli.

Nazajutrz od rana tak nieprzejrzany obłok otulił górę całą i obozowisko, że jasnogórzanie i Szwedzi wśród tej mgły rady sobie dać nie mogli; deszczyk wilgotny, drobny, cienki, zimny, do kości przejmował Szwedów. Na zamku przestrach znowu, pora ta zdawała się szczególniej sprzyjać Szwedom, kroki ich okrywała tajemnicą. Miller też radował się wielce ze mgły i korzystać chciał z niej co najprędzej, by zasypywać przekopy i dobywać klasztoru.

Tylko co wydano rozkazy, gdy Miller o kilka kroków posłyszał wystrzał i krzyki; zdawało mu się, że to był jęk jego siostrzeńca, od którego ledwie się oddalił. Nie pojmował, co mogło być przyczyną wypadku, spał konia, przybiegł na miejsce.

Młody człowiek leżał śmiertelnie kulą w brzuch ugodzony. Zakrwawily się oczy dowódcy.

— Co to jest? — zaryczał widząc ukochane swe dziecko w tym stanie i rzucił zwoływać lekarzy.

Ale lekarzem śmierć była; młody chłopak obrócił się do niego, rękę wyciągnął drżącą, uśmiechnął i skonał.

Miller włosy rwał z głowy, żołnierze stali odętwieni.... strzał to nie mógł być klasztorny. Szwed jakiś wśród tej mgły, którą się tak bardzo cieszyli, oczyszczając nabitą śmigownicę, wypalił z niej, sądząc że do klasztoru mierzy, a zabił biednego wyrostka. Żalu, gniewu, wściekłości dowódcy odmalować niepo-

dobna; dla niego to, dla zabitego dziedzica zbierał on po Polsce skarby łupieża i krwią zbryzgane, jego jak syna kochał i za syna przysposobił, wszędzie chciał go mieć przy sobie, aby z oczów nie tracić ulubieńca, zasłaniać go od niebezpieczeństwa, otulać i pieścić; chwila jedna zerwała węzeł, który Szweda łączył jeszcze ze społecznością i światem. Martwy z bólu i obłąkania, powstał Miller ucałowawszy zimną twarz siostrzana i pięść wyciągnął ku klasztorowi z groźbą okropną.

— Gdzie jest ten co strzelił? — spytał zimniej.

Wskazano winowajcę.

— Rozstrzelać — rzekł chłodno i odwrócił się. Siadł na konia, poleciał.

— Sypać szafice, zarzucać fossy.

Zbliżył się ku murom; one milczały, za niemi tylko stał lud i modlił się.

A szwedzi powtarzali coraz uparciej: Czary, czary! i wieść o zgonie młodego wojaka poszła po obozie opowiadana w sposób taki, że stwierdziła przekonanie o jakichś czarnoksiężskich mnichów sztukach.

Wejhard dowiedział się o wypadku i schwycił za głowę.

— Teraz mi się już nie pokazywać Millerowi — rzekł; i pośpieszył z Kalińskim i Wachlerem pod twierdzę także.

Mgła nie rozbiła się na chwilę, a wśród tego złowrogiego mroku, ledwie o krok widzieć się było można. Zaczęto strzelać z obozu ku twierdzy. Jasna-Góra milczała. Nareszcie jakby z chmur wychodzący ukazał się lud ściśnięty w szereg, który pędzono na przekopy. W tem Konstancja wysunęła się z nich i stanęła na kontreskarpie w swych płachtach, z kijem podniesionym, jakby szydząc ze Szwedów co się groźną linią posuwali ku niej. Zobaczyli ją żołnierze i zwolnili kroku, szmer poszedł po linii.

— Kobieta jakaś! kobieta!

Kilku śmiałków strzelili, ona uprzejmie skłoniła im się i palcem zapraszała ku sobie.

Już myślą czarów opanowani Finlandczycy, którzy im wierzyć najskłonniejsi byli, stanęli; trąby napróżno grały do szturm — jak wryci nie ruszali z miejsca. A tu i szereg ich zaciemniał przed oczyma oblężonych i wszystkie działa zwrócone ku nim błysły, zadymiły, poczynając sypać kul gradem na przyzastanionych Szwedów. Co było na przodzie odważniejszej starszyny padło rzędem, żołnierz się spłoszył i cofać począł.

— Czary! czary! — wołali jak poszaleni.

Miller bił i pędził.

W tem noc nagle się robić poczęła i krótki dzień mroczył coraz bardziej; działa forteczne coraz dalej sięgały, pierwsze linje przebiwszy. Nie było sposobu iść dalej, trąby dały znak do odwrotu. Wiatr jakby zasłony z góry na chwilę mgły uniósł i rozdarł, w dali ukazując pracowników u szanćów, z rydlami, motykami schylonych nad robotą pod strażą szwedzką. Czarniecki rozkazał strzelać do nich.

Ale mrok coraz stawał się gęstszy, noc zdawała lecieć skrzydłami ptasiami, coraz ciemniej, ciemniej, ciemniej, tylko wśród biolejących tu i owdzie płat śnieżnych, czernieje kupka ludu, ruszającego się jak mrowie. Na oślep już, klasztorne działa celują sercem raczej niż okiem, widzą popłoch.... a potem cisza.... i tak dzień się skończył.

W klasztorze zadzwoniono na Anioł Pański.

Napaść ta była od południa, ze strony w którą kościół odwraca się do murów i wrót dobrze obwarowanych, choć Szwedzi mieli ją za słabsze od kortyny. Noc zeszła na czuwaniu niespokojnem.... wszyscy stali na murach w oczekiwaniu. Nikomu nie było tajno co się działo w Szwedzkim obozie, zabicie Millerowskiego siostrzeńca, jego gniew i zaklęcia, że twierdzą zdoł będzie i zniszczy, przerażać poczynają. Sen uciekał z powiek, latarnie słabo świeciły na murach wśród mgły nieprzebitej, ludzie jak cienie suwali się dokoła. Hasło powtarzano z cicha: w Bogu nadzieja.

— Bóg niech będzie pochwalony!

Z temi słowy w ustach, z różańcem w dłoni, chodzili dowódcy powołnemi kroki, spodziewając się nocnej napaści; lecz napróżno, Szwed o niej nie myślał. Nie rychło opieszały dzień zaświtał, lecz taki jak wczoraj gęstą mgłą osuty, rzekłbyś że się owinął nieprzejrzystemi szaty; ni nieba, ni ziemi, ni świata, jasno a nic nie widać. Tuman jak dym gęsty wszystko osłania, powiększa postrach, przeraża, bo tajemnicą otacza.

Kordecki zasepiony na jutrznię do chóru przyszedł, a po skończonych modlitwach:

— Bracia — odezwał się — nie czyste są serca nasze, nie gorące modlitwy, Bóg odwraca się od nas i upomina! módlmy się lepiej... Znać zesłała w nas wiara, Mgły stały się sprzymierzeńcem nieprzyjaciela, w nich zamknięci, jesteśmy jak ślepi... biada nam jeśli to potrwa. Siła ludzka nie pomoże na to; innej tu potrzeba pomocy. Czemuż gdy modlitwy Jozuego słońce wstrzymały, nasze by nie umiały mgły rozpedzić?

Widać było po twarzach ojców zwątpienie i podziw wielki.

— Wiary! wiary! — zawołał Kordecki — a rnszym nią góry i opoki! wiary a zwyciężym! to oręż nieprzełamany, to zbroja nieskruszona. Nie możemy wszyscy leżeć na modlitwie, bo musimy walczyć. Niech jeden z nas zastąpi wszystkich gorącą nieustanną modlitwą do Boga, niech egzorcyzmem i słowy błogosławieństwa rozpedza mgły szkodliwe, niech błogosławi działa i orężę nasze, niech za nas błaga i jęczy. Ojcie Stawiski to będzie wasze dzieło, wzniesicie się duchem pod tron Wszechmocnego, i módlcie się za nas, my pójdziemy pracować... Błogosławcie we cztery świata strony, a pierzeunie mrok i tumany szatańską nagromadzone siłą, bo wiara panuje wszystkiemu.

Ksiądz Stawiski blady, poważny starzec, powstał, zniżył głowę i w milczeniu przyjął rozkaz przeora. Inni ojcowie westchnęli tylko. Kordecki wyznaczwszy przeciwko mgłom bojownika, jakby do najprostszej pracy; zszedł z chóru spokojny.

— A to co za lichy? — rzekł pan Czarniecki, widząc nagle z mglistych mroków, wyłazącą dziwną jakąś wysoką bndowę, która powolnie poruszając się, ku murom zbliżała.

Zamojski spojrzał także i uśmiechnął się.

— To się zowie w języku wojennym...

— Ale do czego to służy? — spytał niecierpliwie pan Piotr — jużciż nie do bicia masła?

— Do rozbijania murów i włożenia na nie.

— No to nie czekając, walmy do tego rusztowania. Kasprze kochanku, rychtuj mi na te kozły, czy jak się tam to zowie, a gracko, dostaniesz odemnie co zechcesz.

Kasper począł działa podnosić, bo się machina zbliżała, dano ognia i wielki tarau czy balista, który wlekli żołnierze i lud okoliczny z kołmi i wolami razem, począł trzaskać; ponowiono strzały i nim skutek ujrzano za dymem, już łom drzewa i krzyk ludu dał znać, że Kasper trafił. Czarwiecki aż go w czoło pocałował.

— Otoś mi chwat — rzekł — naści! — i oddał mu woreczek swój szlachecki... a teraz do tej gawiedzi.

Gęstemi strzały walono do reszty już złamaną machinę, około której kupili się Szwedy z krzykiem i przekleństwem. Chciano dźwignąć co było zepsute i spoić na nowo, ale okazało się, że kule szczęśliwie najistotniejsze części taranu: drągi haki, kłocze zębate, szruby i sznury zgmiotły i zniszczyły; niektóre kawały podlatywały daleko i pokaleczyły żołdaków, belki przybiły ludzi co machinę ciągnęli... Szwedzi popatrzali, przybiegli starsi i znowu szeptali między sobą. — Czary. I powoli odstąpili.

Dano znać Millerowi, który opodal siedział tyłem do twierdzy obrócony; machnął ręką tylko — róbcie co chcecie. I słowa nie rzekł więcej. Groźne jego czoło więcej od rozkazu mówiło, wzięli się więc do bndowy drugiego tarana. a tymczasem starano się o jakąkolwiek przewagę, ale nadaremnie.

XLV.

Nazajutrz rano, do pierwszej myśli wróciwszy, ale na inną obracając się stronę, Szwed znown rzucił kulami od wschodu. Ztąd w istocie obawiać się było można wielkich szkód, jeśli nie dla klasztoru, to dla kościoła, którego okna i facjata zwracała się w tym kierunku.

Nienastanność szturmów, niepokój ciągły, wrzawa, strachy co chwila nowe, pomimo usilności Kordeckiego, wlewającego odwagę w swoich ludzi, musiały zwątląć najwytrwalszych nawet. Większa część twarzy pochmurniała, nawet mnisi życiem niezwykle zmęczeni, zwiesili głowy na piersi i nikt jeszcze nie śmiał powiedzieć, że mu tchu braknie, że cierpi; ale wszyscy czytali sobie w oczach wyraz niewysłowionego znużenia. Nikt krzepiącej nie zachował nadziei. Klasztor zwyciężał dotąd, ale go wycieńczało zwycięstwo; przeor to nawet widział; miał nadzieję w odsiecz, nadzieję w zimie, nadzieję w znużeniu Szwedów.. i wszystkie dotąd zawodziły.

Zwątpienie, rozpacz niemał obojętną na śmierć lub życie, zimną, milczącą, bladą, spotykałeś wszędzie.

Szlachta znownu skupiała się i naradzała potajemnie; załoga szemrała, śmielsi już narzekali i powiew rozpaczny obejmował chłodem swym serca. Już i kościół i kaplica stały pustką, izby pełne były naradzających się swarliwie.

Tymczasem modlitwy zwycięzko mgły rozbiły; niewidzialna ręka, zdawała się rozszarpać grube osłony tumanów, rozrywała je i zrzuciła na widokreń krańce, a niebieski błękit z pod nich i jasne okazało się słońce.

Pod twierdzą kupami leżeli ostatnich dni pobici Szwedzi, niektórych śnieg już poproszył, inni czernieli jeszcze; koło nich krzątali się żywi, to odzierając z sukni, to zabierając na wozy. Starszyzna wybierała upadłych towarzyszków broni, by im cześć oddać ostatnią

i żałobne wozy pociągnęły z szeregiem trumien ku Krzepicom.

Poszło tam z honorami wojskowemi, z muzyką i spuszczone mi chorągwiemi, ciało Millerowego siostrzeńca, w prostej wieśniaczej trumnie, na wozie kmiecym szukać spoczynku na ziemi najazdem zgwałconej, która grób pochłoneła karząc niepamięcią; za nim orszakiem pociągnęła jazda Szwedzka.

Kordecki patrząc na to, zapłakał.

— Tyle krwi, tyle ofiar, a! miły Boże — zawołał do księdza Stradomskiego stojącego przy nim — dla sławy zdobywcy, dla próżnego liścia lauru: a gdy przyjdzie na wieki państwa pracować zdobycie, o jak to każdemu ciężko! Najechali ziemię naszą i zawojowali sobie — groby! niech im Bóg przebaczy, niech uie pamięta.

Nic nie odpowiedział ksiądz Stradomski, i w milczeniu zeszli z wyżyny, na której stali, do klasztoru.

Tu spotkali zakonników i szlachtę z bładem obliczem skupiającą się umyślnie przeciw Kordeckiemu. W tych gromadkach dwie twarze uderzyły przeora. Byli to tylko co do twierdzy wpuszczeni pan Aleksander Jaroszewski, który pod opieką Jasnej-Góry miał żonę i synka, i pan Ciesielski, którego dwie siostry zakonnice dominikanki, od powodzi Szwedzkiej się skryły. Oba zasłyszawszy co się dzieje na Jasnej-Górze, zaczęli niespokoić się o swoich i zbiegli do Millera naprzód, żeby im dozwolił wyprowadzić kobiety, bo pewni byli, że nienastannemi szturmami twierdza wzięta zostanie, i padnie łupem rozjadłych i rozbestwionych Szwedów.

Rano dnia tego dopuścił ich do siebie Miller, a wysłuchawszy prośby rzekł:

— Idźcie moi panowie, ale to się na nic nie zda.

— Jako? — zawołał pan Jaroszewski — musi mi wydać żonę i dzieci, a panu Ciesielskiemu siostry.

— Nie wyda — odparł wódz — toby wystraszyło do reszty zamkniętych w twierdzy; ja bym bardzo był rad

temu, ale Kordecki ma rozum, nie robi tego. Nie trzeba było kryć się przed Szwedem... a dziś zapóźno.

Jan Jaroszewski, jak był żywy bardzo i przywiązany do żony i synka, a pan Ciesielski co dość łatwo tchórzył, ale w takim razie miną nadrabiał, gdy był w strachu — oburzyli się oba.

— To być nie może panie generale, muszą nam wydać naszych! Toby była tyrania!

— Zobaczycie — rzekł zimno generał — idźcie...

Jakoż poszli, a po drodze nieomieszkal w twierdzy rozsiać popłochu, i przeor zaraz postrzegł się, że ich przybycie nie było mu na rękę. Nim od bram do niego się przebili, już napletli dziwów, nastraszyli bojaźliwych i zachwiali odważnymi nawet. Według nich twierdza co chwila mogła, musiała być zdobyta; Szwed zaklął się, że nikomu życia nie daruje; kobiety, starce, dzieci mieli paść ofiarą, a na gruzach sól rozsypać obiecywano.

Placz, lament rozległ się po całej górze.

Na to właśnie nadchodził Kordecki, spojrzał surowo, a w tem jak stali w korytarzu pan Jaroszewski i pan Ciesielski do niego:

— Księżę przeorze — rzekł pierwszy z ukłonem — przyjechałem po żonę.

— A ja po siostry.

— Cóż to się stało, że je wywozić myślicie? — odparł Kordecki zimno i z nieukontentowaniem — czy to już Pana Boga niema nad nami i Matki Boskiej w Częstochowie. Cóż nowego im grozi?

— Co grozi? już ciż to jawna i oczewista, że twierdza zostanie zdobyta i zniszczona.

— Kto to panu zaręczył?

— Ale dość policzyć, księżę przeorze, co naszych a co Szwedów.

— Licz sobie kiedy chcesz, waszmość się boisz, a, my się nie boimy; tobie straszni a nam nie.

Pan Jaroszewski osłupiał.

— Zresztą — rzekł — jak sobie ksiądz przeor chce ale ja siebie patrzę, i o żonę proszę...

— A ja o siostry.

— Zawołać braciszka Pawła! — rzekł przeor chłodno. — Wszyscy milczeli czekając co z tego będzie; przybyli sądzili, że im kobiety puszcza, aż i brat krawiec przybiegł ze szkaplerzem na ręku i spojrział ognisto na wszystkich, ze łzami prawie na przeora, przed którym się nachylił skwapliwie.

— Wiesz bracie, jakie jest rozkazanie u wrót? — spytał go Kordecki.

— Wiem ojcze przeorze: wpuszczać pojedynczo kto zażąda, a nie wypuszczać, chyba za wyraźnem zezwoleniem waszem.

— Tego rozkazania strzeżcie mi najpilniej i nadal — dodał przeor.

— Będzie spełnione święcie.

— Cóż więc, gwałtem myślicie tu zatrzymywać? — oburzył się pan Jaroszewski.

— Nie was — odpowiedział przeor spokojnie — ale kto przed obleżeniem się tu schronił, gdyby dziś uchodził, popłochby rozsiał niepotrzebny, za jednym zechcą wszyscy; zatem kto tu jest, ten dobędzie do końca.

— Księżu przeorze, tu o życie chodzi! macie prawo rozporządzać swoim i swoich podwładnych, ale nie naszym...

— Wszyscy tu moi podwładni dzisiaj — odparł zimno i stanowczo zakonnik — Bóg nas rozsądzi; co czynię, robię z przekonania o koniecznej potrzebie i z natchnienia Bożego. — Będą wszyscy cali, jeśli zaufamy Panu, nie obawiajcie się.

Dwaj przybyli zmieszali się, nie wiedzieli co począć, spoglądali po sobie, stali. Przeor już odszedł, został Zamojski.

— To czego żądacie — rzekł im na długą gotując się orację — niepodobnem jest *et contra consuetudinem belli*. *Submissionem* winniśmy wszyscy wodzowi, rozkaz i wola jego święta. Nie obawiajcie się jednak, nie się tu złego nie stanie nikomu; *Deo adjuvante* pokonamy *hostem* chociaż *potentem*, czemu nie podoła oręż, podoła modlitwa. Tu daremnie — dodał — i

prosić i grozić! — Nie mniej mi droga żona moja i dziecko jedyne, przecież je tu skryłem i wywozić nie myślę.

— Wolno wam czynić co się podoba, ale i my też swój rozum i wolę mamy.

— Jak się obłączenie skończy, zrobicie co się wam podoba.

Pan Aleksander Jaroszewski począł krzyczeć i hałasować, Ciesielski mu pomagać; Miecznik wziął pierwszego za rękę.

— Bede — rzekł ostro — zmuszony, kazać was za mur wyprowadzić, nie czyńcie mi tu burdy i idźcie sobie z Bogiem!

— Ale to tyrania niewidziana, to ucisk swobody szlacheckiej.

Rozśmiał się pan Zamojski.

— Ojcie Pawle — odezwał się — ci panowie już się widzieli ze swemi, zostać zdaje się nie pragną, my czasu nie mamy, każcie ichmościom furtkę otworzyć.

Napróżno oba poczęli wołać hałaśnie i po sejmikowemu się odgrażać, na nic się to nie przydało; pan Piotr Czarniecki dodał im kilku ludzi i jak niepyszni musieli z twierdzy ustąpić.

Miller spotkał ich nieopodal.

— A co tam? — spytał z uśmiechem.

— Nie puszczają! — zawolali.

— Mówilem wam to wprzód! — I machnął ręką.

Oba panowie poszli do znajomych sobie kwarciannych po radę i znikli.

Wypadek ten oburzył wielu w klasztorze; szlachta nie przywykła do posłuszeństwa, krzyczała na gwałt, kobiety płakały, księża nawet szemrali. Ksiądz Lassota wbiegł oznajmując przeorowi co się święci, że refektarz pełen i bodaj czy nie bunt się jawny gotuje. Kordecki szybko ruszył, biorąc z sobą po drodze księdza Stradomskiego: ale już w refektarzu jedni tylko księża się zostali, szlachta się rozpieczęła.

Zakonnicy stali jak powarzeni, milczący, chmurni, gotowali się coś mówić i obawiali rozpocząć. Przeor

wyczytał myśl w ich twarzach i stanął. W tem ksiądz Błęszyński wystąpił naprzód.

— Ojcie przeorze, rzekł, długo milczeliśmy, długo czekali na posiłki i nadzieje, ale gdy to wszystko marne dymy, czas i nam głos podnieść. Nie zaprzeczajcie żeśmy czynili co mogli w obronie miejsca tego, i życie gotowi byli dać w ofierze; ale łudzić się dłużej niepodobna.

— Tak jest, dodał ksiądz Małachowski, pozostaliśmy sami, posiłek przybyć nie może, zguba jawna i oczywista. Przeznaczył nam Bóg upokorzenie zwyciężonych, nie opierajmy mu się.

— Ojcie przeorze, dorzucił ksiądz Dobrosz, dzisiejszy postepok wasz, który mógł być wedle praw wojny (my ich nie znamy), oburzył i zniechęcił do reszty szlachtę, strwożeni wszyscy, nas garść mała, sami nie nie zrobim. Na Boga zaklinamy was, myślimy o podaniu się...

Tu i inni ośmieleni mówić poczęli.

— Ojcie przeorze, czas wyjść z tych omamień, kraj cały w ręku Szweda, król nas opuścił, świat o nas zapomniął; Polska nie jest już Polską lat starych... Czas prosić o warunki.

— To zdanie wasze? spytał smutnie Kordecki.

— To myśl i pragnienie wszystkich... zapal i wiara nie pomogą przeciw wyraźnej woli Bożej.

— Do defnitorjum! odezwał się przeor, niech dzwonek zwoła na radę!

Rzekł i wyszedł pierwszy.

Jeszcze sala była pusta, gdy ukląkł w niej przed krzyżem Zbawiciela świata, i leżąc u nóg jego trupią głowę obyczajem zakonnym pocalował; długą chwilę pozostał tak na modlitwie gorącej, potem podniósł się całując rany nóg, rąk i bokn Chrystusowego... Zakonnicy sypali się już do defnitorjum, zasiadali swe miejsca, przeor zajął swoje; twarz jego była pogodna, chwilę podumał, powlókł po nich wzrokiem, i tak mówić począł:

— Przeraza was zakonnym ludzi, bracia moi, niebezpieczeństwo wojeane. Wielkie to zaiste i groźne niebezpieczeństwo, ale nie takie, żebyśmy dla niego zachwiać się mieli w postanowieniu bronienia miejsca świętego i spełnienia obowiązku. Królowie polscy powierzyli nam straż tej świętej góry; chcecie ją stróżom wiarotomni oddać nieprzyjacielowi... wola wasza! Zdajcie na ręce kacerzy co macie najświętszego i najdroższego dla ocalenia życia, ja was sądzić nie będę. Bóg i ludzie osądzą! Nie godzi się jednak by to miejsce pozostało bez czci i służby, bez nabożeństwa, niepodobna żeby wszyscy hańbą okryci opuścili ten ołtarz, jak zbiegi niewierne, którzy wzięli zapłatę wczesną, a gdy przyszła chwila niebezpieczeństwa, uszli sromotnie. Powiedźcie więc bracia, którzy z was zostać tu zechcą, i zdać się na wolę Szweda, ja z pozostałymi, nie mogąc ani sromoty znieść naszej, ani żeby kacerze bluźniercy, splamili ten przybytek, ustąpię, pójdę... Zostawuję wam wolę, czyńcie jak się wam zda...

Proste były słowa przeora, choć goryczą zaprawne; wymówił ostatnie ze łzami, zabłysły one na powiekach, jak krople rosy niebieskiej; ręce wyciągnął ku nim i oczy, pytając... Wystąpcie i mówcie!

Ale nikt się nie odezwał, rumieniec wstydu oblewał twarze, milczeli wszyscy.

— Przecież chcieliście poddania, mówcież więc, ja wam będę posłuszny. Ojcie Stradomski tyś pierwszy. Kaznodzieja nic nie odpowiedział; pytał z kolei wszystkich, nikt odezwać się nie śmiał, tylko rzesistemi kroplami pot oblewał ich czoła, a wzrok utopili w ziemię.

— Nikt z was teraz nie śmie okazać strachu, któregoście byli pełni przed chwilą, rzekł łagodnie. Opamiętajcie się bracia i uczcie z chwilowej bojaźni, jak upaść łatwo, jak trzeba czuwać nad sobą. Na Boga! podniósł głos, czemuż dziś jest straszniejsze od wczoraj? wytrzymaliśmy tyle napaści stale, nic nie dokazał nieprzyjaciół, boim się więc zwycięstwa naszego? Widzicie że załoga, uzbrojenie, zapasy

wystarczają nam przy pomocy Bożej; przyjdą może i posiłki, słyszeliście, że Polska cała ze zgrozą obudziła się ze snu i zdřetwienia; król wróci do kraju. przypomną sobie ludzie, że my jedni trwaliśmy! Nie dawajmy ucha poszeptom bojaźliwych i krótko widzących ludzi... niech się lękają, myśmy wyżsi być powinni nad strach ten ziemski i płochy...

Mówił i nikt mu nie przerwał; a w tem braciszek Paweł zapukał do drzwi z listem w rękę.

— Konstancja list ten na wałach w śniegu znalazła. Cudownie to pismo dla dodania otuchy przybyło, jak gdyby modłami Kordeckiego wywołane: pisał je niejaki Jan Maj, Sandomierzanin do brata w Sieradzkim, ktoś pocziwy podrzucił. Były to wieści o Tatarach idących wielkimi zastępy w pomoc Kazimierzowi. Przeor przeczytał i oddał księdzu Stradomskiemu.

— Bóg łaskaw, rzekł, dajcie czytać małowiernym, niech się w postrachu utulą.

To mówiąc wyszedł zostawując księży zawstydzonych i niespokojnych. Nie było wymówek wzajemnych, ani nowego szemrania, westchnęli tylko i rozeszli się z uczuciem wiary, z pragnieniem poprawy; każdy wając i poświęcając chętnie swe życie.

Ale ze szlachtą nie tak poszło łatwo; tu przeor nie mógł każdego z osobna ani razem wszystkich zgromadziwszy zawstydzić, upokorzyć i wlać sił, których brakło; strach głośniejszy mówił nad wszystko w świecie, do tych zwłaszcza, co tu mieli żony i dzieci, a obawiali się rzezi i gwałtu. Ranny napad Jaroszewskiego, łzy samej pani, postrach panien Ciesielskich, rozeszły się po całym klasztorze. Chcieli szlachta z zakonnikami razem zmusić przeora do poddania, ale po naradzie w definitoryjum, ojcowie Paulini usunęli się i sami znajomych na drogę meztwa zwracali, niechcąc już pomagać szlachcie. Kilku ze starszyny mając na czele Zamojskiego i Czarnieckiego, trzymali się niezachwianym umysłem. reszta burzyła się, a było tego z pięćdziesiąt rodzin. Biegali oni jak poparzeni, lamentując, radząc, narzekając na nieszczęśliwą godzinę, w której

się tu schronili. Pani Plazina w tej zawierusze miała wyborne pole nagadać się, nabiegać, nazaczepiać co młodszych i nanosić plotek, tak że zapomniała nawet o swej jaśniewielmożności i państwie. Godny jej małżonek pan Plaza, jakiś Mrowkowski i kilku innych przewodzców, na serjo zbierali wota do poddania się i gotowali iść do Kordeckiego. Ale Czarniecki, który to po części przewąchał, rozkazał zgromadzić się ludziom załogi, rozdał wszystkim po szklanicy miodu, przyrzekł sowitą gratyfikację i po prostu rzekł do nich:

— Moi kochani, coś tu u nas śmierdzi zdradą, panowie bracia szlachta zaczynają tchórzyć i myślą o poddaniu. Książd przeor o tem słuchać nie chce, a nas większa część postanowiliśmy trzymać się do upadłego. Otóż chciałem wam powiedzieć tylko to, że który z was miałby ochotę zwąchać się z tchórzami, straci odwagę, a mówić będzie o poddaniu, albo wejdzie w jakie konszachty, to mu, tak mi Panie Boże dopomóż, jak psu, własną ręką w łeb wypalę. Macie więc wóz i przewóz, jak się da Bóg ta szwedzka robota skończy, każdy otrzyma podwójną płacę roczną w nagrodę; kto co złego pomyśli lub zamierzy, zginie nie od Szweda, ale odemnie. Znaście mnie, że jestem słowny; a teraz na mury i zwijać mi się gracko.

Zaloga poszła rzeško, i już w niej pomocnika nie mieli bojaźliwi, co się na niej opierać chcieli. Kordecki choć nie wiedział co się stało, gdy się stało, pochwalił. Zamojski tylko trochę się namarszczył, bo gotował piękną bardzo mowę do załogi, a ta już była niepotrzebna. Trzeba wyznać, że ruchawość pana Czarnieckiego, jego zwycięzka wycieczka, jego skromne a pocziwe krzątanie się około obrony klasztoru, trochę spać nie dawały pannu miecznikowi. Nie żeby, uchwaj Boże, zazdrościł tych usług Czarnieckiemu, ale że mimo pracy swojej, chciwy dobra człowiek, pragnął go gorliwością prześcignąć. I nieraz pani miecznikowa widziała go po nocach, gdy na chwilę zszedł z murów do niej się dowiedzieć, tak zadumanego głęboko, jakby

losy świata ważył w rękę. Był to skutek podobny temu, jaki laury Milejada czyniły na Temistoklesie.

— Co u licha! — mówił sobie pan Zamojski — to niepodobna, żebym i ja też czego nie dokazał. Co kto zrobi, to on; wszędzie mnie wyprzedzi, wszędzie drogę zabieży, wszędzie znajduję go już po capstrzyku, gdy ja dopiero się gotowałem z myślą swoją. Tak być nie może. Juściżem ja wódz naczelny po księdzu przeorze, muszę także się z czem popisać.

I dumiał tak pocziwy miecznik dni całe i noce, a zobaczmy że nie darino.

XLVI.

Szwed spróbowawszy ze wszystkich stron, zostawił południową na sam ostatek; tu była brama główna ze wzwozem, tu po nad kortyny wysuwały się wysoko mury kościelne. Postanowiono więc wziąć z dwóch boków kościół i kaplicę Najśw. Panny, ogień skierować na nie, i zmusić gorliwych o całość przybytku zakonników do poddania, grożąc zniszczeniem zupełnem. Miller miał tę myśl od początku, odwodzono go od niej; wyczerpawszy środki, postanowił przyprowadzić ją do skutku, i zaraz dnia następującego po nowych przysposabianiach, na węgle wschodnio-południowym, rozpoczął czynny ogień.

Była to godzina chóru, zakonnicy wszyscy znajdowali się na nabożeństwie swoim; szmer modlitwy rozlegał się w kościele, gdy szwedzkie działa wymierzone na samą świątynię, strzelać poczęły.

Miller wielce rachował na słabość murów długimi oknami przeciętych i kierowano kartauny tak, aby podciąć u dołu mury i obalić je. Straszliwy huk zagłuszył modlitwę, ale jej nie przerwał; w tem usły-

szano na dachu kościelnym druzgocące się krokwie i belki. Błady przestrach ogarnął starców, ale przytomność przeora, który się modlił nieulekły, nie dozwoliła uciekać... Ogień działowy co chwila stawał się żywszy, zdala dochodziły krzyki i łoskot niepokojący.

Wtem zdało się, jakby gmach cały miał runąć i ziemia rozstępowała pod nim; wszyscy zakonnicy, oprócz przeora, na ziemię upadli; dym, pył, kurzawa, gruzy napełniły przybytek... kula od kościółka św. Barbary puszczona, rozbiwszy okno, z częścią muru po nad głowami mnichów, przeleciała w sam środek gmachu. W tej samej prawie chwili, druga w bok kaplicy w ścianę Janitorium uderzywszy, okna w niej połamała. Chwila to była okropna i popłoch niewyraźny, dalekie krzyki Szwedów, jęk bolesny zakonników, zwiększały się razem z wrzawą boju i hałasem strzałów, wszyscy uciekać zaczęli, wołając:

— Matko Boża! matko Boża! zmiłuj się nad nami!

Kordecki powolnie, ostatni zszedł z chóru i wstrzymał zbiegów spłoszonych.

— Tu miejsce nasze, tu! u Jej ołtarza... korzmy się i ufajmy, a nic nas nie dotknie...

Grzmiały działa, waliły się z wyżyny nadwątłych cegieł ostatki, padały szyby okien i ramy, gdy przeor nciekających zwoławszy głosem potężnym, uklęknąć im kazał. *Swięty Boże!* rozległo się wśród huku strzałów. I działa zdawały się posłuszne modlitwie; drżeli mnisi oczekując nowego wystrzału, ale już kula żadna nie śmiała przerwać pobożnego śpiewu. Dokończywszy pieśni, spieszenie rozbiegli się Paulini, Kordecki zamykał szereg, niezlekniiony, poważny, zadumany, wtem za szkaplerz pochwycił go braciszek Paweł wylekniiony blady.

— Ojcie przeorze — brama!

— Cóż w bramie? już ciż nie Szwedzi?

— Nie, ale wzwód strzaskano, kula przebiła sklepienie i pogruchotała muszkiety wiszące w izbie Kaspra.

— Znać już nie będą nam potrzebne, chłodno odpowiedział Kordecki.

Zamojski już był obejrzał tę szkodę i kierował odwetem, celując działa z narożnej baszty.

Szkód znacznych nie było, na dachach w części połamanych, ogień się nie wszczął, kule padające nadszczerbiły murów, ale nie obalily. Szwedzi około południa musieli wstrzymać ogień, bo ich wielkie kartauny do ciągłego strzelania zbyt wiele brały prochu, a nie było go podostatkiem, musiano oszczędzać; z trafnego zaś strzału do kościoła i kaplicy wnoszono, że zakonnicy dosyć przerażeni być muszą. Czekano parlamentarzy, ale napróżno; nikt z klasztoru nie przybył; spodziewano się do wieczora, wyglądano, noc nadeszła, a twierdza nie dała znaku życia.

Ale w niej niestety, nie tyle było odwagi i wytrwałości, ileby spodziewać się można. Strach znowu ranami kulami podbudzony, grał we wszystkich sercach. Kordecki udawał, że go nie widzi długo, wreszcie schadzki, namowy i szemrania szlachty w oczy skaknąć poczynąły. U pana Piazy narada ciągle od rana do nocy, i coby mieli na mury pójść z innemi. to zasięda u kuflów, straszą się Szwedami, lub opowiadają jacy to oni dla upokorzonych łaskawi, a nawet grzeczni. Jeden drugiego zachęca, by iść do przeora i naglić o traktaty.

— To ksiądz, zwyczajnie ksiądz, rzekł pan Piąza, nie nie rozumie, panu Zamojskiemu teraz w głowie desperacja, że go Szwedzi prześladować będą, a Czarnecki, wiadomo, choć go zwiąż, to się bić będzie; wszyscy zacierzewieni, pod nosem nie widzą, że lada chwila Szwed zdobędzie Jasną Górę.

— Co tu długo gadać, rzekł drugi, tu o naszą skórę chodzi, myśmy się tu schronili dla bezpieczeństwa, nie żeby głowami przypłacić i żonki Szwedowi oddać, albo niech nas puszcza, zlbó niech się poddaje!

— Już kiedy kule kościoła nie szczędzą, rzekł trzeci, niedługo tu i nam się osiedzieć!

— Do przeora! do przeora! zawołali wszyscy i wyszli gromadni, hurmem przeciw księdzu Kordeckiemu. Nie zastali go nigdzie w twierdzy i musieli szukać aż w celi, bo dysponował właśnie coś z powodu rannej szkody kościoła, gdy szum w korytarzu oznajmił ciśniejącą się szlachtę. Pan Plaza po przedzie. Przeor poznał z jego twarzy o co chodzi; szlachcie naprzód popchnięty rad nie rad z perorą:

— Przyszliśmy, rzekł pokłoniwszy się, spytać waszej przewielebności, co myślicie i czego czekacie z tą zwłoką, gdy nie ma odrobiny nadziei żadnego posiłku, nieprzyjaciół panem wszędzie, trzeba się ratować, trzeba poddawać. bo nie ma co bałamucić... darmo, mości przeorze, przyszła godzina...

Kordecki twarz łagodną zmienił wyrazem surowym i chłodnym, stanął przed nim jak sędzia.

— Nie na wszystko czego żądamy — rzekł — Szwed się godzi, bo na skalanie świętego miejsca przez kacerzy, my zezwolić nie możemy. Wy miłośnicy panowie znużeni pracą, jak się wam wydaje, niepowodzeniem, chciecie układów, ale pomyślcie czy i poddanie klęską nie będzie? Wiemy jak dotrzymani obietnic w Krakowie... Nie naglijcie o poddanie, abyśmy my przez was, niegodnymi świętego miejsca uznani nie byli. Gorsze upokorzenie od wojny.

— Ale księże przeorze — przerwał Plaza — tu o nas chodzi!

— Wcale nie o was — odpowiedział przeor — naprzód o ołtarz, potem o nas wszystkich, a nie o was tylko, a poddać się nie poddam.

— Więc nas z żonami wypuście!

— Nie prosiłem byście przyszli, owszem samiście się tu wprasza!i, nie cofajcież się; chociażście mi raczej zawadą niż pomocą, ale was uwolnić nie mogę, załogę i pocztowy ludbym strwożył.

— Więc będziemy zmuszeni... — rzekł pochylnając inny....

— Siedzieć spokojnie — dodał Kordecki — i nie odbiegać od drugich; wiecie bowiem, że ani was puszcze, ani się poddam.

Na te słowa wyrzeczone stanowczo, nie było co odpowiedzieć; chciał pan Płaza mruknąć coś jeszcze.

— Dzwonią do chóru — rzekł szybko przeor — mōdlitwa zbawieniem naszym, nie przerywajcie mi jej proszę.

Poszli tedy jak zmocy, w dziedzińcu czekała reszta szlachty na swoich deputatów.

— A co? — spytali — coście wskórali?

— Dostaliśmy po nosie, nie ma co i mówić więcej, to hetman nie przeor! nie da on sobie rozkazywać. Nie wiem co nas tu wpędziło, a teraz siedzieć mus.

— Ale cóż to będzie? co to będzie? — zawołały kobiety. — Tchórze rozeszli się po cichu.

XLVII.

Nad brzegiem stawu, w kruchym i wątłym jeszcze lodzie, przerąbawszy płonki, Polacy co ze Szwedem byli, a od wojaczki wymówiwszy się spoczywali, łowili sobie rybe na adwent. Nudno bo to było żołnierzowi stać, prochn wachać, strzałów słuchać, Szweda pod nosem mieć, a szabli nie dobywać i nie mieć z kim się potuzać. Tu niby przyjaciele, tam Matka Boska i bracia, a ręce gdyby związane. Nie jeden kłął na czem świat stał, ale głową muru nie przebić; patrzali, ziewali, grali, śpiewali, nie jeden z desperacji opończy otuliwszy się spać kładł, spał noc, zjadł i spał znowu, i spał aż puchł od tego odpoczynku; drudzy włóczyli się po mieszczanach czestochowskich na gawędy, na piwo i miód, na wspólne wzdychanie. I choć to łyżczaki, ale gdy niema do wyboru jeno Szwed albo mie-

szczanin, woli szlachcie mieszczanina, wołałby w ostatku żyda, bo z niemi się rozgadać można.

Otóż kilku z tych biedaków, że to był post, a nie było co robić, dostawszy niewodu w miasteczku, włoków i sieci, poszli do stawu i takie miejsce wybrali sobie doskonałe, że za pierwszym zarzuceniem coś bardzo wielkiego i ciężkiego złowili.

— A jużciż to nie ryb! , kiedy aż niewód pęka! — zawołali ci co ciągnęli.

— Nuż zobaczymy co to! I jak poczęli kijmi, hakami, siekierami borukać się z tym cudownym potworem, aż na wierzch dobyli kilka z koleibeczek sporych dobrze zadnionych, a niezmiernie ciężkich.

Zbiegło się tedy ciekawych dosyć, a tu zaraz i starszyna, nuż zasmolone solanki odbijać. Aż kiedy spojrzą wewnątrz! pateny, vota, monstrancje, kielichy, turybularze, ampułki, srebra kościelne.... popatrzyli i ręce im opadły.

— O! cóżesmy to najlepszego zrobili! dzień biały, a tu Szwed za pasem, szpiega dosyć, co tu począć? Zabrać kościelne, niechże Bóg uchowa! dać wziąć rabusiom nie lepiej, więc co najprędzej chować i ukrywać, nim się Miller dowie.

Tak się też stało, siedli zaraz w kilku na koń, wzięli beczki na wozy i do księdza Rychtalskiego z tą zdobyczą. Na przypadek tylko, co było nie święconego, kilka naczyń zostawili, gdyby się bardzo Miller napierał. aby mu czem gębę zatkać. Ledwie się to stało, a już generał wiedział o wszystkim.

Co to Szwedowi srebro! jak mu powiedzieli o polowie, poleciał zaraz Wejhard na miejsce przysłużyć się co najrychlej, i zapłacić z cudzej kieszeni za wszystkie strapienia. Stał w miejscu, ale tu tylko niewód leżał mokry jeszcze, kilka płotek, troche klepki i wiele traw a muszli dobytých ze dna.

— Gdzie srebra? — rozbiegli się Szwedzi — gdzie srebra? — Srebra? Nikt o nich nie wiedział. Poszli do starszych. potem do towarzyszków, ale srebra, jakby je znów utopił w wodę; nikt powiedzieć o nich, nikt

wydać ich nie chciał. Szwedom znowu przy kwarcianych nie wypadało bardzo chciwemi się pokazać.

Powiedzieli, że Miller dla większego bezpieczeństwa, chciał srebra zabrać na schowanie, ale srebro ani śladu.

Generał pokwaśniał bardzo, posłaniec gnał posłańca, śledzono, pytano, dokuczano, nudzono, nadaremnie; musiał Trupski i Zbrożek zostawione na przypadek kilkaset grzywien, odwieźć Millerowi. Był to łom jakiś, czyjaś ofiara jeszcze nie użyta na potrzebę kościelną, Miller rzucił się na zdobycz, skrzywił gdy ją zobaczył, przecież i tego nie odrzucił.

Wejhard już motał sobie jakieś na srebro projektu.

W klasztorze pan Jaroszewski już był, z polecenia kwarcianych, rzucił kartkę uwiadamiającą zakonników o połowie sreber i skryciu ich w miejscu bezpiecznem; przeor ani się uląkł, ani zabołał, ani zadziwił.

— Srebro — rzekł — to mniejsza, Bóg dał, Bóg wziął, byle oltarz stał nienaruszony.

W namiocie Millera tymczasem osnuwano nową robotę: posłano żądać rozejmu, zakonnicy nań zezwolili, bo radzi byli spocząć, a Wejhard nalegał poddając gwałtem myśl swoją, zareczając, że wyborna i skuteczna, bo wszystkie takie były, póki ich niespróbowano.

— Panie generale — rzekł, myśl trafna...

— Trafna? prosimy o nią.

— Mnisi — mówił żywo niezrażony hrabia — są chciwi nad miarę i łakomi; posłać do nich ofiarując im oddać srebra, jeśli się poddadzą. Będziemy w Jasnej-Górze mieć ich dziesięć razy tyle.

— Istotnie, to może niezgorsza siatka na mnichów, mruknął Miller... Cóż więcej?

— Wymawiają się, że nie mogą przyjąć na dowódzce twierdzy człowieka obcej wiary, a mnie czynią bluźniercą, i dają mi także ekskluzję, więc im J. M. księcia Heskiego proponować. Byle tylko wejść, zrobić się potem co zechce.

— Nigdy hrabiemu nie brak planów — odparł Miller — ale dzisiaj nad wszystkie (uśmiechnął się szydersko). A zatem pokornie im proponujemy: że niecheemy niszczyć miejsca świętego (trocheśmy tylko przez nieuwagę kościoła nadbili), że własności nieruśszym, srebra powrócimy i J. X. M. Hesji uczynimy komendantem. Prawdziwie, jeśli się i na to nie zgodzą, to już chyba..

— Poszaleliby — zawołał Wejhard.

— Jakże chcecie — ze śmiechem rzekł ks. Heski, żeby się poddali, kiedy im się powodzi, i w dodatku mają czary, które staną za dziesięć tysięcy żołnierza!

— Czary! — zawołał rozgniewany Miller — książę to mnie prześladujesz, że i ja w nie wierzę, ale nie sąż to rzeczy niepojęte?

— Rzeczy niepojęte, nie koniecznie muszą być czarami.

— Nigdy wojska szwedzkie takich klęsk, a jeszcze od takiej garści nie poniosły, nie ma dnia, żebyśmy nie mieli zabitych ludzi, koni, zrzuconych dział..

— Jabym był zdania, żebyśmy się im uklonili i poszli na zimowe leże — odparł książę Heski — toby było najrozumniej; królowi Karolowi nie wiele idzie o jeden lichy zameczek nad granicą, a tracić tyle ludzi.

— Ale wstyd mości książę.

— A! wstyd trzeba zjeść! — rzekł książę Heski.

— Niechże go je hrabia, który nas tu sprowadził — odpowiedział Miller.

Wejhard się wymknął śmiejąc, niby nie zrozumiał.

Nazajutrz posłowie znowu, choć jeśli nie pan Kałiński? Już się go w klasztorze obawiali i nudzili nim, ale jak było nieprzyjąć pana starosty, który przychodził *qua* przyjaciel, protektor i pośrednik? Wprowadzono go do celi przeora, podano wina, zeszło się zakonników dosyć. Zamojski pamiętny klótni ostatniej pójść nie chciał, Czarniecki wołał z nim zostać na murze.

Starosta długo smażył przemowę i racje, długo za-jeżdżał z prawa i z lewa wychwalając Millera, wielbiąc Karola Gustawa, unosząc się nad sercem Wejharda, nareszcie *ad rem* przystąpił, a że to był człowiek wysoce ceniący bezinteresowność, bo sam nigdy się na nią zdobyć nie mógł, począł od sreber.

Przeor się z lekka nśmiechał.

— O srebra te — rzekł — jesteśmy spokojni, są one w ręku kwarcianych pod waszem panie starosto dowództwem zostających, nie ulegają więc żadnemu niebezpieczeństwu — nie mogły w lepsze dostać się ręce. To co u Millera, wątpię, żebyśmy zobaczyli, ale mniejsza o to.

— Generał powróci wszystko co do odrobiny.

— Prawdziwie wspaniałomyślność wielka, oddać nam naszą własność! — rzekł Kordecki szydersko.

— Zdobycz — podchwycił starosta.

— Zdobycz kościelną! a! niechże się nią cieszy — nie pierwsza to.

— Ale Miller daje wam przy tem złote warunki, niepodobna, żebyście ich nie przyjęli księżę przeorze. Bójcie się Boga, gubicie się... Dowódcą wyznacza ks. Hesji, własność zapewnia; zapewnia...

— A kto zapewni za Millera? — spytał cicho Kordecki.

— Jakto? i jemu nie wierzycie?

— Patrzcie panie starosto co się dzieje w Polsce, a nie zdziwicie się temu. Wittemberg większy pan i starszy od niego dowódzca, a co zrobił z Krakowem; popytajcie piechoty Wolffa, oni wam powiedzą, jak dochowano przysiąg.

Starosta zawstydzony, westchnął ciężko.

— A! — rzekł — zapewne srogi to los ulegać prawu zwycięzcy, cóż gdy nienchronny!

— Nie mówcie tego słowa — odparł przeor — nie ma niepodobnego Bogu, wierze i zgodzie: wrócim do swoich praw i króla.

— Daj Boże! — zawolał starosta zamyślając się — ale byćże to może?

— Będzie! — żywo rzekł zakonnik.

Zamilkli na chwilę.

— Cóż odniosę Millerowi? — spytał Kaliński.

— Odnieście mu to raz jeszcze, co już słyszał nie raz: zostaniemy wierni królowi naszemu, nasze bezpieczeństwo nas tylko obchodzi, twierdza jest naszą, a my w niej panami. Przy obcej załodze, upadłaby chwała Boża, stawszy się teatrem wojny, przestałaby być Jasna-Góra celem pielgrzymek i miejscem nieustającej czci Matki Boga żywego. Jeśli kiedy do kapitulacji przyjdzie, o czem wątpię — dodał przeor — będziemy żądali dowódcy Polaka i to takiego, którego sobie wybierzymy sami. Co się tyczy sreber, wy najlepiej wiecie panie starosto, że są bezpieczne, bo zostają w ręku Polaków i katolików, a na ich czci i wierze polegamy spokojni.

— Ubolewam nad losem waszym, odezwał się starosta, ale cóż gdy was przekonać niepodobna.

— Tak, niepodobna — powtórzył stanowczo Kordecki — chcemy dać przykład sługom ołtarza i synom kraju tego i umrzeć bodaj za wiarę, za kraj i króla!

— Miller poprzysiągł zdobyć Częstochowę.

— Myśmy przysięgli bronić jej do ostatka, wszystko, nawet przysięgi w ręku Boga.

— Wiecie, że nowych sprowadził górników, że spędził ludzi i minami was wysadzi.

— Niech wysadza! — rzekł przeor spokojnie.

— Klasztor, kościół, domy, wy, wszystko wyleci w powietrze.

— Stanie się jak Bóg zechce — odpowiedział niezłamany zakonnik.

Po tych słowach, widząc, że nadaremnieby pracował, Kaliński klasztor opuścił, a odpowiedź, którą przyniósł Millerowi zdziwiła go i zasmuciła. Nic na nią nie rzekł.

— Do jutra! — szepnął tylko.

Sam pozostawszy, chodził jak zbłąkany; wszystko to co zniósł pod Częstochową — snem — urojeniem, marą mu się wydawało; całe to obłędzenie, zapasy

z garścią bohaterów, usiłowanie marne, bój, traktowanie, miały w sobie tyle cudowności, że nawet zimny umysł jego ją ucałował.

— Czary! — powtarzał chodząc — tak! to chyba czary! to siła niepojęta! tu oszaleć przyjdzie.

Zawolał Cekwartę. — Są ludzie z Olkusza?

— Są generale.

— Dzień i noc robić minę od północy, gdzie wskazano, koło ludzi straż postawić.

— Skala twarda, idzie powoli.

Miller ręką machnął. — Jeśli ludzi mało, dać ich więcej, posłać konnicę, niech spędzą.

— W minie wiele ich razem pracować nie może.

— Rozpocząć razem dwie, trzy, cztery, od wschodu północy, naprzeciw baszty, na węgle, z północy pod kortynę... I tak Cekwarta odprawil. — Mnichy — wołał znowu zostawszy sam — wołałbym żołnierzy..... Odejść i odejść ze wstydem, jeszcze w chwili gdy podobno Polska się poczyną targać w swych więzach. Nie! nie! musimy wziąć twierdzę i w perzynę obrócić świętość bałwochwalców, gniazdo czarowników! Siłą, zdradą, działami, miną, choćby pół ludu tu legło, wezmę Częstochowę!

XLVIII.

Z murów klasztornych widać było przybycie potworne olkuskich górników i domyśleć się było łatwo rozpoczęcia miny; Kaliński też zapowiedział wysadzenie w powietrze, i cały zuów klasztor nowy miał powód przestraszu. Szlachta jednak iść już sama do przeora nie śmiała; lament jej wszakże ciągle było słychać; lada huk wszystkim się zdawało, że lecą w powietrze, niektórzy od północnej strony powynosili się ku kościołowi i bramie, nocy nie dosypiali, a dnie

spędzali włócząc się jak obłąkani po najdalszych podwórzach.

Miller nasyłał jeszcze ciurów z polskiego obozu, żeby załodze w uszy krzyczeli podchodząc pod mury: Jeśli się nie poddacie do dwóch dni, klasztor z wami wyleci w powietrze.

Była narada jak dodać odwagi i uspokoić biednych, ale Kordecki innego nie znalazł środka, nad swój zwyczajny — wiary i zgody!! Zamojski, któremu laury pana Czarnieckiego nie dawały spoczynku, enigmatycznie się tylko odzywał:

— Poradzi się na to jutro!

— Jak? — pytał niespokojny pan Piotr.

— Pozwólcie niech to do jutra przy mnie zostanie, i spuśćcie się na mnie....

Przeor zezwolił, Czarniecki kwaśno przyjął tajemnicę, ale cóż było robić z upartym miecznikiem: pokreślił wąsa i westchnął.

Tymczasem od rana dnia następnego, Kordecki nie mógł się pokazać w podwórzu, żeby go nie otaczali z błaganiami, prośbami, łzami. Łatwo mu było odepchnąć szlachtę dumnie przemawiającą do niego, ale co poradzić z płaczącymi? O brzasku wyszedłszy z Janitorjum zastał już zgromadzone umyślnie wszystkie kobiety, a na ich czele panią Jaroszewską z małym synkiem na ręku. Napad ten niewieści widocznie go zmieszał, a tu już kołem opasały go żony, córki i powinowate szlachty zgromadzonej w twierdzy.

— Ojciez przecrze, nie gub nas i dzieci naszych! Szwed miny podsadza, zginiemy wszyscy!! Płacz rozległ się po podwórzu.

Staował Kordecki jakby czyjej pomocy wzywał.

— Moje dzieci — rzekł do pani Jaroszewskiej — czy słyszeliście kiedy, żeby nieprzyjaciół mocny, gdy na co począć, wprzód tem straszył? Sami to pomiarkować możecie, że właśnie dla tego, iż nas Szwed minami straszy, widać podsadzić ich nie może. Stwardnieje mu opoka za łaską Orędowniczki naszej, opa-

dną ręce, odejdzie ze wstydem. Nie trwóście się, nie płaczcie, nie obawiajcie! Więcej mężstwa matkom i córkom polskim mieć należy, więcej odwagi pod płaszczem Częstochowskiej N. Panny.

— Zginiemy! zginiemy! — jęczały wszystkie.

— Myślicie, że poddać się bezpiecznie? — mówił Kordecki — spytajcie tych co Szwedom zawierzyli. Ani o siebie, ani o dziatki spokojne byście być nie mogły, ani o mienie wasze, ani o mężów; dziękujcie Bogu, że wam dal schronienie, módlcie się, a do spraw naszych nie mieszaćcie, proszę, zostawcie nam ten kłopot. — To mówiąc przeor uszedł szybko i rzucił kobiety w lamentach i niepokojach, a szlachtę co za murami stała i czekała odpowiedzi, w zamieszaniu. Wszyscy się powoli rozeszli narzekając.

W klasztorze widocznie coś tajemniczo się przygotowywało: pan Czarniecki bardzo niespokojny oglądał się, przewąchiwał, zrozumieć nie mógł, bo o niczem nie wiedział; a tu ludzie biegali, przyrządzali broń, czyścili broje, szeptali między sobą.

— Co to u licha? — mówił do siebie — czy już i mnie wyłączają nieufni? coś się gotuje. Zobaczymy przecie... a bezemnie! bezemnie!

Zamojski czegoś niesłychanie wesół, z twarzą jasną jak słońce biegał i związał się cały ranek, odziany, opiety pancerzem, w czepcu od hełmu, w drócianej koszuli; schwycił go przecie na drodze oburącz pan Czarniecki, bo już dłużej wytrzymać nie mógł.

— Panie Mieczniku — rzekł — dość już tego, wczoraj coś mi cedziłeś przez zęby o dniu dzisiejszym, dziś widzę jakieś aparaty do czegoś, i nic nie wiem. Pókiż to tego będzie? czy już i mnie nie wierzycie, a to się pogniewamy doprawdy, co u licha?

— Kochany panie Pietrze — odpowiedział uśmiechając się Zamojski — wszystko byście chcieli zrobić sami, dozwólcież i mnie coś obmyślić i począć, mnie się także chce pokazać, że ja tu nie darmo jem chleb częstochowski.

— No! a ja to będę stał z założonemi rękami, przecieżbym się na coś może zdał?

— Chcecie żebym wam powiedział, tać się nie myślę — ale z góry powiadam, że wy musicie w twierdzy pozostać!

— O! a wy to się kędyś wnosicie, patrzajcie!

— Ja robię wycieczkę.

— Jakto? o białym dniu?

— O dniu białym — tryumfując nieco rzekł Zamojski i podnosząc głowę wysoko, jakby mówił: — A co widzisz waszeć com zacz!

Czarnecki widocznie pochmurniał, głową potrząsł, wasa pomiętosił.

— I ksiądz przeor wie o tem?

— Dotąd nie, myślę że byłby przeciwny, dobrałem sobie odważnych ludzi kupkę, i z południa myślę wyskoczyć.

— Tak! — powtórzył kilka razy Czarnecki — i bezemnie!

— Przypomnijcie-no sobie, czemuście mnie także z sobą nie wzięli, moge zginąć, na was cała obrona klasztoru, niepodobna żebyśmy szli oba. Bądźcież sprawiedliwi, wy swoje już zrobiliście, niechże i ja skosztuję szwedzkiego mięsa.

— Tak! tak! ani słowa — niechętnie mruczał pan Piotr — Ślicznie obmyślano! są racje, ale ekskludować mnie od tej uczty, panie Mieczniku, nie po kawalersku! nie! — Pomimo, że Czarnecki był chmurny, uściłali się jednak.

— Daruj Panie Pietrze, nie gniewaj się — mówił Zamojski — wy to najlepiej wiecie, co to za męka siedzieć tak, patrzeć na Szweda, a nie ruszać się; wy swoje zrobiliście.

— Ba! kiedy to co było — zawołał Czarnecki — a w dodatku robiłem wycieczkę po nocy, wykradliśmy się jak złodzieje; a tu po dniu! Aj! aj Mieczniku! djabelnego spłatałeś mi figla, a ja głupi żem się nie domyślił. Ale stało się.

Zamojski zacierał ręce i śmiał się ochoczo, a taki był rad, że drżał jak dziecko, któremu nową pan rodzic przywozie zabawkę; za to pan Piotr chodził zasępiony i urazony, choć się z resentymentem ukrywał jak mógł.

Nadszedł przeor i bystrem okiem zmierzył obu.

— Co to panie Pietrze, tak kuso poglądacie mi coś, a pan Miecznik czegoś się śmieje.

— Wielka rzecz! bankiet sobie sprawia i nie lada! a nikogo nań nie zaprasza! Cała moja nadzieja, że mu to ksiądz przeor z głowy wybije.

— No! cóż to takiego?

— Popytajcieno, co zamyśla!

Zamojski już sam podstąpił do Kordeckiego.

— Ot figielkam spłatał panu Czarnieckiemu; je-muby się chciało wszystko samemu pomyśleć i zrobić, a tu coś się uplotło bez niego, kwaśno tedy przyjął. Ale na rany Chrystusowe! nie trzeba być tak zazdrośnym!

— Ależ ja o niczem nie wiem — spytał przeor niespokojny.

— Cała rzecz, dłużej się z tem tać nie ma czego; dziś z południa robię wycieczkę na Szwedów; ludzie gotowi, obmyślano wszystko; wpadniemy jak piorun na zajętych około miny, dopadniemy może dział, żeby je zagwoździć jak pan Czarniecki; co się nawinie nasieczem i powrócimy.

Kordecki stanął zdziwiony tą myślą tak śmiałą, a Czarniecki ciągle powtarzał z cicha:

— Licho go nie wzięło! po dniu! po dniu.

— Ale to niebezpieczeństwo wielkie, waćpan zginać możesz i ludzi potracić — zawołał przeor.

— Napróżnobyście mnie od tego odwodzili, rzecz gotowa, obrachowana i stanie się jak mówię. Szwedzi nie spodziewają się wcale; zobaczycie że się uda; pójdzie jak z płatka.

— Ej Panie mieczniku zastanówcie się.

— Zastanawiałem się i zrobię.

— A w dodatku! — odezwał się pan Piotr, i mnie z sobą brać nie chcą!

— Nużbyśmy oba zginęli lub w niewolę byli wzięci, któżby został do pomocy księdzu przeorowi?

— Obu nie puszczyć! — przerwał stanowczo Kordecki — to daremna rzecz!... dość i jednego narazić! ale zlituj się mieczniku, miarkuj!...

— Wymiarkowane!...

— A nuż Szwedzi?

— Proszę mi serca nie odbierać — przerwał Zamojski — żebym też i ja wycieczki nie zrobił! Dość siedziałem za piecem.

Przeor podniósł oczy, westchnął i z rozczuleniem uściśnął Zamojskiego.

— Niechże cię Bóg prowadzi, kiedy natchnął — odezwał się — czemuż Polska niema więcej takich synów! Zdaliiby się na te czasy zwątpienia i obojętności! Niestety! wyście tylko wyjątkami!

Zamojski przerwał rozczulenie i wykrzyknik!

— Panie Pietrze, wy działa wykierujcie dobrze zawczasu, a jeśliby się za nami pogoń puściła, przyjmijcie ją gościnnie nie żalujcie prochu.

— To się rozumie — odpowiedział Czarniecki — ale wam taki darować nie mogę, że mnie z sobą wziąć nie chcecie.

— Panie Pietrze sam widzisz, że to niepodobna.

Mówili jeszcze, a pan Zamojski w cichości lud swój zbierał, oglądał, rozkazy dawał, krzątał się. Nie wiedzący o niczem szlachta patrzali z podziwieniem, nie mogąc pojąć na co się to przysposabia.

Około południa, furta od strony wschodniej dobrze w fossie ukrytą i kamieniami zawaloną, wyprowadzono naprzód przeszło stu piechoty, różnego ochotnika, do przekopu. Zamojski czekał żeby Szwedzi objadować się: nieco się od murów oddalili za baterje swoje. Gdy się to stało, bo nic nie domyślając się, zwolniwszy ognia, który żywy, dla niedostatku prochu i długo utrzymywany być nie mógł, rajtary i piechota cofnęli się do obozu. Nastąpiła zwykła chwila spoczynku.

Zamojski wzięwszy na siebie świętości, zstępował ku przekopowi, a tu na niego nzbrojony już czekał syn i pani miecznikowa. Pożegnanie ich krótkie, rozczulające było mocą duszy obojga. W milczeniu pocałował w czoło miecznik swoją Teklusię i z wesołą twarzą rzekł: — Bóg z nami, moja jejmość, nie traćcie serca, kogo chce Wszechmocny ocali, a przede-wszystkiem powinność!

— Niechże Bóg uchowa, żebym cię od niej miała odwozić, panie Stefanie — odpowiedziała matrona z mężką dumą odwagi — żal mi tylko, że z wami niebezpieczeństwa podzielać nie mogę. A jednak, pamiętaj jegomość, że masz żonę i syna... nie zapędzaj się zbytecznie. I tu jesteś potrzebny i wszędzie.

Łzy puściły się z oczu żony i matki, żegnała męża i syna, dwie najdroższe na ziemi istoty; w rękę trzymając krzyżyk z partykułu drzewa żywota, żegnała nią i drżała błogosławiąc obu.

— Nie narażajcie się zbytecznie, nie narażajcie panie Stefanie — mówiła nieco przerywanym głosem, łkając a starając się ukrywać łzy swoje. Jegomość pilnuj Stefanka, on jeszcze młody i niedoświadczony. Niech was Bóg strzeże, błogosławi, prowadzi i przyprowadza, w Imię Jego święte.

To mówiąc miecznikowa, upadła na kolana schylając głowę i modląc się. Zamojski w milczeniu przestąpił furte, a przeor błogosławił Imieniem Boga Abrahama i Jakóba.

O! trzeba było widzieć ten obrazek prostej a wielkiej piękności, te modlitwy i męztwo niewiasty, twarz jasną a rozrzuwnioną przeora, poważne lice miecznikowej, zapalem wrące oczy Stefanka, czoło bohaterskiego wodza, i łzawe wejrzenie poczciwej kobiety co wszystko najdroższe ofiarowała Bogu, nie śmiejąc cofnąć swej ofiary jednym głośniejszym westchnieniem — trzeba było widzieć obrazek ten ciasną ramą maleńkiej furty zamknięty, przed oknem widzów skryty, by pojąć jego uroczystą powagę.

Pau Czarniecki stał na uboczu i powtarzał w pół gniewnie, w pół radośnie: Po dniu! po dniu! Podszedł muie niegodziwie, ale oddam za swoje, zobaczymy!

Łatwo wyobrazić sobie można, z jakim niepokojem wszyscy od furty wstąpili na mury.

Najmężniejszy z obrońców Częstochowy szedł się mierzyć z tysiąc razy silniejszym nieprzyjacielem, w jego paszcze się rzucając z bohaterską odwagą! Przeor, Miecznikowa, wszystka szlachta wyjęciu przytomna, skoczyli na blanki patrzeć i modlić się na ich intencją. W kościele *sub tuum praesidium* przed ołtarzem śpiewano. Czarniecki już działa ustawiał, puszczarzy napędzał, nabijał, celował i poglądał okiem pełnem zazdrości i chciwego męztwa.

Pędem lecąca ukazała się garść Polaków na drodze; droga była pusta, w cichości wystąpili niepostrzeżeni pod samą baterją nieprzyjacielską, która milczała; Zamojski szedł na przodzie, syn obok niego. Gdy już byli blisko dział, pani miecznikowa niemogąc znieść tego widoku, prosiła by ją odprowadzono do kaplicy.... Przeor nie schodził z murów.

Zamojski dobywszy się z przekopu, co sił w ludziach było poskoczywszy na baterję węgla wschodniopółnocnego, przypadł do niej nim Szwedzi leżący za szansem zobaczyli go; i zleciał im na kark jak piorun. Nagle krzyk dał się słyszeć aż u murów, bo już piechota jasnogórska rąbała i siekła, a część jej zaraz pod wodzą miecznika oddzieliła się na Olkuszan u miny robiących. Młody Zamojski został przy baterji, którą na prędko zagważdżano, odrąbując się Szwedom w niewielkiej garści tu pozostałym. Ale już i w obozie dalszym postrzeżono zamieszanie, posłyszano strzały, ruszyli się zewsząd Szwedzi.

Tymczasem gdy syn działa gwoździ, miecznik do miny doskakuje, biedne ludziska na kolana padli zobaczywszy go.

— Myśmy zmuszeni, my katolicy! — zawolali.

— Szwedów tylko bić! — krzyczał do swoich Zamojski — ci są niewinni, to nasi! Do domu uciekajcie! — rzekł do górników — nie pomagajcie przeciwko swoim!

Kilku warty szwedzkiej co tu stała, zaraz przybito, a miecznik rozpędziwszy Olkuszan, szybko zawrócił się do baterji przy której syna zostawił: a tu już wrzask i krzyk i wrzawa w obozie ogromna, wiadać oddział konny od miasteczka Częstochowej siadający na koni, trąby grają wściekle; czas zawracać!

Nim się tam pogoń wybrała, bo koni posiadłanych nie było, miecznik całym swoim oddziałem odepchnął Szwedów od ich szanca, i pogonił za nimi z odwagą zuchwałą, drogą ku obozowi, od miasteczka do wsi wiodącą. Był to zapęd niebezpieczny, ale się też wkrótce opamiętał Zamojski, bo i jazda ukazywała się w dali; zawołał do odwrotu swoich, i spojrzawszy na nich (jednego mu tylko brakło) poprowadził nazad. Żywo potrzeba było spieszyć ku przekopom; jazda gonila cwałem, ale gdy się Szwedzi zbliżyli na strzał działowy, Czarniecki kazał dać ognia w ten kłębek, i musieli się przyzastanowić, bo szyk się zmięszał i kilku z koni spadło. Żołnierze zaczęli po swojemu wołać: Czary! czary! a rajtary nie myśląc już gonić Zamojskiego, kręcili się jak opętani pod strzałami twierdzy.

Wycieczka była widocznie ocalona; przeor Bogu dzięki składał; po chwili wszyscy żołnierze w przekopie się skryli.

Szwedzi w początku nie mogli się opamiętać ani pojąć co się to stało, ani zrozumieć tego zuchwalstwa ze strony obłożonych.

Miller był u stołu, gdy mu tę wieść przyniósł zraniony puszkarz. Obaczywszy go w namiocie, rzucił nóż generał, zerwał się i jakby się czegoś już spodziewał, zawołał:

— Znowu coś! Co to jest?

— Zaloga klasztorna wypadła na baterję... pocięto

nas, zagwożdżono działa, ubito ludzi kilkunastu, i rozpędzili górników od miny.

Wszyscy osłupieli.

— W biały dzień! wśród nas! wpadli! to być nie może! poszaleliście, krzyknął Miller, osowiałym wzrokiem wiodąc do koła. Wszyscy ruszyli się od stołu i kto żyw dopadł konia. Miller kazał go sobie podać także, i czwałem na miejsce wycieczki popędził. Tu tylko ślady pozostały zwycięskiego przejścia miecznika. Dwa wielkie działa zagwożdżone były na nic, mnóstwo broni stojącej w kozłach, ile dźwignąć mogli, zabrali; trupy pobitych leżały niektóre jeszcze z łyżkami w garści, inni z połamanymi szpadami. U miny straż wszystka pobita, Otkuszan ani śladu.

Millerowi jakby mowę odjęło; jeździł, patrzył, oczom nie wierzył, powracał nazad, jechał znów, nareszcie milczący skierował się ku swemu namiotowi.

Namiot wodza stał przykryty nieco pagórkiem, ale nieopodal od twierdzy; w wycieczce swej Zamojski dokładnie o jego położeniu powziął wyobrażenie, i za ledwie hełm zdjął z uznojonej skroni, pobiegł zaraz do Czarnieckiego.

— Panie Piotrze — rzekł — widzicie ten spadek pagórka!

— A co? widzę... odparł Czarniecki

— Tam powiewa chorągiew i stoi namiot Millera, dobrzeby choć spróbować dać mu dobry wiecór...

— Masz mieczniku racją...

Zawołali puszkarzy, meta trochę była daleka. Tymczasem generał wracał gniewny do namiotu, gdy się to działo na murach; nagle jakiś szal go porwał; kazał zebrać pułkowników, zmusił się do śmiechu i weseła, ponalewał becherki i zawołał:

— Na zgubę śmiałków! to dzieciństwo! zobaczmy jak skończy! Prochy i broń nową Wittemberg nam posyła, lada dzień mi nadejdą, weźmiemy się do nich inaczej. Czary nie czary, damy im radę przecie. Za

zdrowie Karola! na zgubę Jana! piję vivat zdobycia Częstochowej!

Wszyscy podnieśli kielichy do góry, vivat* rozległ się hałaśnie; gdy wtem wystrzał działowy, jakby mu odpowiadał, zagrzmiął i cały namiot pochylił się i padł na zebrane towarzystwo. Kula klasztorna dobrze skierowana uderzyła w róg jego.

Przestrach był ogromny, ucieczka pierzchliwa i bezładna, rzucono kielichy, przeskakiwano ławy i wszyscy pod wodzą Millera pobiegli ku miasteczku, tak zwinnie i chyżo, jakby im lat odjęto, a sił dodano. Miller obłąkany, kłął straszliwie.

Zbrozek i Komorowski, którzy tam byli, choć się także ulękli, śmieli się w duszy ze strachu Szwedów i pośpiesznej ich ucieczki... Nie opamiętała się starszyzna aż o paręset kroków od namiotów.

Generał zbłądły, rozjątrzony, milczał zaciąwszy sine usta.

Jakie wrażenie na wojsku uczyniły te wypadki, nie potrzebujemy opisywać; żołnierz znużony leżeniem pod twierdzą, myślą jakiejś potęgi nadludzkiej przyniesionej, zwątpił o sobie i narzekał. Zdrętwieni i zrospaczeni Szwedzi poglądali na trupa, którego miecznik położył, i zdawali się mówić do siebie oczyma:

— Taki los nas wszystkich.

Starszyzna, której najwięcej ginęło, bo chcąc dać przykład najśmielej się posuwała, sama już nie mogąc pojąć klęsk swoich, traciła ochotę i odwagę. Wszyscy wyglądali rychło im pozwolą się cofnąć, nie tając jak tego pragnęli.

Zdawało się bowiem niepodobieństwem zdobyć Częstochowę, której niepojęte, niewidziane broniły zastępy. Pod namiotami Finów, dzieci chmurnej północy, o niczem nie mówiono tylko o czarach mnichów, które dziwne przybierały postacie w oczach zlekniętego żołdaka. Siłą prawie pedzić ich było potrzeba pod mury; a po dzisiejszych wypadkach, taki opór pokazał się w wojsku, tak głośnie szemrać poczęto o daremnych stratach, że Miller dalsze kroki zaczął do dwóch dni

zawiesił. Przyczyną tego był także w części niedostatek prochów. Wielkie działa, które przyszły bez zapasów, wprędce wyczerpnęły amunicję Millera; potrzeba było oszczędzać, póki by Wittemberg nie nadesłał z Krakowa. Położenie Szwedów, pomimo wyższości ich sił, było przykre bardzo; sama mnogość żołnierza, którego użyć razem było niepodobna, stawała się ciężarem; wioski okoliczne z trudnością wyżywić mogły, zima doskwierała, przestrach codzień się szerzył.

Chodziło o to, jak się cofnąć bez wielkiego wstydu. Miller jeszcze tego nie przypuszczał, choć już inni wiedzieli że na tem skończyć się musi; Wejhard nawet zamknięty w swoim namiocie, gniewny, smutny, milczał i wzdychał jakby go zgryzoty męczyły.

Na ostatniej radzie, książę Heski, Sadowski i polacy głośno wynurzyli dowódcy, że wypadło się cofnąć i ustąpić, ale ofuknął się groźnie:

— Nie! nie! nie pójdziemy ze wstydem! oczekuję prochów, sam powiodę do szturm, i zdobędę ten kur-nik przeklęty! muszę go zdobyć i zniszczyć!

Wszyscy zamilkli, rada się rozeszła.

XLIX.

Dwa dni następne nplynęły spokojnie, Szwedom dowódcy dawali folge, dla wzmocnienia ich spoczynkiem do nowych trudów; klasztor gotował się do obrony. Przerażona tylko szlachta, którą nowe nawet powodzenie oręza natchnąć duchem męstwa nie mogło, szerzyła między sobą marne baśnie, to minami grożąc, to w samem Szwe-da milczeniu i spokoju widząc powody do obawy, i oznakę nowych przygotowań.

Przeor postanowił nic nie widzieć i nie słyszeć; wyraźna opieka Boża nad miejscem świętem napelniała go otuchą i nadzieją; wreszcie prosty rozsądek wskazywał, że Szwedzi zbyt grożą, by istotnie straszni być mogli, a zima odpędzić ich musi. Spodziewał się Kordecki odstąpienia ich rychłego i spokojnie nań czekał.

Wieczorem pierwszego dnia po wycieczce, był to 21. Grudnia, stara żebraczka, która od dni kilku nie ukazywała się w klasztorze zastukała znowu do bramy i wpuszczona pospieszyła do przeora, który stał niedaleko z zakonnikami, naradzając się o podziale żywności, już poczynającej braknąć.

— Ojcie dobrodzieju, odezwała się biorąc go za poję płaszcza, a to o com prosiła?

— O cóżś to prosiła, stara słuگو Matki Boskiej?

— A, o to biedne dziecię zginione.

— Przyznam ci się, żem zapomniał.

— Kaźcie ojcie śledzić panią Płazinę, ona w kon-szachtach z Krzysztoporskim, ona pewnie wie, co się z tą dzieciną stało.

— Niechno, niechno moja stara, teraz mamy cięższego coś na głowie, rzekł przeor, jeśli tylko odkradziona a schowana, odkrywemy to biedactwo, ale dziś ciężko o tem myśleć.

— Ale to biedactwo cierpi! zawołała Konstancja.

— Na panią Płazinę tylko porozumienie, dowodów nie ma; wiecie, że szlachta i tak nie ochotna, woła na nas o pomstę do nieba, że się nie poddajemy; trudno tak na oślep sznukając, do reszty ją drażnić. Da Bóg, że się to wszystko skończy, a rozjeżdżać się zaczną, dopilnujemy żeby jej nie uwieźli.

Konstancja nie śmiała nic odpowiedzieć, pokiwała głową, pocałowała suknię księdza przeora i odeszła wprost do Krzysztoporskiego; tu siadła na wschodkach i zabierała mu się dokuczać, ale ledwie usłyszał jej: Dobry wieczór panie Mikołaju! natychmiast się ukrył. Stara nśmiechnęła się.

— Uciekł tchórz! szepnęła i poszła.

W dziedzińcach nie było kątka, którego by pod jakimś pozorem nie zwiedziła; stała u okien Płazinej, badała górne okienko, podsłuchiwała rozmów, wreszcie pod pozorem jałmużny poszła do Zamojskich. Młody Stefan wyniósł jej mały datek.

— A co paniczku? spytała go, a co? nic nie wiecie nowego?

— Z oka nie spuszcza poddasza, odparł młody chłopiec, że tam ktoś mieszka to pewna, bo często na szybie rozchuchane do patrzenia widać kółko; Płazina chodzi na górę dwa, trzy razy co dnia, zawsze sama, nigdy nie pośle nikogo... Hanna być tam może!

— Jaby to zaraz przeorowi powiedziała, bom go i tak prosiła, żeby Płazinę strześli, smutnie odezwała się żebraczka, ale cóż? on teraz o tem nie myśli. Boję się ich inaczej płoszyć, żeby dziecku, jeśli tam jest, co złego nie zrobili... Trzeba widzę czekać! a Krzysztoporskiego nie widzieliście u niej?

— Owszem, chodzi on tam, ale na krótko i to po nocy; we dniem go nie dopatrzył.

— Mówił mi i ksiądz Mielecki, że się czasem wymyka o mroku, bo go także pilnuje... Bóg dobry, może uratujemy! Ale czekać a czekać! a tu taki strach o to biedactwo!

Aż tu i miecznik nadszedł; stara jak go zobaczyła, żywo się chciała usunąć, ale pan Zamojski zobaczywszy ją zawołał:

— A to ty moja starucho! dobrze żeś przyszła, dawno się gotuję na jałmużnę dla ciebie, boś wierna i pocziwa sługa Matki Boskiej; wiele ci za knie winniśmy, a odważna, że nie jeden wásacz pozazdrościć ci może. Poczekajże..

— Dziękuję panie mieczniku, dziękuję, jam na jałmużnę nie łasa, strawę mi tu każą dawać; kawał chleba, to jeszcze, a grosz mi na co? Łachman siaki taki grzbiet okrywa, nie głodnam, pocóż darmo nosić i chować pieniądze? Dajcie biedniejszemu, tym co sami nie wiedzą na co grosza pragną, a mnie na co?

I rozśmiała się po dawnemu, dziko i niby wesoło.

— Sługa Matki Boskiej, sługa Matki Boskiej, albo to ja od królów i panów nie bogatsza u takiej pani? Na co mnie grosz? kiedym pod jej opieką. Już posagu nie zbiorę i za mąż nie myślę, chybaby się coś osobliwego trafiło, chan tatarski, albo królewicz chiński, a tak za tę hołotę senatorów i hetmanów, co się o mnie starają, pożał się Boże służbę opuszczać.

Miecznik się uśmiechnął.

— Cóż ty za jedna? spytał.

— Zachcieliście? odpowiedziała, szął już udając, jakem się rodziła nie pamiętam, młodości chciałabym zapomnieć, a mówić o niej nie warto, starszy wiek zszedł jak z bicia trząsł, a na kościane lata takim sobie dobre miejsce dostała u progu kościoła, że już lepszego nie chcę, chyba na smętarzu...

I rozśmiała się znowu.

— Nigdzież nie masz znajomych, krewnych coby cię przygarnęli?

— A na co mnie oni? alboż to mi źle myślicie? Krewni nie przyznają się do żebraczki, bo w węzelku pusto, na łasce żyć, to wolę na Bożej niż na ludzkiej, do końca zdaje mi się niedaleko — u mojej pani służba dobra, widzicie żem wesola i rażna...

To mówiąc jakby na umyślnie wzięła się w boki, podgarnęła nieco sieraka i poskakując zaczęła śpiewać:

Jestem sobie Małgorzata
Mam pieniążki w każde lata...
Jestem sobie gospodyni,
Pełno u mnie gęsi w sieni...
Mam pieniążki, mam i dworek,
Mam i łączkę, mam i borek.
Jestem sobie gospodyni,
Pełno u mnie dusiów w skrzyni...

Dwa dni nieprzerwanej ciszy długimi się wydaly obłączonym; wśród nieuchronnego niebezpieczeństwa, straszniejszem może nad nie, jest niepewność i oczekiwanie. Co chwila zdawało się bojaźliwym, że w powietrze wylecą, inni obawiali się, żeby ich nie poddał spisek jaki; szturm niespodziany lub opanowanie bramy.

Przeor i starsi miarkowali dobrze, że rozejm ten był oczekiwaniem na coś braknącego Szwedom, radzi go byli zerwać, a nie śmieli, bo i na swoje zapasy prochu, saletry, siarki i kul oglądać się musieli. Tymczasem codziennie ubywało żywności, a zapas jej nie był zbyt wielki; szczęściem adwent i niedostatek, przy pobożnych zwyczajach ojców naszych, zwykłych obchodzić się małym pokarmem przygotowując do uroczystego obchodu przyjścia Zbawiciela, łatwiejszym do zniesienia czynił.

Stół zakonników i racje obłączonych były coraz skromniejsze; trochę suchej ryby, chleba czarnego, oleju, warzywa, czasem szklanka miodu lub piwa, cały składały posiłek. Nikt się na to nie uskarżał; przeor tylko zaglądał do składów i spiżarni błogosławiąc a rachując, na ile to co Bóg dał wystarczyć może. Wiara tego człowieka była tak wielka, iż nie wątpił o rozmnożeniu cudownem chleba i ryby, jak gdy lud karmił Chrystus na puszczy. Nie frasował się zbyt, jakby przeczuć wiedziała dusza jego prorocza, że Bóg nie dopuści ostatniej z klęsk... głodu.

Nic go zachwiać, nic zachmurzyć i przerazić nie mogło, odpychał zwątpienie od siebie i od drugich. Jednemi zawsze wielkimi słowy, wiary i zgody! I tak był pewien ocalenia, jakby oczyma swemi oglądał je wprzód niż się spełniło. Nikt w tym względzie nie dorównywał jemu. Wszyscy mieli chwile zwątpienia, bóleści, wszyscy mieli godziny słabości, on jeden od nich był wolny; a jeśli go dotknęły, to wnet gorącą modlitwą i pokorą odpędzał grzeszne strachy i korzył się u krzyża, który nań zlewał pociechę i mięztwo. Przyciśnięty, ratował się pieśnią do Ducha świętego,

a nim ją ukończył, zbroja okrywała piersi, pogoda wyjaśniała czoło.

Tego bohaterskiego stanu duszy jego nic zmienić nie potrafiło, czas nawet, który kruszy ludzkie postanowienia, rdzą niepowodzeń powolnych, czas zdawał się go zbroić i wzmacniać. Więcej czuł obawy w początkach samych, dziś tyle przetrwawszy, już o niczem nie wątpił, czuł cud i wierzył weń.

Ale obok niego oprócz dwóch wodzów nieustraszonych także, rozgrzanych walką; w której życie zaczerpnęli, prócz garstki wiernych, reszta codzien traciła siły, codzien potrzebowała wiania ducha nowego. Nawet księża, przy codziennym bezpośrednim wpływie Kordeckiego, wytrwać z nim nie mogli; wsparci na chwilę, upadali, wstydzili się, podnosili i na wiarę zdobyć nie umieli. Nieustannej tu potrzeba było pilności, czuwania, by nie dać się nigdy wzmódz tym panicznym strachom, ciągle je przerywać i gasić. Przeor pracował w pocie czoła, w bólu serca walcząc ze słabością ludzką. I nie rozjątrzało go to, ani gniewało, bo serce jego nie znało gniewu nigdy, litość w niem zastępowała to uczucie; okazywał surowość gdy jej było potrzeba, ale nie czuł niechęci, znużenia, niecierpliwości. Z słodyczą anielską rozpoczynał to dzieło Penelopy, co rano dokonane, co nocy sprute na nowo. I praca była bez końca! Z jednej strony potrzeba było nieustannej odwagi, z drugiej cierpliwości nieustannej.

Takie było wielkie dzieło Kordeckiego.

Trzeci dzień miał się ku wieczorowi, przeor był w swojej celi na rozmyślaniu, gdy pierzechliwa szlachta wpadła, oznajmując mu przybyłe z Krakowa posiłki szwedzkie.

— Ojczy przeorze zgineliśmy, zawolali cisnąc się tłumnie, wozy idą z Krakowa, prochy, broń, posiłki dla Szwedów!

— Cóż tedy dzieci moje, spytał łagodnie, a nie wi dzieliście, czy idzie tam im w pomoc hufiec aniołów, zastęp cherubinów, potęga Marji, jak nam?

Szlachta zastygła na tem zapytaniu.

— Ludzkie to sily, kończył przeor, a mieliście czas przekonać się, że tych się nie obawiamy.

Słowa Kordeckiego padły grochem o ścianę, nie ma ucznia coby się łatwiej rozbudzało, zaraźliwsem było, i żywiej się rozszerzało, nad strach; jest to płomień co w chwili obejmuje czego dotknie, żelazni tylko i kamienni opierają mu się ludzie.

Szlachta gdy przeor wyszedł, poczęła biedz za nim, przed nim, chwytając go za ręce, za poły i powtarzać:

— Ojczy przeorze, zginęliśmy! zginęliśmy!

Napróżno Kordecki cieszył ich, uspokajał, upewniał, nie było sposobu; dopiero gdy wyszli na podwórze, a Zamojski to obłożenie zobaczył, huknął na tchórzów surowo i umilkli.

Drogą od Krakowa, od Olsztyna szły istotnie długim szeregiem wozy ładowne, jak sądzono — z prochami i bronią. Czarniecki pierwszy je zoczył zdala i gotował się, gdyż droga przesuwiała się na wystrzał działowy, przyjąc je ogniem i zniszczyć choć w części; ale nim wozy doszły do miejsca, gdzie kule dosięgnąć ich mogły, zrobiło się tak ciemno, że musiano myśli tej zaniechać.

Przeor stał długo na murze, spokojnie się temu przyglądając, gdy gęstym już mrokiem postrzeżono pod mur podkradającego się żołdaka — poznano pana Jacka Brzuchańskiego. Pocziwy mieszczanin, pomimo że już raz wpadł był w ręce Szwedów i ledwie się z nich wywikłać potrafił, przyniósł w woreczku trochę ryby, a na strzacie włożywszy list jakiś, wystrzelił nią pod nogi przeora. Ten łuk go zgubił.

Szwedzi, którzy łuków nie mieli, poznali po nim szpiega i rzucili się nań, nim miał czas łuk złamawszy i opodal cisnąwszy, uciec. Znowu więc schwycony został, a Kordecki tak się tem zgryzł i przeraził, że długo po list u nóg leżący nie sięgnął.

— Niechże go Matka Boska broni! zawołał, bo wierne i pocziwe człeczysko, poświęcał się i poświęca dla nas... ale biada mu, jeśli go zawiodą do generała!

— Każemy hakiem zdjąć rybę, którą nad fosą położył, rzekł Zamojski, dobra i to, a co za niego, można wcześniej *Requiem* odśpiewać.

— Nie! nie mówcie tego, z pewną mocą i przekonaniem, odparł Kordecki, okupim go jeśli potrzeba, klasztor nie opuści sług swoich, Szwed da się ułagodzić pieniędzmi; będzie wolał trochę srebra nad jedno życie, a Matka Boska ma go dosyć na okup sług swoich.

List wystrzelony przez Brzuchańskiego, niepomysłne zawierał wieści: oznajmował, że Szwedzi przybyciem prochów wzmocnieni (wiedzieli o nich od rana) gotują się na nową napaść, że straszne przygotowania robią się w obozie, że ze wsi i miasteczek okolicznych ściągają drabiny, budują maszyny, gotują belki zębate, mnóstwo kul, granatów, sznurów i pocisków smolnych przysposabiają.

Zaledwie list ten półgłosem odczytany został, a już cała twierdza wiedziała o nim, choć go się starano utaić; ktoś podsłuchiwał deliberujących, dał znać zakonnikom, obudził szlachtę i tak niespokojną i zawieruszył klasztorem. Ledwie przeor zostawiwszy na murze dowódców czyniących przygotowania na wszelki wypadek, przestąpił próg celi, wtoczyli się za nim zakonnicy i szlachta, po krótkiej wrzawliwej naradzie w refektarzu. Przeor wiedział zawczasu z czem idą, cierpliwie wysłuchiwał racyj powtarzanych wielokrotnie, ale kilka tylko słów odpowiedział na nie:

— Odpowiedź dawna służy i na dziś, rzekł, próżne naleganie wasze, twierdzy nie poddam, jeśliście wy uparci w bojaźni, ja stały jestem w ufności Boga.

Przerwał wysunawszy się ksiądz Bleszyński:

— Ale czyż przystoi nam zakonnym ludziom, co się świata wyrzekli, przelewać krew i walczyć? wszak wkrótce i żywności zabraknie, nie lepiejże wcześniej?

— Ojcie Matjaszn, zawołał Kordecki, czy przysięgaliście na posłuszeństwo?

— Pamiętam je i gotowem na nie! odpowiedział z pokorą zakonnik.

— Zostawcież troski, staranie i odpowiedzialność na mojem sumieniu, a róbcie co władzą moją polecam.

Zakonnicy usunęli się, szlachta nalegała jeszcze:

— Co do was, panowie, rzekł Kordecki, daremne są i prośby i groźby, a choćby i krzyki. Będę się modlił do Ducha świętego, aby was męztwem natchnął, a com postanowił, to uczynię.

Napróżno nastawali; przeor był nieporuszony i jakby nie słyszał nic, począł swoje papiery przerzucać na stole i zajmować się czem innem. Widząc, że próżno nacierają, szemrząc ustąpili nareszcie.

Zawołano braciszka Pawła.

— Bracie mój, rzekł przeor, gdy tylko wszedł, gdzieś tam około murów, blisko zapewne furty, leżeć musi na mrozie, swoim obyczajem Konstancja, zawołajcie jej tutaj, muszę jej użyć za posła, kogo innego obawiałbym się narazić i dać w ręce Szwedowi, babie dadzą pokój.

— A ona tu jest w klasztorze! rzekł brat Paweł.

— Przyslijcież mi ją do refektarza, ja tam idę. Pospieszył przeor i już zastał spartą na kiju staruszkę pode drzwiami.

— Całuję stopki ksiedza przeora, odezwiała się z nękłnem, cóż to za szczęście, że sługi Matki Boskiej zapotrzebowano?

— Żebyś tylko miała rozum, wielkąbyś mi mogła uczynić przysługę; ale naprzód powiedz mi, nie boisz się pójść do obozu szwedzkiego?

— Ja? zaśmiała się stara, a zapytaj jegomość ile tam razy byłam?

— No, tem lepiej, złapali mi już drugi raz Brzuchońskiego, i malarz dobry i człowiek poczciwy, potrzeba go koniecznie z ich łap wyrwać; idźcie i powiedźcie mu, by za siebie okup ofiarował, ja pieniądze dostarczę. Ale żywo stara, by go czasem na przedce nie obwiesili.

— Duchem się sprawię! duchem ojczyźnie, zobaczycie... rzekła i ruszyła się.

— Do rozmowy użyjesz którego z kwarcianych, dodał ksiądz Kordecki.

— Cogo? spytała stara.

— A jakże się z niemi rozmówisz?

— Toć tam między niemi Niemców siła, a ja po niemiecku szwargoczę...

Zdziwili się księża tej niespodzianej umiejętności, ale już poseł był daleko.

Na tę podróż musiała Konstancja przybrać swoją dawną wesołość obłąkania — uśmiech i żarty; szła kłaniając się żołnierzom w prawo i w lewo, ci nie wiedząc co znaczy to zjawisko, zważywszy jej łachmany i szął, puszczali dalej bez przeszkody.

Tak minawszy trupy leżące znów w koło twierdzy, potem świeże usypy ziemi i pogasłe ogniska, namioty i wozy, dopchała się z wielką biedą w stronę, w której się spodziewała znaleźć pana Jacka.

Jakieś przecucie wiodło ją do miejsca, gdzie biedny mieszczanin jeszcze po szwedzku nbrany, stał przed starszyzną, co go już na przedce sądziła.

Nieco opodal kilku czeladzi obozowej stawili już jednoramienną szubienicę, zbitą na przedce z dwóch kłoców; Brzuchafski blady był i niemy prawie, choć w istocie obawiał się nie tak śmierci, jak, że go nagle pochwycić miała bez przygotowania i spowiedzi; i do kwarcianych kilku, co tam z ciekawości przybyli, odzywał się półgłosem, prosząc o księdza.

Obok sędziów prawie, kilku oprawców Szwedów sposobili różgi, żar i kleszcze, łatwo zgadnąć na co; chciano mękami wydobyć z niego tajemnicę, dla której się, jak sądzono, narażał. Pan Jacek ochłonawszy z pierwszego przestraszn, widząc, że już nic nie ma do stracenia, nastawił się mężnie.

— Jak mam umierać, rzekł, to przynajmniej pocziwie i odważnie, choć pęzel nie szabla, ale ręka od niego drzeć się nie uczy.

Zapytano go po co chodził? odparł śmiało, że chciał dać znać klasztorowi o przybyciu prochów i przygotowaniach Szwedów.

— To zdrada, rzekł oficer.

— Niekoniecznie i zdrada, odpowiedział Jacek, zakonnicy ojcowie nasi, dobrodzieje. Matka Boska, Matka nasza, gdybym tego nie zrobił, tobym zdradził...

— Z czemże chodziłeś?

— Z niczem więcej.

— To być nie może, mów, czekają cię męki.

Brzuchański spojrział na przygotowania, ruszył ramionami i zamilkł. Przystąpili oprawcy, nie zmarszczył się, obnażono mu plecy, poczęli chłostać; on płakał i modlił się, ale cóż więcej mógł powiedzieć nad to co było?!

Już go miano piec, gdy kwarciანი zaczęli za nim prosić, i Szwed nadbiegł co to go Brzuchański tak poił, wstawiając się także za nim i za sobą.

— Wicie, odpowiedział oficer, że już skazany na śmierć!

Wtem właśnie Konstancja zbliżyła się do mieszcza-nina ściskając go i całując; uląkł się zrazu, bo jej nie poznał, ale wśród niebronionych nścisków, szepnęła mu, żeby zaoferował okup za siebie, a przeor zapłaci za niego.

Z drugiej strony sami Szwedzi i kwarciანი zaczęli nalegać, żeby go więcej nie męczyć i stanęło na tem: żeby wieść pod szubienicę.

— Panie, panie, odezwał się Brzuchański stojąc gdy go już oczepiano pętlą, ja się okupię, pozwólcie mi, dam co mam, a okupię się.

Szwedzi jak to byli ludzie łakomi, zastanowili się, nikt tego nie przewidział; posłali do generała, a w chwilę nadbiegł goniec, żeby go prowadzić przed Millera.

Dowódca czekał na niego przed namiotem, a wbita przed nim latarnia na słupie oświecała tę scenę nocną. Brzuchański szedł ze stryczkiem na szyi, to struchlały ze strachu, to chwilami śmiały aż do zuchwalstwa. Było to w jego charakterze, że miał momenta odwagi nadzwyczajnej i bojaźni dzieciunej, taka to była natura.... w ostatniej godzinie okazał się jakim był zawsze.

— Co ty za jeden? spytał groźnie Miller.
— Mieszczanin, malarz biedny, odpowiedział trzęsąc się.

— Zdrajca! zawołał generał.

— Nie generale, odparł śmiało, służyłem Paulinom, bom im służyć powinien.

— Winienieś był służyć swemu królowi — nie im...

— Albo to mój król? spytał Jacek.

Miller z pięścią się porwał, i „wieszać“ — zawołał.

— Panie generale, ja się okupię — rzekł mieszczanin.

— Cóż mi dasz? chyba talara, bo twoje kiepskie życie więcej nie warto.

— Sto talarów generale.

Miller pomyślał trochę.

— Żebyś broił znowu! nie, powiesić łajdaka!

— Sto pięćdziesiąt, odezwał się śmielej, widząc wahanie Brzuchański.

— Dawaj dwieście i niech cię djabli wezmą! krzyknął Szwed, a nie, to na szubienicę.

— Kiedy nie mam — odezwał się malarz — wola wasza.

— No! dajesz dwieście?

— Nie.

— Nie dasz?

— Nie mogę.

— Gdzież talary?

— Złożone w klasztorze.

— A ha! to nie w domu?

— Ba! — odpowiedział naiwnie mieszczanin — jakby tu były, tobyście je dawno wytrzęśli.

Miller bezwstydnie się rozśmiał.

— Każcie mnie odprowadzić do bramy klasztornej, a tam zapłacę z moich pieniędzy.

— Bestja! nie głupi! — rzekł Szwed — to szczer-

ście twoje, że o ciebie i podobnych tobie nie dbam, idź do klasztoru i powiedz niech tam na mnie czekają, wkrótce mnie mieć będą.

Brzuchaniński chciał zaraz z szyi zrzucić stryczek.

— Nie! — krzyknął generał — wieść go tak przez cały obóz ze stryczkiem, a zedrzeć mu suknie szwedzkiego żołnierza, których nosić nie wart i nago prowadzić!

Jak rozkazano spełniono; Konstancja pobiegła przodem przed nim z radośnemi poskokami, i nim powołnie wiadzony mieszczanin dowlekl się do furty, już tam na niego wysłanych półtorasta talarów czekało. Szwedzi oddali biedaka ze stryczkiem.

Brat Paweł osłonił go zaraz kapotą czyjąś i Jacek jak stał, nie zdejmując z szyi sznura, poszedł do kaplicy N. Panny, aby tu, jak więźniowie kajdany, jak kałecy kule, złożyć u podnóżka Bogarodzicy stryczek co go miał życia pozbawić; pomodlił się, zapłakał, i wzięty natychmiast do klasztoru otoczony został ciekawymi.

Przyniósł on tu szczegółowe wieści o przygotowaniach szwedzkich, a zarazem chodzące też posłuchy o wielkiej sile tatarskiej idącej w pomoc Janowi Kazimierzowi, który przeciwko tej dziczy wyciągnąć miał już na spotkanie i znajdować się w Żywcu. Nadzieja odsieczy nieco pokrzepiła obleżonych, choć powszechnie nie dobrego sobie nie rokowali; ale przeor ani dał sobie mówić o kapitulacji, trzeba się było zgodzić z jego wolą niezłomną.

Nazajutrz sprawdziły się poniekąd przepowiednie szturm: Szwed ze wszystkich baterij razem począł dawać ognia, nie czyniąc jednak wielkiej szkody: ręce mu marzły. Załoga stała na murach gotowa szturm odpiąć; ale szturm był niepodobieństwem, bo ani działami wyłomu zrobić, ani miny podsadzić, ani przekopu zarzucić nie mogli, a zniechęcenie szwedzkiego żołnierza nawet dla obleżonych było już widoczne.

Około południa trębacz podał do klasztoru list generała, znowu silnie nalegający o poddanie. Pismo to zawierało argumenta w tym rodzaju:

„Chociażeśmy, pisał generał, imieniem, rozkazem i władzą Najjaśniejszego i Najpotężniejszego króla szwedzkiego, pana naszego Najmiłociwszego i naszem, to łagodniejszym, to surowszem staraniem, które sądziliśmy, powinno było u was zasłużyć na uwagę i zastanowienie, pracowali, aby was skłonić do poddania, przecież i króla i nasze, uporem prawdziwym zawiedliśmy nadzieje, i dotąd tylko igraliśmy sobie, ndając powtarzaną układów z nami ochotę, a jednak jeszcze raz spróbować ich z wami postanowiłem. Gdy królewskiem stałem jest postanowieniem, aby twierdza zdobytą była, na co jak widzicie pracę nienastaną łożymy, i miny nasze jużemy pod mnr zbliżyli, a zarazem sprowadziliśmy inne ogniowe wojenne maszyny przed dwoma dniami z Krakowa, dla zniszczenia, wywrócenia i zgładzenia klasztoru waszego, strzeżcie się więc...” i t. p.

Cały list był podobn, naprzemian to groźny, to upominający, to doradczy, wytwornie stylem wieku napisany; w ostatku protestował się Miller, że jeśli zburzyć będzie zmuszony Częstochowę, winna nie spać na niego.

Do przeczytania tego listu zbiegli się wszyscy, krom Zamojskiego i Czarnieckiego, którzy nie byli ciekawi; każdy w oczach przeora szukał wrażenia, jakie na nim uczyni, ale Kordecki był nieporuszony.

Zgiełk powstał w definitorium, szlachta znowu wołała swoje:

— Poddawajmy się, poddawajmy!

Uśmiechem politowania wybuch ten przyjął przełożony.

— Ludzie słabego serca i malej wiary! - zawolał — jakże wam ciężko wytrwać krócienną życia chwilę w utrapieniu i pracy! Tak! — dodał — będziemy traktować, choćby dla tego, żebyśmy nroczyście dni następne w pokoju i modlitwie spędzić mogli, bądźcie spokojni, odpowiem jutro.

Ostatnie wyrazy wymówił z tak gorzkim żalem, że wstyd nim przecie z obojętnych wycisnął.

L.

Nazajutrz, była to wigilia Bożego Narodzenia, przeor z rana usiadł dyktować odpowiedź, którą już w umyśle miał gotową; jak wszystkie jego listy, odznaczała się ona umiarkowaniem wielkiem, natchnioną znajomością serca ludzkiego i nadzwyczajną zrecznością, gdyż w Kordeckim męstwo i stałość, jakich dał dowody, nie wyłączało ostrości dowcipu, rzekłbym przebiegłości, gdybyśmy do tego wyrazu nie przywiązywali zbyt absolutnego znaczenia. Bolał on nad nżyciem tej broni, do której wzięcia zmuszały okoliczności, onierał się traktowaniu dla zwłoki tylko, ale Zamojski przekonywał go zawsze, że w wielu razach jest to sposób jedyndy.

„Wyznajemy, pisał do Millera, że jw. pan postępował z nami łaskawie i z wielką cierpliwością oczekiwat niejedukrotnie umowy z nami, a chociaż byli-byśmy winnymi, gdybyśmy się na wezwanie króla JMości szwedzkiego z klasztorem nie poddali; jednak-że gdy jw. pan najsprawiedliwszym naszym odmówileś żądaniom, zwłokę tę przypisać potrzeba nie zuchwalemu przeciąganiu, ale postrachowi utraty swobód naszych. Teraz, z tąż łagodnością (Kordecki sztydził trochę) przez jw. pana napomnieni, przystąpilibyśmy niezwłocznie do układów, gdyby nroczystości Narodzenia Pańskiego, nie przeszkadzały; z tej przyczyny, racz jw. pan dozwolić nam rozejmu prosimy najpokorniej; my zaś od starszych naszych otrzymawszy wiadomość, (do których odwołać się za zezwoleniem jw. pana możemy...)”

— A teraz co? — spytał przytomny Zamojski, uśmiechając się — przyrzeczesz-li waszmość poddanie?

— O! nie! — odpowiedział przeor — posłuchaj tylko dalej: *quod conveniens erit, faciemus*. Co przynależeć będzie uczynimy! że nam przynależy bronić się potem, to jasna rzecz, i tak też zrobimy.

— Nie! to darmo, już Szweda nie złapiecie — przerwiał Czarniecki — zna się na tem dobrze i nie wytłumaczy sobie, żebyśmy się mu poddali.

— Spróbujemy! kilka dni frysztu otrzymać niezawadzi — rzekł Zamojski — nie byłoby też od rzeczy do Wejharda dodać list błagalny, aby się wstawił; im sroższy prześladowca nasz, tem go więcej ugłaskać potrzeba. Zatem drugi list do Wrzeszczewica.

Zgodził się przeor i pokorną podyktował prośbę, a gdy oba pisma były gotowe, i szło tylko o zanieśienie ich do obozu, (w tem wielka była trudność) nikt się nie ofiarował iść z niemi do rozjątrzonego Szweda.

— Użyjemy więc tego posła, co nam Brzuchańskiego uratował — rzekł Kordecki — nasza stara Konstancja swojej fatygi nie odmówi...

Posłano do bramy, ale Konstancji nie było w klasztorze, siedziała w swoim barlogu w fossie i gdy ją z murów zawołano, nie rychło przybiegła, zdyszana i zmęczona stojąc u progu refektarza.

— Co mi to ojciec rozkaże? — spytała.

— Bieda słudze Matki Boskiej, zaprzęgają do roboty; musicie moja kochana spenetrowawszy już raz obóz szwedzki, pójść jeszcze z listem do Millera i do Wejharda.

— A czemuż nie, Szwedzi mnie, nie ja się Szwedów lękam, dawajcie tylko kartelusze, póki się nie przy późni i nie ściemni, żebym jeszcze i powrócić mogła.

W refektarzu stół do wigilii zwyczajem staropolskim był zastawiony; na wązkich klasztornych stolikach leżało już trochę siana przypominającego narodzenie Chrystusowe w stajence, ale nie było snopów w kątku, bo ich nie miał klasztor, i czarny chleb zastępował

białe strucle, naśladujące kształty spowiniętego dziecięcia. Na cynowym talerzu leżały opłatki; wziął jeden z nich Kordecki i przyniósł go do rozłamania żebracze.

— Idź — rzekł — z Bogiem, pocziwa słuگو, a przynieś nam uspokojenie.

Schyliła się do nóg prawie przeorowi Konstancja, odłamała drobnutką cząstkę, pokłoniła i szepnęła...

— A Hanna księżę przeorze?

— Uczynimy wszystko co można, by ją odszukać, ręczę ci słowem kapłana!

Usłyszawszy to uradowana starucha, już odchodzić miała, gdy Zamojski zbliżył się do niej także z kawałkiem opłatka.

— Niechże i ja się z tobą podzielę odważna kobieto — rzekł — a daj nam Boże z przyszłym opłatkiem lepszych doczekać czasów i spokojniejszego pożywiania daru Bożego.

Drzwi się zamknęły za żebraczką, a wkrótce za ukazaniem się gwiazdy, cała ludność klasztorna i wszyscy zaproszeni na wigilią, do refektarza ściągając się poczęli, korzystając z chwili wolnej, bo po odebraniu odpowiedzi przeora, spodziewano się nowych napaści.

Smutny to był stół ów, który zwykle taka radość ożywia, pospiesznie spożyto trochę biednych pokarmów, kilka ryb podanych przez Brzuchańskiego, trochę polewki, resztę suchych owoców. Głębokie milczenie panowało w refektarzu, każdy się spieszył ukończyć tę biesiadę, która się zwykle przeciąga tak długo, tak ochoczo obchodzi, bo na noc lękano się szturmu, wszyscy radzi byli pospieszyć na mury lub do kościoła. Wieczera ta miała jakieś podobieństwo do uczt chrześcijan pierwszych wieków, gdy wśród agapów tajemnych, oglądali się niespokojnie, i słuchali czy się nie rozlegnie nagle chrzest rzymskiej zbroi i głos prześladowców. Nareszcie skończyła się smutna, a co żyło ruszyło na mury. a zakonnicy do chóru, bo zbliżał się dzień uroczysty, i podwoić musiały modlitwy.

Oczekując odpowiedzi z obozu szwedzkiego, niepewni rozejm, a raczej pewni iż nań Miller nie zezwoli, dowódcy i lud załogi chodzili po murach; niekiedy zakonnik przesunął się opatrząc stanowiska i nikt oka nie zmrużył, gdy dzwonek oznajmił srebrnym dźwiękiem mszę pasterzy. W kościele już stała starym obyczajem kolebka Chrystusowa i żłobek, pasterze, Matka, Józef święty i aniołowie.... każdy idąc na mszę, pomodlił się u szopki.

Po pierwszej mszy, następowały co chwila inne, bo mnogo było księży w klasztorze, a każdy z nich odprawił trzy ofiary symboliczne, tak, że do białego dnia przerwy w nabożeństwie nie było. Na murach czuwano mieniając się; w obozie szwedzkim ognie gęste, ruch wielki, coś nadzwyczajnego zapowiadać się zdaly; zakonnicy nie bez przyczyny wnosili, że Miller widząc ich zajętych nabożeństwem, zechce z tego korzystać: ale do dnia nic nie usprawiedliwiło tych domysłów.

O świcie powróciła Konstancja, trochę dumna ze swego poselstwa, w dobrym humorze, z listem w rękę.

Kordecki wyszedłszy do Janitorium, tu się z nią spotkał.

— No, a co tam mój pośle?

— Wszystko się ndało ślicznie, pięknie, jak potrzeba — odpowiedziała — przyjmowali mnie z honorami, bo przez cały obóz prowadzili śmiechem i wrzawą, wołając: poseł z klasztoru! poseł mnichów! Nadęłam się tedy jak mi przystało. Miałam też szczęście widzieć oblicze samego pana generała, który także do rozpuku śmiał się ze mnie, list przeczytał, głową kiwnął i rzucił go nic nie powiedziawszy. Wejhard grzeczniejszy odpisał. Bardzo się mnie dopytywali, co tu się u nas dzieje; co myślą, co robią, ale widać jakoś nie mogliśmy się zrozumieć, to się nie wiele nauczyli ze mnie. Szwedzi się gotują do czegoś, ale kto ich wie co takiego... trudno zrozumieć, zawsze jakieś лихо.

Przeor list czytał; Wejhard pisał, starając się go przekonać, o swej gorącej dla klasztoru przyjaźni, dowodził, że się mocno wstawiał za zakonnikami do ge-

nerała, ale Miller tylekroć zawiedziony już ufać nie chce; donosił wreszcie iż wymógł odłożenie szturm przez dzień jutrzejszy, dla obchodu święta Bożego Narodzenia, ale pozajutro powinni się poddać bez zwłoki. Jeśliby zaś tego jeszcze nie uczynili, general grozi im zniszczeniem i obróceniem w popiół klasztoru: zaklął się w ostatku gorliwy przyjaciel, na Boga i Matkę Jęgo, że nie groźbę rzuca, ale szczerą prawdę mówi, i dalszemu nieszczęściu zapobiedz nie potrafi.

Nie troszcząc się więcej o to co nastąpić może, Kordecki pospieszył urządzić wszystko do najnroczystszego nabożeństwa, które poczęte o północy, skończyć się miało o południu, kościół jaśniał światłem, kwiecieniem ze szklarni dobytem, drogiem naczyniem ze skarbcu przyniesionem i co największą jego ozdobą, ludem po-bożnym.

Gdy się to dzieje na Jasnej-Górze, w obozie przygotowania potężne: luteranie i kalwini pomodlili się krótko i węzłowato, po swojemu, w skleconej na prędce szopie i poszli zaraz do baterji, do min do pracy, bo ich święto czasu wojny nie wiele widać obowiązywało. Sam general znudzony, zużony i niecierpliwy, dawał z siebie przykład; od świtu był na koniu, objeżdżał, zachęcał, krzepił, obiecywał łupy i obfitym rabunkiem chciał lud swój rozlakomić. Ale żołnierze słuchali tego z obojętnością zimną, niekiedy szyderską, jakby tylko brakło odwagi powiedzieć dowódcy: — Nie zdobędziemy twierdzy i nie dla nas te skarby.

Rozkazy się krzyżowały, przeciągano działa, ustawiano je, opasywano twierdze dokola ludem pieszym, związywano drabiny, ciosano kozły i tarany, kuto haki i narzędzia do szturm służyć mogące. — Z klasztoru tylko odzywały się dzwony, muzyka wesola i śpiewy falami wiały aż do uszu Szweda; na murach zdawało się pusto.

Ilekroć dzwon. śpiew, odgłos jaki dał się słyszeć, żołnierz szwedzki spoglądał z ukosa na klasztor i posępnie kiwał głową; wiara w nieprzelamaną siłę częstochowskich cesarów tak już była wielka, że jej nie

zachwiać nie mogło. Ludzie nie pojmujący co może głębokie nczucie religijne, siłę jego zwali jak umieli; szło wszystko wedle rozkazów, ale one nie dadzą serca gdy go nie ma, brakło zapалу, każdy się trzymał z daleka, nawet starszyzna z której wielu wyjechało na cmentarz do Krzepic już się niezbyt kwapiła naprzód.

Pomimo przyrzeczeń Wejharda, Miller odpowiedzi nie otrzymawszy z klasztoru, a znając się już na tem, że mnisi tylko zwlekać pragnęli, rozpaczliwie rozkazał o południu ze wszystkich dział i moździerzy dawać ognia: była to napaść tak gwałtowna i jakby ostani wysiłek.

Leciały kule, bomby, karkassy; silono się klasztor zapalić, obalić kościół, przysypać gruzami modlących się i zniszczeniem zmusić do wołania o litość. Kartanny ustawione na baterjach, mniejsze działa i co było spiżu, zaczęły gwałtownie, za danym znakiem strzelać na twierdzę.

Miller stał na wzgórzu i patrzył oczekując zajadłe, ze wściekłością w oku, z zapalem na twarzy... każdy pocisk trafny rozpromieniał mu lice, ale ich było mało; próżny huk gniew w nim podsycił. Wejhard opodal się trzymał, nie chciał już nawijać się na oczy rozjątrzonemu Szwedowi.

Kwarciani, ze swojego obozowiska wyszli także patrzeć na czem się to skończy, i nie kryli z oburzeniem jakie czuli. Nie jeden zapatrzywszy się na twierdzę chwycił szablę i już chciał na kark wpaść najeźdźnikowi, ale przypomniawszy sobie położenie swoje, opuszczał rękę i z westchnieniem zalamywał dłonie, jakby je chciał wstrzymać, by się daremnie nie rwały. Wysypani do jednego z szałasów i namiotów, w milczeniu głębokiem, miotani sprzecznych uczuć mnogością, stali, poglądali, jęczeli, a jeden na drugiego rzucał wzrokiem dzikim, niechcąc winy przypisać sobie i szukając jej w bracie.

Ile razy wiatr dymy baterij i twierdzy rozerwał i uniósł, Miller chciwie spojrzał, czy się co nie pali, nie wali; ale opoka Jasno-Górska stała niewzruszona,

we mgłach tylko jakby w obłokach uniesiona w powietrze.

Była to jedna z najstraszniejszych chwil od początku oblężenia dla zamkniętych w twierdzy, gdyż małą garść rozdzielić musiano na wszystkie boki, wszędzie się bronić i czuwać... Bezsilny lud tulił się w podwórzach i spędzany tu i owdzie padającymi kulami, latał z krzykiem, niewiedząc gdzie skryć się bezpieczniej. Na dachach pękały pociski, trzaskały mury, waliły się ściany; kurzawa, dym, jęki, wołania, wrzaski najodleglejsze napełniały kąty. Wielu bojaźliwszych w oczekiwaniu śmierci niechybnej, leżeli na ziemi bez przytomności, modląc się i klnąc naprzemiany. Przeor z krzyżem w ręku wybiegł za pierwszym wystrzałem i pomimo kul, które pod nogi mu prawie padały, wstał na mur żegnając...

Zamojski latał z miejsca na miejsce wołając:

— Pilnujcie dachów, pilnujcie murów, baczność, nie traćcie serca! jeśli Boga kochacie, dzieci... bronimy się po mężku!

Czarniecki stał u dział kierując niemi, nie mówiąc ni słowa, cały oddany swemu, czasem mu się tylko wyrwał wykrzyknik, gdy się udało trafnie odstrzelić, czasem się zmarszczył gdy pocisk po nad głową jego ze świstem na klasztor leciał. Naówczas oko za nim posyłał, szukał szkody jaką zrządzil, ale rychło się uspokajał. Jakkolwiek strzały były gęste i obejmowały ze wszystkich stron twierdzę, askierowane szczególnie na budowie dla zniszczenia ich, drugie ku obwodowym murom dla zrobienia wylomu od strony północnej zwłaszcza, szkody nie okazywały się tak wielkie jakby sądzić można. Wprawdzie na dachach, nieustannie migaly smolnemi plachty, żagwiami i sznurami opatrzone kule niosące ogień, ale tu czeladź czuwała z wodą, a wielka liczba pocisków gasła sama w leżącym na nich śniegu. W podwórcach raz po raz trzaskały kule, ale ich oblamy mury tylko kaleczyły, razily belki, wybijały okna; kilka czerepów padło na ludzi kupą

biegających z miejsca na miejsce, lecz nikogo nie zabiły. Inne kule ryły się głęboko w ziemię i opadały bezsilne, jakby cndowna odbiła je ręka.

Niemniej jednak przestraszył był nie do opisania, i gdyby do bram dostać się było podobna, tchórze wybiliby się może przez nie spiesząc naprzeciw Szweda. Ale wrót dobrze strzeżono, a w izdebce u furty braciszek Paweł w nowej sukni, którą sobie sam uszył ze trzech wynoszonych habitów, i był z niej nieskończenie rad a szczęśliwy — siedział nad książeczką i modlił się spokojnie. Niekiedy pokiwał głową gdy huczniej zagrzmiąło i wracał do swego.

Kordecki przez cały ciąg strzelania nie zszedł na chwilę z niebezpiecznego stanowiska, z którego odciągali go napróżno starszyzna i zakonnicy.

— Moje miejsce dziś tu — mówił — wy działami ja krzyżem świętym wojuje — i żegnał. — Pokażcie mi, które wam działło szkodzi najwięcej — odzywał się — a na nie wymierzę modlitwę. — I powolnym krokiem, przenosząc się z miejsca na miejsce, wszędzie rozdzielał błogosławieństwa.

Od północnej strony największa Szwedzka kulobryna, rzucająca trzydziestofuntowe kule, łamała mur nienastannie, a choć go nie wiele ujadła, już przecie znaczne były szczyrby. Zmierzchało powoli, gdy tu nadeszli przeor z Zamojskim, spojrzeli, zasmucili się.

— Czasu im dziś nie stanie na zrobienie wyłomu, noc nadchodzi, a jutro zamurnjemy dziury — odezwał się pan Miecznik.

Kordecki nie odpowiedział, nklął, krzyż przycisnął do piersi i modlił się, a była to modlitwa co cud wywołuje. co przebija niebiosą, co oko Boże ściaga na ziemię, natchniona, beśna, łzawa, całą duszę podnosząca w swych dłoniach; nie widział, nie słyszał, nie czuł — przeżegnał wreszcie i promieniejącą wejrzał żrenicą, jakby się budził z zachwytu.

Szwedzkie działło z ogromnym hukiem rozpękło się na kawalki — puszkarze leżeli pobici, inni uciekali

przepłoszeni, a zmierzch nagły, zimowy, ciemną szatą poczynął przykrywać okolicę.

Nagle ogień ustał na wszystkich punktach jak uciał.

Cicho! tylko w klasztorze stoją zdumieni, osmoleni, drżący od pracy, schrzypli od krzyku starszyzna i żołnierze, jakby jeszcze czekali. Patrzą po sobie, milczą; rzekłbyś, że jeszcze niedowierzają temu nagłemu uspokojeniu, poglądają na obóz. Tam ruch jakiś, wrzawa, popłoch, potem coraz ciszej, szmery tylko głucho, tylko wozów skrzypienie i niekiedy przeciągłe wołania.

— Czarniecki pokręcił węża.

— Ha! — rzekł — dobrze nas grzeli, pójdźmy obejrzeć co też zrobili!

Przeor wstawał właśnie, zesłabły wyteżeniem ducha ale mocen wiarą i pogodny obliczem.

— Skończono! — rzekł ze łzami — skończono! w imię Boże, witam was zwycięzców.

— Jakto? księżę przeore — przerwał Zamojski — to dopiero początek.

— To już koniec — odpowiedział Kordecki.

— Jakże to być może?

— Jestem tego pewny.

— Ale skądże? — nieśmiało podchwycił pan Piotr.

— Zkąd? nie wiem! czuje że to i postrach i praca ostatni... Chodźmy spocząć, lud uspokoić i pocieszyć.

To mówiąc jął obchodzić mury, oglądać szkody dnia tego i ludziom ducha dodawać. Własnymi rękoma opatrywał rany, błogosławił, leczył, i słowa krzepiacemi duszę umacniał zwątlonych; a gdy przyszedł do wylękłych, co się tulili po zakątach, nie miał dla nich gniewu — litość tylko i pociechę. — Dzieci, rozejdźcie się — rzekł — niebezpieczeństwo minęło, spoczniście biedni.

Łza mu błyskała pod powieką zrumienioną bezsnem, pracą i uczuciem; tak przyszli do wrót, u któ-

rych właśnie Szwedzką trąbkę i głos braciszka Pawła było słychać.

Chodźmy — rzekł ochoczo — zobaczmy czego tam znowu chcą od nas?

Był to poseł z listem Millera, a pisma niósł gniewne, pełne grzuby, srogie i zdradzające bezsilność. Już się w tym wybuchu przebijało zwątpienie, które miotano upokorzonym, a wściekłym dowódcą.

— „Listy wasze — mówił — czyż dym nam przynoszą, dymu też i płomienia są godne, próżne w nich słowa, zwłoki, upór i...

— Nie czytamy tego — rzekł Kordecki — to zwrotka zwyczajna.

Dalej żądał Miller żeby natychmiast albo poddali załogę królowi szwedzkiemu i załogę przyjęli, albo...

Tu już pan Zamojski się rozśmiał, a Czarniecki aż za boki pochwycił:

— Albo — czytali — za szkody spowodowane nporrem ich, zapłacili zakonnicy...

— Otóż jest — przerwał Miecznik — *ultima ratio*, sięga do kieszeni...

— Czterdzieści tysięcy talarów za siebie, dwadzieścia tysięcy za szlachtę będącą w twierdzy. Wziąwszy to Miller obiecywał odstąpić i zaręczał im bezpieczeństwo. Jeśliby zaś nie posłuchali, groził znowu, że nie tylko nie ulży obleżenia, ale dokoła na mil trzy wszystko ogniem i mieczem spustoszy, dobra szlachty (to się stosowało do Zamojskiego szczególnie) zrówna z ziemią — „a wy — pisał do zakonników — nie pieniądze, ale osobami waszemi, nie mieniem, ale krwią mi zapłacicie.“

— Ależ tegi! — krzyknął Zamojski — jak mu słowo nie kosztuje. — Kordecki szepnął:

— To już dowód, że *ultimis spirat*; mówiłem wam i widzę to teraz jawniej jeszcze; okupu nie damy, bo i tak puścić nas musi, zniszczenia nie będzie miał czasu większego zrobić nad te, jakie już uczynił, bo

kraj się budzić poczyną, pošlemy mu tylko życzenie szczęśliwej drogi.

— Dobrej mu się zachciało kolędy — zaśmiał się pan Piotr — sześćdziesiąt tysięcy talarów! Widzimy teraz czego żądał, dopraszając się Częstochowej, chciał się nieboraczek obłowić tylko.

— A zapewniając nam nienuaruszenie własności, wyjmował sobie po cichu to, co chciał wziąć tytułem kosztów wojny...

— Jakkolwiek bądź — dodał Zamojski — list to dziwny, i ślepy zobaczy że mu źle, kiedy z tego tonu śpiewa.

— Zwyciężyliśmy, Bogu dziękować, Bogu! — zawołał przeor w pokorze. — On poratował niegodnych, cud wielki, cud głośny uczynił.

I w zapale wymawiając z cicha wyrazy, które nie doszły uszów towarzyszy, Kordecki pośpieszył do swojej celi.

LI.

My spójrzmy jeszcze na obóz Szwedzki, abyśmy przyczynę Millera tak nagłej zmiany wyrozumieć mogli. Widzieliśmy zajętego przed chwilą oblężeniem z nadzieją jeszcze, zajądłością, wytrwaniem; Wejhard stał w dali i czekał równie z nim pewien będąc, rychło białą chorągiew wywieszą.

Tak zbliżył się wieczór i generał ku baterji północnej podjechawszy, widząc opieszałość swoich pułkarszy, na których najwięcej rachował kazał przy sobie działa nabijać, celować i wystrzelać.

Ruszyli się trochę ludzie pod okiem wodza, lecz właśnie gdy tryumfował, bo kilka kul w murach uwięzło, za trzecim wystrzałem, z ogromnym trzaskiem rozpękło się działo.

W tejże chwili prawie, wśród popłochu, jaki zrządził ten wypadek, ujrzano na znużonym i zabłoconym koniu spieszącego posłańca, który dopytywał o Millera i ku niemu się kierował, przez obóz do miejsca gdzie widział zebraną starszyznę. Zmarszczył się generał nie wiedząc jeszcze co to znaczy, ale już źle wróżąc, że go wśród działań i boju tak pilno szukano, posłał ku gońcowi.

Jeździec wręczył oficerowi gruby plik papierów.

Wejhard domyślając się, że wieści przyszły z głównej kwatery, spodziewając się w nich nowych rozkazów lub obietnicy posiłków od Wittemberga, poskoczył także dowiedzieć się z czem goniec przybył tak spiesźnie.

Ala już Miller rzuciwszy tylko okiem na listy, poznawszy pieczęcie kancelarji Karola Gustawa, puścił się do swojego namiotu. Za nim rzucili się wszyscy, i w tej chwili ogień ustał, bo dalszych zabrakło rozkazów.

Zsiadłszy z konia Miller rozerwał pieczęcie, ale lepszy żołnierz niż czytelnik, podsunął karty pisarzowi swemu, aby mu je czytał. Ten naprzód rozpoczął od rozkazu królewskiego, który inne depesze poprzedzał.

Tak! był to rozkaz podpisany własnoręcznie przez króla szwedzkiego, choć zdawał się dziwnym: polecano Millerowi, aby niezwłocznie szkody żadnej klasztorowi nie czyniąc, nie myśląc o zdobywaniu go, od oblężenia odstąpił.

Wyrażono przyczyny: że klasztor na Jasnej-Górze w tak powszechnej czci u Polaków zostaje, iż napaść nań w całej Polsce oburzyłaby umysły przeciwko Szwedom; zatem ani się więcej kusić ma dowódzca, ale natychmiast rzucić przedsięwzięte kroki i ciągnąć do Piotrkowa. Osobno wydane były rozkazy, aby Wejhard szedł do Wielunia, Sadowski do Sieradza, książę Heski do Krakowa, a kwarciani do Małopolski, gdzie im stacje wyznaczono.

Słyszac czytanie rozkazu, Miller porwał się, spoj-
rzał na Wejharda z wymówką i groźbą i kazał precz
odejść pisarzowi. Milczenie gluche, milczenie zdumie-
nia osiadło na ustach przytomnych; praca tak długa i
ciężka, nietylko, że nie została uznana za pożyteczną,
ale daremna i szkodliwą osadzona i cały wysilek ten
próżny, wszelkie straty w ludziach, prochach, orężu,
czasie, poszły z dymem.

Czoła Millera i jego współpracowników gorliwych,
czarną się chmurą powlokły; mnisi odwołujący się do
Karola Gustawa zwyciężyli, im npokorzenie i żal.

Nim się poczęli rozchodzić z uamiotu, generał jakby
myślą nową tknięty, przykazał najsurowiej, by o roz-
kazie odebrałym najgłębsze chowano milczenie.

— Jego królewska mość sam mnie tu wysłał — ode-
zwał się ponuro — gdybyśmy byli zdobyli Często-
chowę, cofaćby się z niej nie kazał; mamy przed sobą
dni kilka, możemy ją opanować jeszcze. Gdy weź-
miemy, karać nas za to nie będą — dodał z dzikim
uśmiechem, dla żołnierza potrzeba żebyśmy nieodeszli
naprózno, inaczej straci wszelką ochotę i odwagę...

Mówił naprózno, milczeli doradcy, nikt nie zgodził
się na to, każdy rad był wycofać się z ciężkiego oble-
żenia, i po daremnej pracy odpocząć. Książę Hoski
się odezwał po chwili:

— Darujesz generale, ale nam nie wchodząc w to co
sobie poczniesz, potrzeba iść gdzie rozkazują. Ja po-
zajutro ustępuję do Krakowa.

— Ja do Sieradza — dodał Sadowski — mam na-
znaczony dzień w rozkazie.

Wejhard tak się odezwał:

— Ja z panem generałem, póki rozkażesz...

— Bardzo dziękuję, ale mi to nie wielką będzie
pomocą — rzekł Miller niechętnie — zresztą zoba-
czymy co zrobim, a o rozkazach królewskich milczeć
proszę.

Wszyscy się rozeszli, prócz Wejharda, którego rad

się był najwięcej zbyć Miller, bo go nie cierpiał, ale ten uparcie siedział.

— Panie generale, choćbyście znów gniewać się mieli — rzekł — jeszcze słowo tylko.

— Czyż już tych słów nie dosyć! — zawołał Szwed, — one to podobno przyprawiły mnie o straty, o wstyd, wymówki...

— A nuż się wszystko da poprawić?

— O tem wątpię.

— Pieniedzmi! — szepnął Czech z nśmiechem.

— Hrabia myślisz, że i wstyd da się zapłacić?

— Zapewne że nie, ale cóż za wstyd, żeśmy byli powolni do zbytku, łagodni, ufni z mataczami i kręcielami...

— Zkądże przyjdą pieniądze?

— A naturalnie z klasztoru!

Miller się rozśmiał szydersko. — Jakim sposobem? nudzisz mnie hrabio, mów co masz mówić.

— Wszak nie wiedzą o rozkazach, dzisiejszy ogień do reszty ich wystraszyć musiał; posłać dając im do wyboru, albo zniszczenie, lub okup.

Generał stanął i pomyślał, zawahał się, ale łakomstwo nakazywało próbę; zgodził się na radę Wejharda i wnet ułożony został ten list, który przez trębacza wysłano do klasztoru wieczorem.

Nazajutrz milczały już działa, a z odpowiedzią od przeora szła rześko starucha, którą żołnierze przepuszczali, żartami tylko i śmiechem przeprowadzając. Postać jej była poważna jak przystało posłowi, niekiedy opędzała się gawiedzi ruchem ręki lub ust i szła dalej nie dbając na nią. Weselsi i młodszy przebiegali przed nią, kłaniając się jej z udanym uszanowaniem, zaskakiwali jej drogę, chwyтали za łachmany.

Ona uwalniając się od nich, wprost kroczyła do namiotu Millera, którego zastała otoczonym całą starszyzną, zgromadzoną dla narady i poszeptującą o wczorajszych rozkazach. Wejhard, Kaliński, Sadowski,

Zbrożek, Komorowski, książę Heski okolali dowódcę, wśród nich wszystkich odznaczającego się najsurowszą i najchmurniejszą twarzą. Na rozkaz jego pochwyciono listy z rąk Konstancji, a ona zaraz drugi z przyłaczonemi do niego książeczkami i obrazkami oddała Wejhardowi.

Ten podarunek bardzo widoczny, bo dobrą paczkę druków w różnych językach i wizerunków zawierający, był kołędą przez Kordeckiego przysłaną hrabiemu i księciu Heskiemu.

Miller i Szwedzi rozśmiali się szydersko, ale śmiech ich był smutny i złośliwy. Każdy poglądał na obrazki z jakimś ciekawością zaostrzonem wejrzeniem, a przypatrywać się im nie śmiał. Wejhard schował swój dar pospiesznie, wstydząc się go przed różnowiercami; książę Heski wziął, usiadł i poważnie czytać zaczął historję świętego obrazu.

Miller rzucił okiem na list swój, skrzywił się i podał go Wejhardowi ze znaczącem spojrzeniem; zdawał się mówić: patrz, co mi odpowiedzieli. Oba sprzątnęli rychło pisma odebrane i umilkli.

W tem gdy obóz szwedzki odpoczywa, a Konstancja wraca bez odpowiedzi, coś dziwnego zaszumiło w Jasnej-Górze.

Miller pogląda, zdumiewa się, nie pojmuje: z dział na vivat strzelają, rzekłbyś, że wiedzą już o ustąpieniu bliskiem Szwedów, słysząc muzykę, dzwony i wesole huczne okrzyki. Przez chwilę zawrzało coś w sercu Szwea, bo się zląkł szyderstwa i chciał zaraz mścić za nie, ale na zapytanie co się stało, Zbrożek mu odpowiedział:

— Dzień to św. Stefana, imieniny dwóch Zamojskich i kołędą; jest u nas zwyczajem, że muzyka obchodzi wszystkich i zbiera podarki składając powinszowania.

Działa Częstochowskie coraz żwawiej bily.

— Mają dosyć prochu! — rzekł Miller ponuro.

— Widać, kiedy go tak ochoczo psują — dodał Zbrożek.

Wejhard blady i rozgniewany uciekał.

W klasztorze jak świt Kordecki przybył z całym zakonników szeregiem do mieszkania pana Zamojskiego niósł w ręku wielki obraz Matki Boskiej malowany na blasze i piękny agatowy różaniec w złoto oprawny. Za nim szeregiem szli księża, a opodał część szlachty, muzyka, puszkarze, ludzie z załogi. Pan Miecznik, jak skoro ich postrzegł tak nroczyście ku sobie idących, porwał się z objęcia żony, która mu ze łzami imieniem winszowała, i biegnąc naprzeciw przeora! zawołał z uniesieniem:

— A! ojcie, nie jestem godzien!

— Jesteś godzien, kochany Mieczniku — poważnie rzekł Kordecki — obrońcy ołtarza Matki Boskiej, słudzy jej przychodzą ci życzyć długich lat życia i pomysłności. Niech Bóg błogosławi cię, rodzinę twoją i wszystko co cię otacza, nie targowałeś się z nim o żywot swój i tych co ci byli najdrożsi, gdyś je składał w ofierze; Bóg ci go przedłuży, obłogosławi i opromieni. Przyjmże nasze życzenia, kochany Stefanie starszy i następco Stefanie, a ten obraz jako pamiątkę Patronki od ubogich Panlinów, a ten różaniec ze skarbcu Matki naszej, jako dar od Niej...

Miecznik, żona jego i syn, płakali rozczuleni tą uroczystą przemową, zakonnicy kolejną szli ścisnąć i całować pana Miecznika, a w tem działa wszystkie twierdzy huknęły wiwatem ogromnym, aż paui Zamojska krzyknęła: Jezus, Marja!

— Nic to, kochana pani — rzekł przeor — na honor to waszego małżonka i vivat Stephanus strzelać kazałem!

A tu i muzyka zagrała kolędę wesołą pod drzwiami.

— Ale na Boga! — zawołał Zamojski niespokojny — księża przeorze dobrodzieju, prochu i pruszyunki szkoda, a tu go tak marnie psujecie.

— Waszmość tu nie wódz, zwłaszcza dziś, nie wódz, tylko solenizant — odparł Kordecki — tak! kochany Mieczniku, a prochu mamy dosyć, niech Szwed zna,

że pod skrzydłami Matki Boskiej i z takimi ludźmi jak wy, nie boimy go się...

Szlachta poczynająca serca nabierać, pod oknami, w sieni, na progu, wołała już także:

— Vivat Ensifer! vivat Zamojski! vivat Stenhanus!

Pau Czarniecki ją prowadził, ubrany, choć do ołtarza: na nim żupan lity, pas złocisty, kontusz karmazynowy szamerowany złotem sznurkami. szabla suto sadzona, czapka z czaplim piórem; — stanął i zamiast orację rozpocząć, rzucił się w objęcia Miecznika, oba się popłakali.

— A taki ci nie daruje choć solenizantowi — szepnął Czarniecki — żeś mnie na tę wycieczkę nie wziął, to nie po kawalersku!

— Puhara! puhara — rzekł głośniejszym głosem — niech zdrowie pana Stefana, Miecznikowej i konsolacji wychylim, choćby wodą, jeśli piwnice wysuszyło obłędzenie.

— Nie! nie! — przerwał przeor — nie żałujcie, jest jeszcze czem godnych ludzi wypić zdrowie, a ja pierwszy choć małym kieliszkiem. — Vivat pan Miecznik!

Działa nienastannie się odzywały, muzyka koledowała zapalczywie, a poczciwi ludzie weselili się, jakby o kilka kroków nie groziły im zniszczenie i śmierć.

Dopiero w pół godziny opamiętali się wszyscy, że i na mury już zajrzeć wypadało, ale jakoś od wczorajszego dnia, niewiedzieć czemu, nikt Szweda nie miał za boże stworzenie; czuli wszyscy, że to był ostatni jego wysiłek, a niebezpieczeństwo minęło.

Wyszedł Zamojski, wyszła i muzyka za nim. kolenując od drzwi do drzwi, a działa jeszcze ognia dawały.

Ta radość Jasnej-Góry, jeszcze Szwedem opasanej, była trafem dziwnym, jakby naigrawaniem się z jego wstydu i bezsilnej złości: tam cisza i posępny strach jakiś; po obozie włączą się postacie zziębłe, blade, schorzałe i oglądają wilczym wzrokiem na mury, huk

dział choć nie nabitych przykro brzmi w ich uszach, na ziemi u nóg ich to zamarzła krwi struga, to potrzaskane koło, to droga kulą wyorana; chude ogniska, kopca nie grzeją u zczerniałych od dymu namiotów, a rozmowa pogrzebowa; każdy liczy co wycierpiał, co utracił.

I noc czarna pokryła wreszcie z jednej strony radość wielką, z drugiej zimne, ponure zwątpienie.

O mroku wydano nagle do pochodni rozkazy, ale w twierdzy nikt jeszcze o tem nie wiedział; wśród ciemności jak złodzieje poczęli ochotniej nieco do odwrotu sposobić się Szwedzi, zdejmować działa z bateryj, wozy zataczać i namioty składać.

Jedna tylko Konstancja z fossy swej dostrzegła tego ruchu i z radością wielką pobiegła do wrót, stukając w nie kijem jakby rozbić miała.

— Jezu Chryste! co tobie? — zawołał braciszek Paweł zrywając od stolika — czy się co pali?

— Puszczajcie mnie, puszczajcie! — krzyczała żebraczka głośno — z dobrą idę nowiną!

Brat Paweł pospieszył furtkę jej odemknąć, choć to już było po „Anioł Pański.“

— A co? — zapytał.

— Szwedzi się pakują i odchodzą — rzekła szybko — idę z tą kołędą do klasztoru.

I pobiegła szybko, a zastawszy ich wszystkich w re-fektarzu, nagle jak zjawisko ukazała się im na progu; w drodze jednak oprzytomniała trochę i nie spieszyła z nowiną; chcąc się trochę pocieszyć wrażeniem jakie sprawi.

Gdy ją ujrzeli wchodzącą, ksiądz Stradomski pospieszył zebrać chleb i resztki jadła do koszyka i przyszedł z niemi do żebraczki.

— Ot twoja kołęda! — rzekł — sługo Matki Bo-

skiej.

— A i ja nie bez kołędy też przyszedłam — odpowiedziała z uśmiechem.

— No, a cóżeś nam przyniosła?

— Pożegnanie od Millera.

— Jakto? gdzie? czy list?

— Nie list, nkłony tylko.

— Cóż to prawisz? co ci polecił? mów — trochę niespokojnie zaczął dopytywać ksiądz Stradomski.

— On mi nic nie polecił, ale... Szwedzi się już do wozów garną, zabierają, i odchodzą.

Kaznodzieja skoczył do przeora.

— Ojcie Przeorze! *Deo gratias!* Szwedzi odstępują, Szwedzi odchodzą!

Ledwie ta wieść gruchnęła, rzekłbyś że się izba zawali, taki się tam rozległ wielki okrzyk radości.

— Kto to powiedział? to być nie może! — wołali w zamieszaniu wszyscy.

— Szwedzi odstępują! — powtarzali bojaźliwsi z obłąkaną radością. I wszyscy poczęli się cisnąć do starszki.

Kordecki zlekka przesunawszy się przez natłok, stanął przed nią.

— Zkąd wiesz, sługo Matki Boskiej, że Szwedzi odchodzą?

— I widziałam i słyszałam: działa zdejmują, wozy sznurują, konie siodłają i klasztor żegnają.

— Byćże to może?

— Najpewniej.

— Dzieci! — zawolał przeor — chodźmy Bogu dziękować i litanie zaśpiewać. Może to być jakiś zwodny ruch, ale co Bóg da, to da!

Wnet wszyscy pierzchać z refektarza poczęli, jedni do kobiet z nowiną wesolą, drndzy za Kordeckiem do kaplicy, inni na mur w nadziei, że coś zobaczą; a księża do chórn.

Wśród ciemnej nocy dostrzedz nic nie było można; szmer tylko szeroko rozlegał się głuchy i wozów skrzypienie i tentent koni i głosy żołnierzy...

Konstancja znikła, poszła pod okno swej ukochanej i zasiadła tam dumać, całując swój chleba kawałek; potem wstała do Krzysztoporskiego się zbliżyć. On stał na miejscu swoim jak zawsze milczący, pożerany gniewem i troską.

— Słuchaj — rzekła mu surowo stara, wytrzymując go wzrokiem silnym — czy cię zapamiętały wrogu i to cudowne dzieło Boże nie poruszy? czy się i teraz nie nawrócisz? Oddaj dziecię starcowi, przebacz a będziesz szczęśliwym!

— Idź precz! — rzekł wzgardliwie — idź precz jędzo stara! lub jak psa cie zastrzelę.

Konstancja popatrzała nań długo z jakimś żalem i boleścią.

-- Bądź więc zdrów -- przemówiła cicho — i niech ci Bóg w godzinie gniewu swojego nie pamięta i przebaczy.

Stary szlachcic milczał, a żebraczka zeszła ze schodków szukając sobie miejsca na spoczynek, bo już po nocy do fossy swej dostać się nie mogła. Noc była zimna, ale ona do niej przywykła, przytuliła się do drzwi kościelnych, okryła łachmanami, skuliła w kłębek i tak mrużyła oczy, szepcząc pacierze... dwie lzy boleści tajemnej, którą Bóg tylko widział, popłynęły powolnie z pod powiek, i płynęły tak, choć spała, noc całą aż do dnia... z niewyczerpanego źródła, które sen otwierał.

LII.

Zaświtalo, zaczerwieniało na wschodzie, a oczy obłądzonych czekały dnia zwrócone już na obóz Szwedzki, by się przekonać, że prawdą była nowina wczorajsza... Mrok jeszcze ranny nie dozwalał nic widzieć dokładnie, prócz że się Szwedzi kręcili, a jak mrówia ludu było

na blankach, mężczyzn, niewiast, zakonników, dzieci. Poczęło się coraz rozjaśniać, rozwidniać, i prawda okazała oczywistą... Szwedzi szybko się wybierali w drogę, pałac czego pozabierać nie mogli, niszczyć co pod ręką mieli, krzyki mieszczan dochodzące zdaleka dowodziły rabunku i gwałtów na odjeździe... Namioty już pościągane leżały kupami na wozach, działa wlokły się drogą, lud spędzony do robót około szaniec rozsypywał się do domów spiesząc lub garnąc pod mury, chcąc pomodlić się jeszcze, nimby do pustych chat odszedł.

Przeor zwycięzca, dziś smutniej czegoś poglądał na pole bitwy; wszystkie cierpienia i ofiary ludzi i żywoty tych co tu polegli, odbijały się w sercu jego; stał milczący, poważny, wielki i od dnia tego święty prawie Czeszochowej obrońca; — bo dzień ten zapisywał imię jego nieśmiertelne w księdze dziejów niezatartych; — wszyscy głosili Machabenszowskie i jego meztwo, wytrwałość, niezmordowaną cierpliwość i niezachwianą wiarę; dziś każdy za nim powtarzał:

„Melius est nos mori in bello, quam videre mala gentis nostrae et sanctorum, sic autem voluntas fuerit in coelo, sic fiat.“

Wśród tego uspokojenia nagły wystrzał i krzyk przeraźliwy wszystkich oczy odwrócił: pobiegli co żywo na północną korytnę, gdzie niebieskawy dym się jeszcze unosił. Na blaukowanin leżał rozciągnięty krzyżem Krzysztoporski, miotając się w konwulsjach śmierci! pierwszy przeor dobiegł do niego, i nie pytając co się stało, naprzód kłękł przy nim, widocznie konającego już spowiadać.

Ale obłok zgonu zasłaniał mu oczy, ściągały się nsta ostatnim wysiłkiem życia pasującego się ze śmiercią, ścisnęły pięści drgające i w chwili gdy go przeżegnał kapłan, on żyć przestał.

Wystrzał włóczęgi Szweda, który pod mur podkradłszy się, korzystając z nieuwagi wszystkich, rad był pomścić się na katoliku za wycierpiane pod twier-

dzą trndy: ostatni wystrzał odchodzących, Krzysztoporskiego obalił.

Wszyscy do koła trupa poklękli modląc się za jego duszę, gdy krok powolny dał się słyszeć wśród ciszy, była to żebraczka Konstancja.

Spojrzała, krzyknęła podnosząc ręce i rzuciła się na ziemię.

Nikt nie zważał na ten jej przestrach, na tę boleść dziwną, bo wszyscy byli tą niespodzianą stratą męznego szlachcica zajęci; tłum cisnął się na mury oglądać, rozpytywano, krzątano się koło niego pociehn.

Nadeszła i pani Płazina, spojrzała, pobladła i rzuciła się pędem nazad do swojego mieszkania. Ksiądz Lassota poszedł do brata, który w łóżku leżał:

— Módl się — rzekł otwierając drzwi — za duszę Krzysztoporskiego, szwedzki cinra go zastrzelił, nie żyje.

Starzec z początku jakby słów tych zrozumieć nie mógł, patrzył na brata z otwartymi ustami i powieką, potem powolnie zwał się na kolana i nieokazawszy innego uczucia prócz smutku, mówił z cicha Anioł Pański, a w modlitwie wspomniawszy co wycierpiał i ostatnią najdotkliwszą stratę swoją, rozplakał się rzewnie.

W tem drzwi otwarły się żywo, szybko, gwałtownie, i wpadła jak obłąkana radością — Hanna! Błada, wycieńczona widać jakimś długim cierpieniem; wbiegła i wprost rzuciła się starcowi na szyję.

— Dziadziu! dziadunin! ja znown z tobą, ja znown przy tobie.

Stary zaniemiał, radość dech mu zabiła, milczał i drżał; podano mu wody, począł ją ścisnąć patrząc na nią i nie pytał nawet z kąd się wzięła, tylko ją garmał do siebie, jakby się stracić znown obawiał, a Hanna powtarzała:

— Ja z tobą dziadzin! i do domu pojedziemy!

Nareszcie ksiądz Lassota ochłonawszy nieco — zapytał:

— Ale zkądżeś się wzięła?... gdzieś była?... co się z tobą stało?

— Sama doprawdy nie wiem — odpowiedziała — wiele ja tam lat przesiedziałam ukryta?

— U kogo?

— A! to bardzo pocziwa kobieta!

— Ale ktoś?

— Ta jejmość, której mnie oddaliście...

— Ja!... ciebie oddać! — zakrzyknął starzec.

— A ktoś? — spytała Hanna — juściż widać, że to tak być musiało, ale mnie ta samotność namęczyła.

— Ale mówże moja kochana Hanno, gdzieżeś ty była, kto cię tam zaprowadził?

Dziecię uspokoiwszy się i przysiadłszy u nóg starca, tak się odezwało całując jego rękę:

— Tego wieczora, poszłam wedle zwyczaju pomodlić się u ołtarza, a bywało to już tak kilka razy, że gdy idę to spotkam tę panią, a ona mi się kłania, zaczepia mnie, rozmawia ze mną. Tego dnia odwołała mnie na stronę w ciemny zakątek... Moje dziecko, powiada żywo, posłał mnie za tobą pan Lassota, niebezpieczeństwo grozi ci wielkie, Krzysztoporski przez zemstę nad dziadem chce cię zabić. Krzyknęłam strasznie, a ona: ale chodź tylko, ja cię schowam, że cię nikt nie znajdzie, nikt nie zobaczy, chodź tylko prędko za mną. Ja przełęczniona, niewiedząc co się to dzieje, poszłam za nią; zaprowadziła mnie na górkę, zamknęła w ciemnej izdebce o jednym okienku; i tam mi jeść nosiła, pilnowała mnie, aż dopierom dziś rano...

Nie dokończyła gdy Konstancja wpadła, kij rznając u progu.

— Dziecko moje, dziecko moje — krzyczała biegnąc ku Hannie.

Stary Lassota na głos ten, przypominający mu dawniej znany, porwał się z łóża zdziwiony i przełękły. Hanna nśmiechem powitała starą.

Ksiądz Piotr Lassota zgorszony tą ponalością żebraczki, z ukochanem ich dziecięciem obchodzącej się jak z własnem.

— A ty tu poco? — spytał markotny.

Pomiarkowała się żebraczka i cofnąć chciała gdy Jan Lassota odezwał się żywo.

— To ona!... to Konstancja!... w takim stanie!

Na te słowa z niejaką dumą odwróciła się kobieta:

— Tak jest — odparła — to ja! w pierwszej zony twoja, potem żona drugiego, ta co ci zatrula życie, co za nie odpokutowała z późną skruchą, swoim życiem całym; zaparła się świata, mienia, nazwiska, w dobrowolnem ubóstwie, we łzach i poniewierce starałam się przebłagać Boga. To ja, com się dziecięcia mojej córki u wszystkich wyprzeć musiała, aby tą ofiarą uprosić sobie przebaczenie; - i dziś niegodnam was jeszcze ani tej radości, na którą tylko przyszlam spojrzeć, pobłogosławić to dziecko i pójść gdzie oczy poniosą... gdzie nikt z was więcej mnie nie zobaczy...

To mówiąc, gdy wszyscy milczeli, Konstancja wyjęła z licej odzieży kawałek chleba i pokazała go Hannie.

— Ten to chleba złomek, którym mnie wnuczka nieznając obdarzyła, to mój skarb drogi!!... połowę jego złożyłam na ołtarzu Matki Bożej, połowę na sercu noszę.

I ręką wyciągniłą pobłogosławiła Hannie, która się ku niej zbliżyła, trochę zleknioma, trochę zmieszana i rozweselona. Lassota zaniemiał z podziwu i wzruszeń tylu; wtem żebraczka jakby ją ofiara dobrowolna zmuszała oddalić się od nich, wzięła kij leżący na podłodze, rzuciła jeszcze okiem na wnuczkę, na męża i znikła nim się za nią gonić i chwytać ją opamiętali.

W podwórzu słychać było nieskładną jej piosenkę łzawą i śmieszłą, dziwną mieszaninę wesela i obłąkania, brama się otworzyła, wyszła, i nie wróciła więcej do Częstochowej.

Tak się skończyło to oblężenie pamiętne i piętnem cndu oznaczone: był to jedyny może obraz rzucenia lndzi przeciwko sile niebios, wiary, walczącej z uczn- ciem swej potęgi, z stokroć silniejszym cieleśnie nie- przyjaciół, którego zmoęła; obraz garści duchem wzniesionej nad tłumy i duchem je zwyciężającej. W teęże chwili jakby zbudzony ze snu i odrętwienia kraj cały, ujrzał npokorzenie swoje, wziął oręę i po- targał więzy, które sam sobie włożyć pomógł.

Dnia tego wszyscy Szwedzi nstąpili z pod Jasnej- Góry, strwoęeni, choć nie wiedzieli co ich gnało, za- wstydzeni a w głębi przekonani, że nie lndzką poko- nano ich siłą. Siłę tę nazwali czarami, bo ślepi byli na wiarę.

Miller odjeędział gniewny, im bezsilniejszy tem mo- cniej rozjątrzony; gotów mścić się na kraju za Czę- stochowę, która mu się tak zuchwale śmiała opierać. Nazajutrz, gdy mieszczenie z Częstochowej pod wo- dzą Jacka Brzuchańskiego i lnd okoliczny zastukał do bram klasztoru, tłumami idąc powitać Matkę swoją, za którą przetęsknił tak długo; gdy szeroko otworzono im wrota, wielka radość napełniła serca. Wszyscy lzy mieli w oczach, znajomi i nieznajomi witali się i ściskali winszując sobie; a bojaźliwsi ze sromem, pocichn wynosić się poczęli do domów, obejrzawszy na pnste wprzód drogi.

Pan Zamojski bojąc się jeszcze, by klasztoru nie napadnięto na niespodziane, pozostał, a Czarniecki także, bo się gorliwością nie dawał nprzedzić; kilkun też z nimi przysiedli u księęda przeora.

Kordecki zwycięęca! kapłan, wrócił do zakonnej pokory; choć go wytrzymaęne oblężenie wiekuistą okry- wało sławą w oczach współczesnych i potomnych. Ro- zesłano zaraz oznajmując o odejściu Szwedów na wszystkie strony z radością nowiną oswobodzenia: do króla, do prowincjała, do opiekunów klasztoru, hrabiego Cellari, kasztelana Warszzyckiego i innych życzliwych

zakonnikom, a przeor wśród uniesień i powinszowań bez liku przybywających gości, schylając głowę skromnie, odpowiadał:

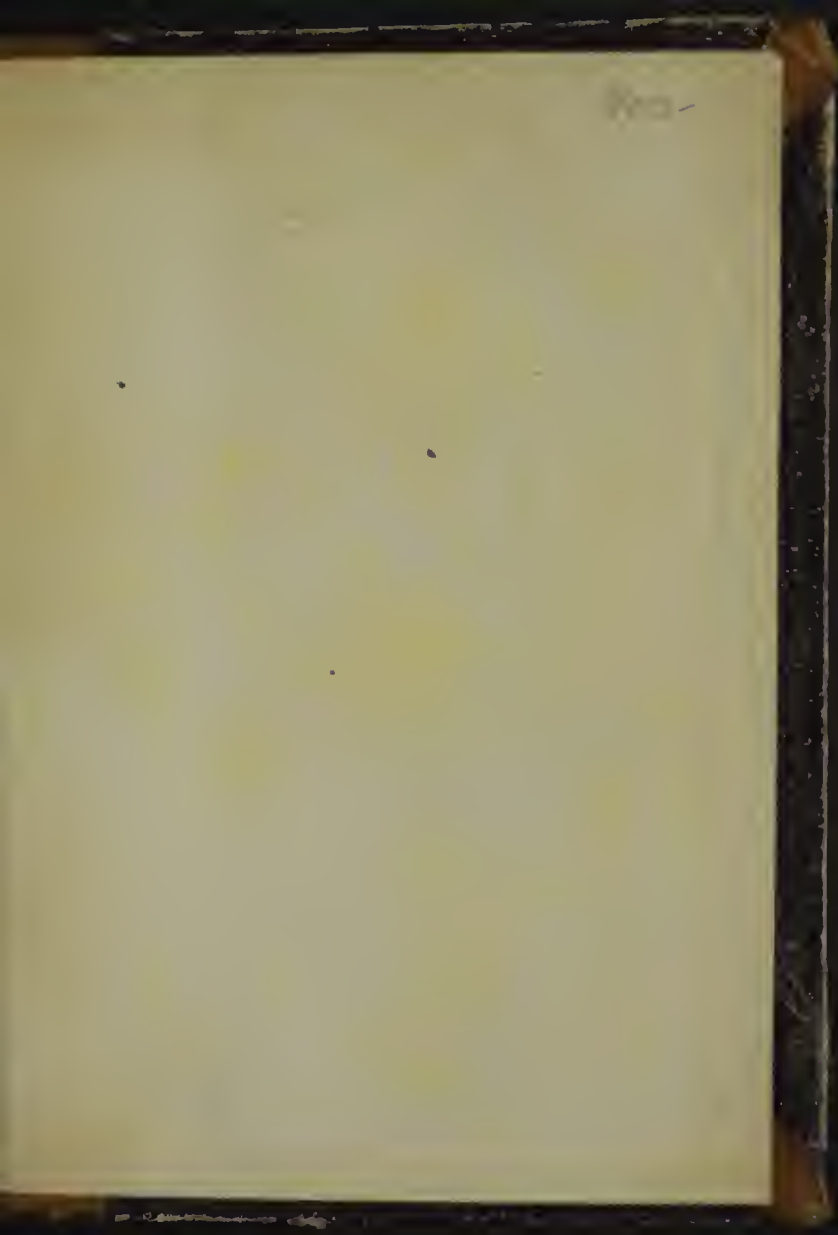
— Nie my, nie my! lecz Bóg zwyciężył.

KONIEC TOMU CZWARTEGO I OSTATNIEGO.









Biblioteka Raczyńskich

JIK 1485



JIK1485